

ELLIS PETERS

TRUJĄCY LEK

Kroniki brata Cadfaela vol. III

Tłumaczyła Irena Doleżał-Nowicka

Tytut oryginału Monk's-Hood



Rozdział 1

Tego właśnie ranka, na początku grudnia roku 1138, brat Cadfael przyszedł na kapitulę w bardzo dobrym nastroju, pełen wyrozumiałości nawet dla tępego lektora, brata Franciszka, i ewentualnych nudnych prawniczych dywagacji brata Benedykta, zakrystianina. Ludzie bywają różni: słabi, omylni, i trzeba okazywać im wyrozumiałość. Rok tak burzliwy w początkowych miesiącach, kiedy miasto przeżyło oblężenie, rzeź i rozłam na dwie frakcje, zbliżał się do końca w spokoju i względnym dostatku. Fala wojny domowej, toczącej się między królem Stefanem i zwolennikami cesarzowej Maud, cofnęła się aż pod południowo-zachodnią granicę, zostawiając Shrewsbury powoli leczące rany, które odniosło dlatego, że poparło słabszą stronę i musiało zapłacić za to krwawą cenę. Ale, mimo tak nie sprzyjających dla rolnictwa warunków, pod koniec lata zebrano obfite plony, stodoły były pełne, młyny pracowały, stada bydła i owiec pasły się na ciągle jeszcze zielonych i soczystych łąkach, pogoda zaś zdumiewała łagodnością i tylko wczesnym rankiem pojawiał się lekki szron. Nikt, jak dotąd, nie trząsał się z zimna, nikt nie był głodny. Wiadomo było, że nie potrwa to długo, ale każdy dzień przyjmowano jako Boże błogosławieństwo.

A w małym królestwie Cadfaela zbiory też były duże i uroz-

maicone: pod całym belkowaniem jego chaty wisiały lniane woreczki z suszonymi ziołami, napełnione winem gąsioro stały na ziemi w karnych szeregach, półki ugięły się pod butelkami i słoikami medykamentów, przygotowanych na wszelkie zimowe dolegliwości — od zaziębienia i bólów w stawach, po kaszel i szmery w płucach. Świat wyglądał teraz znacznie lepiej niż na wiosnę, a każde zakończenie lepsze niż początek zawsze budzi nadzieję na pomyślną przyszłość.

Tak więc brat Cadfael w dobrym nastroju udał się na swoje ulubione miejsce za jedną z kolumn w ciemnym kącie kapituły i na poły sennie przyglądał się, jak jego współbracia kolejno wchodzi i zajmują miejsca: opat Heribert, stary, łagodny i bo-jaźliwy, wyczerpany burzliwym rokiem, zmierzającym wreszcie do końca; przeor Robert Pennant, bardzo wysoki, przypominający patrycjusza, o twarzy jak wyrzeźbionej z kości słoniowej, srebrzystych włosach i brwiach, jak zawsze wyprostowany, imponujący, jak gdyby już nosił mitrę, o której tak marzył. Ani stary, ani kruchy, był po prostu jakby bez wieku, a liczył sobie pięćdziesiąt jeden lat i w każdym calu wyglądał jak patriarcha naznaczony długim świętym życiem; tak samo wyglądał dziesięć lat temu i zapewne nie zmieni się w ciągu następnych dwudziestu lat. Tuż za nim dreptał pokornie brat Hieronim, jego skryba, niby lustro wiernie odbijający zły lub dobry nastrój Roberta. Za nimi szli wszyscy inni zakonnicy: zastępca przeora, zakrystian, szpitalnik, jałmużnik, opiekun ołtarza Matki Boskiej, piwniczy, przewodnik chóru i mistrz nowicjatu. Spokojnie i z namaszczeniem przygotowywali się do jeszcze jednego codziennego obowiązku.

Młodszy brat Franciszek, który cierpiał na silny katar i kiepsko znał łacinę, wynudził wszystkich, czytając długi spis świętych i męczenników, których należało wspomnieć w modlitwach podczas następnych dni, i wydukał pobożny komentarz na temat zasług świętego Andrzeja Apostoła, którego dzień właśnie obchodzono. Po nim zabrał głos brat Benedykt, zakrystian, i stwierdził, że on, jako odpowiedzialny za utrzymanie kościoła i jego otoczenia, powinien mieć głos decydujący w sprawie rozdziału pieniędzy przeznaczonych na ten cel i dostarczać świece na ołtarz w kaplicy Matki Boskiej, którą opiekował się brat Maurycy. Przewodnik chóru powiadomił o nowym opracowaniu muzycznym Sanctus, które ofiarował kompozytor, ale słaby entuzjazm, z jakim przyjął on tak hojny dar, świadczył o tym, że nie był dobrego

mniemania o walorach tego utworu, tak więc nie należało się spodziewać, że będzie często wykonywany. Brat Paweł, mistrz nowicjatu, złożył skargę na jednego ze swych uczniów, podejrzanego o płochość przekraczającą dozwolone granice dla młodości i braku doświadczenia, słyszano bowiem, że kiedy w krążgankach zajęty był przepisywaniem modlitwy świętego Augustyna, śpiewał świecką gorszącą piosenkę, jakoby skargę chrześcijańskiego pielgrzyma, uwięzionego przez Saracenów, szukającego pociechy w tym, że tulił do piersi koszulę daną mu przy pożegnaniu przez ukochaną.

W tym momencie brat Cadfael ocknął się z drzemki, gdyż rozpoznał i przypomniał sobie ową piękną i wzruszającą pieśń. Brał udział w tej wyprawie krzyżowej, znał kraj, Saracenów, mdłe światło lub ciemność takiego lochu więziennego i rozpaczliwą tęsknotę. Zobaczył, jak brat Hieronim nabożnie zamyka oczy, gdyż wielką odrazą przejęła go już sama myśl o tak osobistej części kobiecej bielizny. Może dlatego, że nigdy nie mógł jej dotknąć, pomyślał Cadfael, nadal życzliwie nastawiony do wszystkich. Wielu starych braci, całe życie zachowujących czystość, dla których połowa stworzenia była zamkniętą, zakazaną księgą, wyraziło swe oburzenie. Cadfael, na ogół bierny uczestnik kapituły, uczynił wielki wysiłek i spytał łagodnie, co ów młodzieniec miał na swą obronę.

Odparł — rzekł brat Paweł szczerze — że nauczył się tej pieśni od swego dziadka, który walczył o zwycięstwo Krzyża podczas zdobywania Jerozolimy, i że jego zdaniem melodia jest tak piękna, że uważał ją za świętą. Śpiewał ją pielgrzym, nie będący zakonikiem ani żołnierzem, lecz zwykłym pokornym człowiekiem, który odbył tę długą wyprawę powodowany miłością.

Była to miłość prawdziwa i uświęcona — stwierdził brat Cadfael, używając słów nie całkiem właściwych dla owego słownictwa, ponieważ uważał miłość za moc uświęcającą, która nie wymaga usprawiedliwienia. — Czy jest coś w słowach tej pieśni, co świadczyłoby, że kobieta, którą zostawił, nie była jego żoną? O ile pamiętam, nic takiego tam nie ma. A muzyka godna jest uwagi. Z pewnością nie jest zadaniem naszego zgromadzenia potępienie sakramentu małżeństwa, jest bowiem wielu, którzy nie mają powołania do celibatu. Moim zdaniem ten młodzieniec nie popełnił nic zdrożnego. A gdyby tak brat przewodnik chóru sprawdził, jaki on ma głos? Może

dobry. Zwykle ci, którzy śpiewają podczas pracy, czują potrzebę, by wykorzystać otrzymany od Boga talent.

Przewodnik chóru, poszukujący wciąż solistów, których mógłby odpowiednio przyuczyć, oświadczył, że posłucha śpiewu tego nowicjusza. Przeor Robert ściągnął surowo brwi i zmarszczył swój patrycjuszowski nos; gdyby to od niego zależało, lekkomyślnemu młodzieńcowi wymierzono by surową pokutę. Jednak mistrz nowicjatu nie był wielkim entuzjastą stosowania nadmiernej dyscypliny i z wyraźną ulgą przyjął tego rodzaju dobrą radę dla swego wychowanka.

— Jest on chętny i poważny, proszę ojca opata, dopiero od niedawna tu przebywa. Łatwo jest zapomnieć się w chwilach wielkiego skupienia, a on przepisuje księgi z wielkim oddaniem i starannością.

Niefortunny śpiewak otrzymał lekką pokutę, po której z pewnością nie będą go boleć kolana. Opat Heribert, na ogół łagodny i wyrozumiały, tego ranka zdawał się bardziej niż zwykle pogrążony w myślach i roztargniony. Rozpatrzyli już wszystkie codzienne sprawy. Wreszcie opat wstał, najwidoczniej chcąc zakończyć kapitułę.

— Jest jeszcze kilka dokumentów, które trzeba opatrzyć pieczęciami — powiedział brat Mateusz, szafarz, w pośpiechu szeleszcząc pergaminami, gdyż miał wrażenie, że opat błądzi myślami gdzie indziej i zapomniał o tym obowiązku. — Mamy sprawę farmy lennej w Hales i darowizny dokonanej przez Waltera Aylwina, jak również ugody dotyczącej udzielenia stałej gościny Gerwazemu Bonelowi i jego żonie, którym chcemy przekazać pierwszy dom za stawem przy młynie. Pan Bonel chciałby się przeprowadzić tam jak najszybciej, jeszcze przed Bożym Narodzeniem...

— Tak, tak, nie zapomniałem o tym — odparł opat Heribert, niepozorny, zrezygnowany, ale pełen godności, stojąc przed nimi z jakimś zwojem pergaminu, który trzymał w obu dłoniach. — Jest coś, co muszę oznajmić wam wszystkim. Tych ważnych dokumentów nie można dziś opatrzyć pieczęciami z istotnej przyczyny. Nie należy to teraz do moich kompetencji i nie mam obecnie prawa podpisywać jakiegokolwiek ugody dla tej społeczności zakonnej. Otrzymałem wczoraj polecenie z Westminsteru, z dworu królewskiego. Wszyscy wiecie, że papież Innocenty uznał prawa króla Stefana do tronu naszego królestwa i dla jego poparcia wysłał mającego wszelkie pełnomocnictwa legata, kardynała Alberica, biskupa Ostii. Kardynał ten

zamierza zwołać specjalną naradę w Londynie, żeby zreformować Kościół, a ja mam w niej wziąć udział z racji mojej zwierzchności nad tym klasztorem jako opat. Z przedstawionych warunków jasno wynika — mówił Heribert ze smutkiem — że moje uprawnienia są obecnie w gestii legata. Przeżyliśmy bardzo niespokojny rok, znajdując się między dwoma pretendencjami do tronu naszego kraju. Nie jest żadną tajemnicą i wyznaję to szczerze, iż Jego Łaskawość, podczas swego tu pobytu latem, nie darzył mnie zbyt dużą życzliwością, ponieważ w tym całym ówczesnym pomieszaniu niezbyt wyraźnie widziałem swoją drogę i z pewnym ociąganiem przyjąłem jego zwierzchnictwo. Dlatego jestem zawieszony w funkcji opata, dopóki tej sprawy nie rozważy rada pod przewodnictwem legata papieskiego. Nie mogę więc zatwierdzać żadnych dokumentów ani porozumień w imieniu naszego zgromadzenia. Wszystko, co teraz wymaga rozstrzygnięcia, nadal musi pozostać nie załatwione aż do mianowania opata. Nie mogę wkraczać w kompetencje być może kogoś innego.

Powiedział to, co miał do powiedzenia, zajął miejsce w swym fotelu i spokojnie złożył dłonie, podczas gdy szmer zaskoczenia stopniowo przekształcił się w głośnie jak w ulu brzęczenie. Przeor Robert, tak samo zdumiony jak pozostali, lecz całkowicie opanowany, wewnętrznie promieniał, wyciągnąwszy oczywisty wniosek, a brat Hieronim, szybki w interpretowaniu wszelkich sygnałów zwiastujących istotne zmiany, też się ucieszył, choć na twarzy jego malowało się współczucie i żal. Obaj nie mieli konkretnych zarzutów przeciw Heribertowi, po prostu nadal piastował stanowisko, na które ci niecierpliwi podlegli mu bracia patrzyli pożądliwym okiem. Z pewnością to miły stary człowiek, jednak nie nadąza za epoką, w jakiej przyszło mu żyć, a przy tym jest nazbyt powolny. Podobnie władca, który żyje zbyt długo, po prostu kusi, by go zamordowano. Jednak pozostali, przerażeni jak spłoszone kury, zaczęli wołać:

Przecież król na pewno zatwierdzi ponownie ojca opata!

Och, ojczcie, czy ojciec musi udać się na tę naradę?

Zostaniemy jak owczarnia bez pasterza!

Przeor Robert, który uważał, że w razie potrzeby idealnie potrafi sam pokierować trzódką św. Piotra, skwitował tę ostatnią skargę krótkim bazylijskowym spojrzeniem, jednak i on wyszeptał kilka słów będących wyrazem żalu i zdumienia.

— Złożone śluby zobowiązują mnie do posłuszeństwa wobec Kościoła — powiedział z wielką powagą opat Heribert. — Jako lojalny syn Kościoła muszę być posłuszny temu wezwaniu.

Jeśli spodoba się Kościołowi zatwierdzić mnie na tym stanowisku, wrócę tu, by podjąć moje zwykłe obowiązki. Jeśli ktoś inny zostanie wyznaczony na moje miejsce, też wrócę do was, jeśli będę mieć na to zezwolenie, i spędzę tu resztę mego życia jako pokorny brat w tym zgromadzeniu, pod władzą nowego zwierzchnika.

Cadfael miał wrażenie, że w tym momencie po twarzy Roberta przemknął uśmiech zadowolenia. Wcale nie zmartwiłby się tym, gdyby dawny przełożony wreszcie znalazł się pod jego rządami.

— Tak więc — ciągnął opat Heribert z pokorą — nie mogę korzystać ze swych praw jako opat, do czasu gdy cała sprawa nie zostanie załatwiona, dlatego te umowy muszą pozostać w zawieszeniu, dopóki nie wrócę ja albo ktoś inny mianowany na moje miejsce nie zajmie się nimi. Czy któraś z nich jest szczególnie pilna?

Brat Mateusz zaskoczony nagłością tych nowin dłuższą chwilę szeleścił swymi pergaminami.

Nie ma powodu do pośpiechu w sprawie darowizny Ayl-wina; jest on starym przyjacielem naszego zgromadzenia i zaczeka, jak długo będzie trzeba. Co do lennej farmy w Hales mamy czas do Zwiastowania Matki Boskiej w przyszłym roku, tak więc czasu jest dość. Tylko pan Bonel nalega, by kapituła jak najprędzej opatrzyła umowę pieczęciami. Czeka, żeby przenieść swoje ruchomości do tego domu.

Przypomnij mi, bracie, proszę, jakie są warunki umowy — powiedział opat. — Mam tyle innych spraw na głowie, że zapomniałem o tym, co już zostało ustalone.

Przekazuje nam całkowicie swój majątek Mallilie, wraz z kilkoma dzierżawcami, w zamian za budynek mieszkalny z przyległościami tu, na terenie opactwa — pierwszy dom po miejskiej stronie stawu przy młynie jest wolny i najbardziej odpowiedni dla jego domowników — oprócz tego będzie mieć zapewnione utrzymanie do końca życia dla siebie, swej żony oraz dwojga służących. Szczegóły są takie same jak zwykle w tego rodzaju umowach. Będą dostawali codziennie dwa bochenki chleba takiego jak dla mnichów i jeden taki jak dla służby, dwa galony klasztornego piwa i jeden takiego jak dla służby, danie mięsne, takie jak mają pracownicy opactwa w dniach bez postu, i rybę

w dniach postu z kuchni opata oraz dodatkowe przysmaki, kiedy są podawane. To wszystko ma być przynieszone przez ich służącego. Mają również dostawać danie mięsne albo rybne dla dwojga służących. Pan Bonel ma także otrzymać raz w roku szatę, taką samą, jaką otrzymuje zwierzchnik świeckich pracowników w opactwie, a jego żona, jeśli będzie wolała, może zamiast tej szaty otrzymać dziesięć szylingów raz na rok na zakup odzienia wedle swego gustu. Wypłacane też będzie dziesięć szylingów rocznie na bieliznę, buty, opał oraz uprzęż dla jednego konia. W razie śmierci jednego z małżonków, drugie zachowa własność domu i otrzymywać będzie połowę wyżej wymienionych należności, z tym wyjątkiem, że gdyby to mąż zmarł, żona nie będzie miała miejsca w stajni dla konia. Takie oto są warunki umowy i zaraz po kapitule zamierzałem wezwać świadków, żeby ostatecznie uprawomocnić tę umowę. Sędzia nawet kazał czekać skrybie.

Mimo to obawiam się — powiedział ze smutkiem opat — że to również należy odłożyć. Niestety, moje uprawnienia są w zawieszeniu.

Dla pana Bonela będzie to wielki kłopot — powiedział zmartwiony brat szafarz. — Poczynili już wszelkie przygotowania, żeby się tu przeprowadzić; spodziewają się, że uczynią to w ciągu najbliższych kilku dni. Wkrótce Boże Narodzenie, znaleźliby się w bardzo trudnej sytuacji.

Z pewnością można się zgodzić na przeprowadzkę — zabrał głos przeor Robert — choć trzeba zaczekać z uprawomocnieniem umowy. Żaden inny wyznaczony opat nie zechce obalić tego porozumienia.

Ponieważ było całkiem jasne, że to on sam spodziewał się objąć to stanowisko, a przy tym był w lepszych stosunkach z królem Stefanem niż jego obecny zwierzchnik, powiedział to z wielką pewnością siebie. Heribert z radością przyjął tę propozycję.

Sądzę, że należy zezwolić na tę przeprowadzkę. Tak, bracie Mateuszu, rób, co trzeba, czekając na ostateczne załatwienie sprawy, co — jestem pewien — wkrótce nastąpi. Uspokój co do tego naszego gościa i zawiadom go, że może się wprowadzać wraz ze swymi domownikami. Powinien w spokoju i radości powitać tu święta Bożego Narodzenia. Czy jest jeszcze jakaś sprawa do załatwienia?

Nie ma, ojczu — odparł brat Mateusz i spytał troskliwie, przyciszonym głosem: — Kiedy ojciec musi wyruszyć w tę podróż!'

Pojutrze. Jadę teraz wolno, więc spędzimy w drodze kilka dni.

Oczywiście podczas mej nieobecności będzie tu wszystkim zarządzać przeor Robert.

Następnie opat Heribert wstał, z roztargnieniem podniósł rękę i udzielił zebranych błogosławieństwa, po czym wyszedł z kapitułarza. Za nim przeor Robert, który be/, wątpienia poczuł się już zarządcą całego opactwa św. Piotra i Pawła w Shrewsbury aż po kres swego życia.

Bracia wychodzili w ponurej ciszy i zaczęli rozmawiać z ożywieniem, choć cicho, dopiero kiedy rozproszyli się na wielkim dziedzińcu. Heribert, mianowany opatem przed jedenastu laty, był łagodnym przystępnym zwierzchnikiem, może nawet czasem zbyt wyrozumiałym. Nie chcieli żadnych zmian.

Ostatnie pół godziny przed sumą o dziesiątej Cadfael spędził samotnie w swej chacie w herbarium, doglądając kilku medykamentów, które właśnie warzył. Ta jego enklawa, obrośnięta starannie przyszczyżonymi żywopłotami, zaczęła powoli tracić barwy z powodu pierwszych, na razie umiarkowanych przymrozków; wszystkie liście stawały się brunatne, a najdelikatniejsze rośliny kryły się w głębi cieplej ziemi. W powietrzu jednak nadal unosiły się aromatyczne zapachy, wspomnienie cudownych woni lata, a korzenna słodycz we wnętrzu chaty była radością dla zmysłów. Cadfael miał zwyczaj regularnie przebywać w tej samotni i rozmyślać. Tak przywykł do tej oszałamiającej, intensywnej woni, że prawie już nie zwracał na nią uwagi, ale w razie potrzeby potrafiłby rozróżnić każdy element, jaki się nań składał, i podać jego źródło.

A więc mimo wszystko król Stefan nie zapomniał o swym zapięklm żalu i opat Heribert miał się stać kozłem ofiarnym, ponieważ Shrewsbury ośmieliło się przeciwstawić jego roszczeniom. A przecież nie był z natury człowiekiem mściwym. Może raczej chciał się przypochlebić legatowi, ponieważ papież uznał go za króla Anglii i dał mu swe papieskie wsparcie, co było bronią nie do pogardzenia w sporze z cesarzową Maud, jego rywalką do tronu. Jednak ta uparta, o mocnym charakterze kobieta z pewnością nie podda się tak łatwo i będzie bronić swej sprawy w Rzymie; przecież nawet papieże zmieniają czasem swe aliance. Dlatego Alberic z Ostii uczyni wszystko, by jak najszybciej zaprowadzić reformy papieskie w Kościele i Heribert będzie jedną z ofiar jego zapalu.

Jeszcze inny temat nękał Cadfaela. To sprawa tak zwanych dożywotnich gości w opactwie, dusz, które postanowiły zrezygnować z czynnego życia, opuścić świat, czasem w pełni aktywności, i przekazać swoją własność opactwu w zamian za łatwe, beczynne życie w odosobnieniu, za jedzenie, ubranie, opał, co otrzymywali bez najmniejszego wysiłku! Czy marzyli o tym od lat, kiedy się pocili nad rodzącymi jagnięta owcami albo harowali podczas żniw, albo od świtu do nocy pracowali ciężko w handlu? Czy uważali to za namiastkę raj, gdzie jedzenie spadało z nieba i nic nie było do roboty, jak tylko wygrzewać się w słońcu latem, a zimą siedzieć przy ogniu z kubkiem piwa? A kiedy wreszcie zdobyli to, jak długo trwało zauroczenie? Kiedy zaczynała męczyć ich beczynność? Mógł zrozumieć, że taką decyzję podjął człowiek ślepy, kulawy lub chory. Ale ktoś czynny, zdrowy, przywykły do ćwiczenia ciała i umysłu? Nie, tego nie mógł zrozumieć. Musiały być jakieś inne motywy. Nie wszyscy ludzie dają się oszukać, chyba że sami siebie oszukują. Co mogło spowodować taką decyzję? Brak spadkobiercy? Chęć, nie całkiem jeszcze uświadomiona, by się poświęcić życiu monastycznemu, bez ryzyka, by pójść na całość? Może! Stary człowiek, mający również starą żonę, który zdaje sobie sprawę, że koniec jest bliski — to jeszcze można zrozumieć. Wiciu też ludzi przywdziało habit i zdecydowało się na tonsurę w późnym wieku, kiedy mieli już dorosłe dzieci i wnuki, a za sobą lata ciężkiej pracy. Łaskawy dom i status gościa mogły być etapem na ich drodze. A może wreszcie tacy ludzie uwalniali się od życiowego kieratu z powodu złości, jaką żywili do świata, do krnąbrnego syna, złości, która była protestem przeciw ciężarowi dźwiganemu we własnej duszy?

Brat Cadfael wciągnął w nozdrza przenikliwy zapach szanty, składnika mikstury na kaszel, zamknął za sobą drzwi chaty i statecznie poszedł na sumę.

Wczesnym rankiem szarego dnia, kiedy po raz pierwszy czuć było w powietrzu mróz i gwiazdki szronu iskrzyły się w trawie, brat Heribert wyruszył na swoim białym mule londyńskim traktem. Towarzyszył mu jego skryba, brat Emanuel, i dwóch świeckich chłopców stajennych,

którzy najdłużej służyli w opactwie. Kiedy się żegnał, sprawiał wrażenie ożywionego i wesołego, ale mimo to jego niewielka sylwetka niknąca powoli w otoczeniu trzech konnych wyglądała dziwnie smutno. Ponieważ nie był teraz dobrym jeźdźcem, jeśli w ogóle kiedyś nim był, miał wysokie kołyskowe siodło, w którym wyglądał jak źle załadowany mały worek. Wielu braci zebrało się przy bramie, żeby patrzeć za nim, dopóki był widoczny, a twarze ich były smutne, pełne niepokoju. Było też kilku uczniów, oni sprawiali wrażenie jeszcze bardziej zasmuconych, ponieważ opat pozwalał bratu Pawłowi prowadzić nauczanie, jak chciał, to znaczy bardzo tolerancyjnie, a pod rządami przeora Roberta wiadomo było, że nic nie będzie szło dawnym trybem i że dyscyplina na pewno się zaostrzy.

Bogiem a prawdą, pomyślał Cadfael, w obrębie tych murów przydałoby się jednak trochę więcej praktyczności. Heribert ostatnio coraz bardziej był rozczarowany otaczającym go światem i coraz bardziej pogrążał się w modlitwie. Oblężenie i upadek Shrewsbury, rozlew krwi i późniejsza zemsta króla musiały zasmucić każdego, choć nikt nie powinien uważać tego za wymówkę, by zaniechać obrony tego, co słuszne, i sprzeciwiać się złu. Przychodzi jednak czas, kiedy człowiek stary czuje się bardzo znużony i wtedy brzemię przywództwa staje się zbyt ciężkie do dźwigania. Być może właśnie dlatego Heribert nie smuciłby się, gdyby to brzemię zostało z niego zdjęte.

Msza i kapituła minęły tego dnia w atmosferze spokoju i godności. Suma została odprawiona solennie, zwykle obowiązki wykonywano sprawnie. Robert nazbyt dbał o swoją opinię, żeby na oczach braci dawać upust swej radości. Tak więc wszystko czynił pobożnie, zgodnie z przepisami i autorytetem świętości. Jednak to, co uważał za należne mu, musiało być wykonane z wielką starannością.

W czasie pilnych prac sezonowych Cadfaelowi zazwyczaj przydzielano dwóch pomocników, ponieważ w swoim otoczonym murami ogrodzie oprócz cennych ziół hodował również inne rośliny, a poza tym miał pod swoją pieczę rozległe uprawy, dostarczające opactwu warzyw do ogólnej kuchni. Znajdowały się one za głównym traktem i wzdłuż pól uprawnych nad brzegiem rzeki Severn, w zakątku zwanym Gaye, który każdej wiosny zalewała powódź, a że ziemia była tam żyzna, dawała więc dobre plony. Tutaj, wśród murów, właściwie radził sobie sam, ale na zboczu opadającym do strumienia Meole, który

poruszał młyn, rosły jego warzywa: fasola i kapusta, i fasolka szparagowa, i było duże grochowe pole. Teraz jednak, kiedy zima powoli nadchodziła, a ziemia zapadała w sen jak zwinięte w kłębek pod żywopłotami jeże, został sam z jednym tylko nowicjuszem, który pomagał mu warzyć środki przeczyszczające, kręcić pigułki, mieszać olejki do nacierania i przygotowywać kataplazmy, żeby leczyć nie tylko braci, ale wielu ludzi, którzy przychodzili po pomoc w swoich dolegliwościach z miasta i Podzamcza, czasem nawet z odległych wiosek. Nie uczył się swoich umiejętności, nabył je z doświadczenia, dzięki próbom i dociekaniom, gromadząc wiedzę przez wiele lat, aż doszło do tego, że niektórzy woleli jego lekarstwa niż porady znanych i uznanych medyków.

W owym czasie jego pomocnikiem był nowicjusz, liczący sobie nieco ponad osiemnaście lat, brat Marek, sierota, będący ciężarem dla nie dbającego o niego wuja, który przed dwoma laty oddał go do klasztoru, żeby się go pozbyć. Przyszedł do benedyktynów milczący, samotny i tęskniący za domem — dzieciak prawie, nie wyglądający na swoje szesnaście lat, który wykonywał polecenia z lekliwą pokorą, jak gdyby najlepszym, co go mogło spotkać w życiu, było uniknięcie kary. Jednak po kilku miesiącach pracy w ogrodzie z Cadfaelem stopniowo stawał się coraz bardziej rozmowny i już nie zamierzał uciekać. Wzrostu mu nie przybyło i nadal bał się wszelkich autorytetów, ale był zdrowy, silny i wszystko dobrze rosło pod jego ręką. Nauczył się też zręcznie pomagać przy robieniu medykamentów i nawet zaczęło go to interesować. Małomówny wśród swoich towarzyszy, nadrabiał milczenie rozmownością w chacie Cadfaela, kiedy

byli sami. To właśnie Marek, choć taki cichy w klasztorze i na wielkim dziedzińcu, pierwszy znał wszelkie plotki.

Na godzinę przed nieszporami wrócił z wyprawy do młyna, przynosząc mnóstwo wiadomości.

— Czy brat wie, co przeor Robert zrobił? Zajął pokoje opata! Naprawdę! Od dzisiejszego wieczoru brat zastępca przeora ma spać w celi przeora w dormitorium. A opat Heribert ledwie wyjechał za braną! Nazwałbym to dużą przesadą.

Tak też sądził Cadfael, ale nigdy nie powiedziałby tego głośno; również brat Marek nie powinien był tak szczerze ujawniać swego zdania.

Uważaj, kiedy tak otwarcie przekazujesz myśli swoim zwierzchnikom — powiedział spokojnie — chyba że potrafisz postawić się w ich sytuacji i patrzeć na sprawy z ich punktu widzenia. Być może opat Heribert zarządził, żeby on się przeprowadził do jego pokoi, by podkreślić jego autorytet podczas swej nieobecności. Jest to miejsce przeznaczone dla ojca duchowego naszego klasztoru.

Ale przeor Robert jeszcze nim nie jest! Przecież opat Heribert, gdyby sobie tego życzył, powiedziałby o tym podczas kapituły albo chociaż bratu zastępcy przeora, ale tak nie było. Widziałem jego twarz, tak samo był zdziwiony jak wszyscy inni, nawet zaskoczony. On nie pozwoliłby sobie na coś takiego!

To prawda, pomyślał Cadfael, energicznie ucierając korzenie w moździezu, brat Ryszard był ostatnim człowiekiem, który uczyniłby coś takiego; duży, dobroduszny i lubiący spokój z powodu lenistwa, nigdy nie wysiłał się na zapas. Niektórym młodszym i bardziej odważnym braciszkom mogło się wydawać, że zyskali na tej zamianie. Przy Ryszardzie mieszkającym w celi przeora, która znajdowała się dość daleko od dormitorium, łatwiej byłoby potencjalnemu grzesznikowi wymknąć się nocnymi schodami po zgaszeniu świateł, a nawet gdyby odkryto to przestępstwo, nikt by o nim nie doniósł. Najłatwiejszą rzeczą na świecie jest nie zauważyć czegoś, co mogłoby spowodować kłopoty.

— Wszyscy służący szemrzą o tym — powiedział brat Marek. — Brat wie, jak bardzo są oddani opatowi, a teraz będą musieli usługiwać komuś innemu, kiedy nawet miejsce naszego opata tak naprawdę nie jest jeszcze wolne! Brat Henryk mówi, że to prawie bluźnierstwo. A brat Petrus ponury jest jak chmura gradowa i coś okropnie mruczy nad swoimi garnkami. Powiedział, że potraktuje przeora Roberta cykuta, kiedy nasz opat wróci.

Cadfael doskonale potrafił sobie to wyobrazić. Brat Petrus od dawien dawna był kucharzem opata. Czarnowłosa barbarzyńca o przenikliwych oczach, pochodzący znanad szkockiej granicy, znany był z gwałtownych i nie przemyślanych gróźb, których w zasadzie nie należało się obawiać; jednak zagadką było, do jakiego stopnia mogą być one poważne.

Brat Petrus mówi wiele rzeczy, których raczej nie powinien mówić, ale, jak wiesz, nigdy nie ma na myśli nic złego. A przy tym jest

świątynnym kucharzem i nadal będzie zastawiać stół opata przysmakami, niezależnie od tego, kto będzie siedzieć na głównym miejscu, ponieważ nie umie postępować inaczej.

Ale nie będzie z tego rad — odparł brat Marek z przekonaniem.

Nie ulegało wątpliwości, że spokojny tok dnia został poważnie zakłócony, jednak rytm pracy w zasięgu tych murów był wyregulowany tak dobrze, że każdy brat, niezależnie od tego, jakie żywił uczucia, wykonywał swoje obowiązki równie pilnie jak zawsze.

— Kiedy opat Heribert wróci zatwierdzony ponownie na swoje stanowisko — powiedział stanowczo Marek — przeorowi nos się wydłuży.

A gdy to sobie wyobraził, znów się serdecznie roześmiał, Cadfael zaś nie miał serca skarcić go, ponieważ jemu ten obraz również przemówił do wyobraźni.

W tydzień po wyjeździe opata Heriberta, po południu do Cadfaela przyszedł brat Edmund, infirmer, żeby wziąć różne leki dla swoich pacjentów. Mróz, choć niezbyt mocny, przyszedł po bardzo łagodnej pogodzie, tak że zaskoczył wielu młodych braciszków, którzy się mocno zaziębili i musieli być izolowani. Większość z tych młodych chłopców pracowała intensywnie na dworze, przy owcach. Czterech z nich miał już w infirmerii, nie licząc kilku starych ludzi, którzy spokojnie dożywali tu swoich dni, nie mając żadnych obowiązków prócz modlitwy.

Wszyscy ci chłopcy muszą kilka dni spędzić w cieple i sami się wykurują — powiedział Cadfael, potrząsając dużą butlą i nalewając do mniejszej flaszeczki brunatną miksturę pachnącą przenikliwie, aromatycznie i słodko. — Niech dwa albo trzy razy dziennie piją małą łyżeczkę tego płynu, a szybko poczują się lepiej.

Co tam jest? — spytał zaciekawiony brat Edmund. Znał wiele lekarstw Cadfaela, lecz ten ciągle dokonywał jakichś ulepszeń. Ciekaw też był, czy Cadfael sam na sobie wypróbowuje wszystkie te mikstury.

Jest to utarty rozmaryn, szanta i skalnica z niewielkim dodatkiem oleju lnianego oraz czerwonego wina, które zrobiłem z wiśni z pestkami. Przekonasz się, jak to dobrze robi na katar i podrażnienie

oczu, i ból głowy, nawet na kaszel. — Starannie zakorkował dużą butelkę i wytarł szyjkę. — Czy jeszcze czegoś potrzebujesz? Może dla starszków? Na pewno te wszystkie zmiany źle na nich działają. Ludzie po sześćdziesiątce niedobrze je znoszą.

Zwłaszcza tę ostatnią — powiedział smutno Edmund. — Heribert nie zdawał sobie sprawy, jak był lubiany, a bracia dopiero teraz uświadomili sobie ogrom straty.

Myślisz, że go straciliśmy?

Obawiam się, że tak. Nie dlatego, żeby Stefan zbyt długo się gniewał, ale dlatego, że zgodzi się on na to, co zechce legat, by zachować względy papieża. I myślisz, że taki energiczny reformator, który ma wolną rękę i może tutaj u nas przeprowadzić zmiany w Kościele, jakie zechce, będzie się liczyć z naszym opatem? Stefan posiał ziarno zwątpienia, kiedy był rozgniewany, ale to Alberic z Ostii oceni naszego dobrego opata i usunie go za to, że jest zbyt miękki — stwierdził z żalem Edmund. — Potrzebny mi jeszcze słoik tej twojej maści na odleżyny. Brat Adrian bardzo cierpi, biedaczysko.

Trudno go teraz podnosić na smarowanie — rzekł ze współczuciem Cadfael.

Skóra i kości, po prostu skóra i kości. A już karmienie go to męka. Usycha jak liść.

Gdyby ci był ktoś potrzebny, żeby go dźwignąć, to poślij po mnie, chętnie pomogę. A tu masz to, co chciałeś. Myślę, że to lepsze niż przedtem, bo dodałem więcej przywrotnika.

Brat Edmund włożył butelkę i słoik do swojej sakwy i zamyślił się chwilę, ścisnąwszy spiczastą brodę kciukiem i palcem wskazującym. Nagły powiew zimnego wiatru, który wdarł się nieoczekiwanie, sprawił, że obaj jednocześnie tak gwałtownie się odwrócili, iż młody człowiek o szczupłej ciemnej twarzy, który uchylił drzwi tylko może na cal lub dwa, wsunął głowę, bardzo przepraszając.

Zamknij, chłopcze, drzwi — powiedział Cadfael, kuląc się z zimna.

Przepraszam, bracie — rozległ się niepewny głos. — Zaczekam, aż skończycie. — I drzwi zaczęły się zamykać.

Nie, nie — odparł spieszenie Cadfael. — Nie to miałem na myśli. Wejść do środka i wtedy zamknij drzwi, bo okropnie wieje, aż dymi ogień w żelaznym koszu. Zaraz będę wolny, jak tylko wszystko załatwię z bratem infirmerem.

Drzwi otworzyły się na tyle szeroko, by mógł się przez nie wsunąć jakiś szczupły nieznanomy, który natychmiast je zamknął i oparł się o nie, jakby chciał być niewidzialny i niesłyszalny, choć w jego otwartych szeroko oczach malowało się zdumienie i ciekawość, kiedy lustrował wzrokiem zapas rozwieszonych wokół, szeleszczących, mocno pachnących ziół oraz łąwy i półki z butlami i słojami, gdzie przechowywane były tajemne skarby letnich traw.

— Aha — powiedział brat Edmund, przypominając sobie coś jeszcze — jest jedna sprawa. Brat Rhys bardzo cierpi z powodu łamania w kościach, bólów w ramionach i plecach. Mało się teraz rusza, ale i wtedy nie jest z nim najlepiej. Masz chyba taki olejek, który mu już kiedyś pomógł.

Owszem, mam. Zaczekaj, Edmundzie, muszę znaleźć jakąś flaszkę, żeby ci go nalać. — Cadfael podniósł z niskiej łąwy dużą kamienną butlę, a z innej półki wziął mniejszą, z przydymionego szkła. Ostrożnie odkorkował ją i przelał ciemny, gęsty płyn o intensywnym zapachu do mniejszej butelki. Mocno potem wcisnął drewniany korek w szyjkę dużej butli, owinąwszy go przedtem kawałkiem płótna, następnie drugim kawałkiem wytarł starannie szyjki obu butelek, a gałgan wyrzucił do małego żelaznego kosza z żarem, na którym coś się powoli gotowało w kamiennym garnku. — To mu przyniesie ulgę, zwłaszcza gdybyś znalazł kogoś o silnych dłoniach, żeby ten płyn wtarł mu dobrze w stawy. Ale bądź ostrożny, Edmundzie, nigdy nie zbliżaj go do ust. Po użyciu starannie umyj ręce i dopilnuj, żeby to samo zrobił ktoś, kto z nim będzie mieć do czynienia. Pomaga stosowany zewnątrz, ale szkodzi stosowany wewnątrz. I nie wolno pod żadnym pozorem używać go, kiedy jest choćby najdrobniejsze zadrapanie czy ranka. To bardzo silny środek.

Aż tak niebezpieczny? Z czego jest zrobiony? — spytał zaciekawiony Edmund, obracając butelkę w dłoni i obserwując, jak gęsty płyn powoli się w niej porusza.

Głównie z tojadu, a oprócz niego z olejku gorczycowego i olejku z siemienia lnianego. Jest groźną trucizną, jeśli się go połknie; nawet niewielka ilość może zabić człowieka, tak więc trzymaj go w bezpiecznym miejscu i pamiętaj, żeby zawsze dobrze umyć ręce. Jednak wspaniale pomaga na stare skrzypiące kości. Zaraz po nacieraniu brat Rhys poczuje miłe ciepło i ból się zmniejszy. Czy to już

wszystko, czego ci trzeba? Wkrótce przyjdę do infirmerii i sam go natrę, jeśli chcesz. Wiem, gdzie najwięcej boli i gdzie mój lek trzeba mocno wcierać.

Palce masz z żelaza — odparł brat Edmund, sprawdzając, czy wszystko w sakwie jest dobrze ułożone. — Kiedyś je na mnie wypróbowałeś; myślałem, że mnie rozerwiesz na kawałki, ale muszę przyznać, że następnego dnia mogłem się znacznie lepiej ruszać. Tak, przyjdź, jak znajdziesz trochę czasu, brat Rhys rad będzie cię zobaczyć. Ostatnio pamięć go zawodzi, żadnego z młodszych braci nie rozpoznaje, ale ciebie nie zapomniał.

— Pamięta każdego, kto mówi po walijsku — wyjaśnił z uśmiechem Cadfael. — Wraca do czasów dzieciństwa, jak to bywa ze starymi ludźmi.

Brat Edmund wziął swój worek do ręki i skierował się do wyjścia. Młody szczupły człowiek, pilnie wszystko obserwujący, odsunął się na bok i uprzejmie otworzył przed nim drzwi, za co Edmund podziękował mu z uśmiechem. Ostatecznie, ten młodzieniec nie był znów taki chudy, jak się z początku zdawało, nieco wyższy od mocno zbudowanego przysadzistego Cadfaela, wyprostowany i zręczny w ruchach, niezwykle czujny, o czym świadczył każdy jego gest. Miał bujne jasnobrązowe włosy, potargane przez wiatr, a wokół ust jasny zarost i niewielką brodę, co podkreślało surowość szczupłej twarzy o jastrzębich rysach. A choć był wyraźnie zmieszany, kiedy duże jasnoniebieskie oczy, błyszczące inteligencją zwrócił na Cadfaela, wytrzymał bez mrugnięcia okiem jego wzrok.

No cóż, przyjacielu — powiedział swobodnie Cadfael, odsuwając gliniany garnek z zasięgu gorąca — co mogę dla ciebie uczynić? — To mówiąc, odwrócił się i spojrzał na nieoczekiwanego gościa, mierząc go wzrokiem od stóp do głów. — Nie znam cię, młodzieńcze — rzekł uprzejmie — ale witam serdecznie. Czego potrzebujesz?

Przysłała mnie tu pani Bonel — odparł przybysz głosem niskim, o przyjemnym brzmieniu. — Prosi o zioła do kuchni. Brat szpitalnik powiedział jej, że tu w razie potrzeby będzie je mogła dostać. Mój pan przeniósł się dziś do domu na Podzamczu, będzie odtąd gościem opactwa.

Ach, tak — odparł Cadfael, przypominając sobie o majątku Mallilic, przekazanym opactwu w zamian za środki do życia dla

ofiarodawcy. — A więc dotarli już bezpiecznie na miejsce? Niech Bóg sprawi, by dało im to radość! A ty jesteś tym służącym, który będzie przynosił dla nich posiłki... Wiele będziesz musiał się nauczyć, żeby wszędzie trafić, teren opactwa jest rozległy. Byłeś już w naszej kuchni?

Nie, panie.

Nie jestem niczym panem — sprostował Cadfael. — Raczej bratem każdego człowieka, jeśli wolisz. A jak ci na imię, przyjacielu? Odtąd będziemy się zapewne dość często widywać, dlatego powinniśmy się lepiej poznać.

Na imię mam Aelfric — powiedział młodzieniec. Odszedł parę kroków od drzwi i z wyraźnym zaciekawieniem rozglądał się wokoło. Ze zdumieniem spojrzął na dużą butlę, w której był olejek z tojadu. — Czy naprawdę jest on aż tak bardzo trujący? Nawet niewielka jego ilość może zabić człowieka?

Wiele innych rzeczy źle użytych albo użytych w nadmiarze również może to spowodować — odparł Cadfael. — Nawet wino, jeśli ktoś wypije nadmierną ilość. Nawet dobre jedzenie, jeśli ktoś pochłonie go zbyt dużo. Czy twoi domownicy zadowoleni są z tego nowego miejsca?

Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić — odparł ostrożnie Aelfric.

W jakim był wieku? Dwadzieścia pięć lat albo coś koło tego? W każdym razie niewiele więcej. Nastroszony jak dotknięty jeż, czujny wobec całego świata. Niewolny, pomyślał ze współczuciem Cadfael, bardzo wrażliwy i szybko reagujący. Służący człowieka mniej wrażliwego niż on sam? Całkiem możliwe.

Ile osób jest w domu?

Mój pan i pani, i ja. I służąca.

Służąca! Ani słowa więcej, mocno zaciśnięte usta.

No cóż, Aelfricu, będziesz tu zawsze mile widziany i zawsze dam ci dla twej pani wszystko, czego będzie potrzebować, jeśli tylko będę to mieć. Czego potrzebuje tym razem?

Prosi o trochę szaławii i bazylii. Przywiozła ze sobą jakąś gotową już potrawę i chce, żeby ją odgrzać na wieczерę — wyjaśnił Aelfric wyraźnie mniej spięty. — Ale brak jej tych ziół.

Ciekawa rzecz, że przeprowadzając się tu, zostawiła mnóstwo rzeczy.

Zawsze chętnie podzielę się tym, co mam, wystarczy, że przyśle

kogoś po to. A tu masz po pęczku tych ziół. Czy twoja pani jest dobrą gospodynią?

O, tak — odparł młodzieniec i zamilkł nagle tak samo jak wtedy, gdy wspomniał o służącej. Zmarszczył czoło i zamyślił się. — Ona była wdową, kiedy poślubiła mego pana. — Wziął oba pęczki ziół, tak mocno chwytając je za łodygi, jakby komuś ścisnął gardło. Czyje, jeśli tak złagodniał, wspominając swoją panią? — Uprzejmie dziękuję bratu.

Odwrócił się szybko i bezszelestnie. Drzwi się otworzyły i zamknęły w jednej chwili. Cadfael pograżył się w myślach. Do niesporów była jeszcze godzina. Może pójdzie do infirmerii i ucieszy przytępione uszy brata Rhysa słodkimi dźwiękami walijskiej mowy, i wetrze w jego bolące stawy olejek z tojadu. Tak, trzeba to zrobić.

Ale co z tym młodzieńcem, uwięzionym we własnych smutkach, ranach i nienawiści, co dla niego uczynić? Człowiek nic-wolny, jak sądził Cadfael, który na pierwszy rzut oka potrafił rozpoznać czyjąś przynależność społeczną, obdarzony uzdolnieniami przewyższającymi jego stan, czymś udręczony i to niejedną chyba sprawą. Przypomniał sobie wzmiankę o służącej, wypowiedzianą zazdrośnie przez zęby.

Ostatecznie, dopiero co przyjechali tu we czworo. Czas wszystko leczy. Cadfael umył ręce tak starannie, jak to zalecał swoim gościom, zlustrował uważnie swoje uśpione królestwo i ruszył do infirmerii.

Brat Rhys, staruszek z siwą głową zwieńczoną tonsurą, siedział koło starannie posłanego łóżka, niedaleko od ognia. Wyglądał na człowieka zadowolonego, na kogoś, kto wbrew wszelkim przeciwnościom zrobił wszystko, co do niego należało. Nie ogoloną brodę miał wysuniętą do przodu, krzaczaste ze starości brwi sterczały na wszystkie strony, a małe bystre oczy, niemal bezbarwne w swojej szarości, rozjaśniała radość. Zapewne dlatego, że tuż obok siedział młody ciemnowłosy mężczyzna, wesoło coś mówiąc do niego po walijsku wprost do ucha, a słowa płynęły jak wiosenny górski strumień. Koszula starca była zsunięta z kościstych pleców, a jego towarzysz energicznie wcierał olejek w stawy zręcznymi palcami, wywołując u pacjenta pomruki zadowolenia.

Widzę, że ktoś mnie ubiegł — szepnął Cadfael do ucha stojącego w

drzwiach brata Edmunda.

To jego krewniak — odparł brat Edmund równie cicho. — Młody Walińczyk z północy hrabstwa, skąd pochodzi Rhys. Przybył tu dziś, żeby pomóc nowym lokatorom osiąść w ich domu nad stawem. Jest jakoś z nimi związany — chyba jest czeladnikiem zięcia tej kobiety. Ponieważ był w pobliżu, postanowił dowiedzieć się o naszego staruszka, co bardzo dobrze o nim świadczy. Rhys zaczął się skarżyć na bóle, więc ten młodzieniec spytał, czy może w jakiś sposób mu pomóc, no i zapędziłem go do roboty. Skoro tutaj przyszedłeś, bracie, to porozmawiaj z nimi, z tobą nie muszą gadać po angielsku.

Czy ostrzegłeś go, że musi potem bardzo starannie umyć ręce?

Pokazałem mu, gdzie ma to zrobić i gdzie odstawić butelkę, jak skończy. Zrozumiał, o co chodzi. Po twoim wykładzie, czym grozi to smarowidło, nie naraziłbym nikogo na niebezpieczeństwo. Powiedziałem mu, co się może stać, gdyby go użyć niewłaściwie.

Młody Walińczyk natychmiast przerwał nacieranie, kiedy Cadfael się zbliżył, i z szacunkiem wstał, ale zakonnik dał mu znak ręką, żeby z powrotem usiadł.

— Daj spokój, chłopcze, nie chcę ci przeszkadzać. Przeszedłem tu, żeby chwilę porozmawiać ze starym przyjacielem i natrzeć go, ale jak widzę, wyprzedziłeś mnie w robocie i całkiem dobrze ci to idzie.

Młodzieniec usłuchał Cadfaela i znów zaczął wcierać silnie pachnący olejek w pomarszczone plecy brata Rhysa. Miał może dwadzieścia cztery albo dwadzieścia pięć lat, był mocnej budowy, a jego kwadratowa, dobroduszna, mocno opalona twarz świadczyła o tym, że dużo przebywa na powietrzu; była to prawdziwie walijska twarz, gładko wygolona, stanowcza, włosy i brwi miał gęste i czarne. Do brata Rhysa uśmiechał się wesoło i przekomarzał się z nim jak z dzieckiem, co było w nim bardzo ujmujące i zyskało mu życzliwość Cadfaela, bo przecież brat Rhys istotnie wrócił do dzieciństwa. Dziś, za sprawą swego gościa, ożywiony był o wiele bardziej niż zazwyczaj.

Tylko patrz, Cadfaelu — zapiszczał cienko, poddając się z przyjemnością zręcznym palcom młodego człowieka — mój krewniak pamięta jeszcze o mnie. To jest syn mojej siostrzenicy, Angharad. Przeszedł mnie odwiedzić, na imię ma Meurig. Pamiętam dobrze, kiedy się urodził... Co tam, pamiętam czasy, kiedy ona się urodziła, malutka córeczka mojej siostry. Wiele lat minęło od czasu, kiedy ją widziałem

ostatni raz... a ty, chłopcze, gdybyś tylko pomyślał, tobyś wcześniej mnie tu odwiedził. Ale w dzisiejszych czasach młodzi są pozbawieni uczuć rodzinnych. — Bardzo był ożywiony i wyraźnie cieszyło go, że raz chwali gościa, to znów czyni mu nielogiczne wymówki, co, jak wiadomo, jest przywilejem patriarchy. — A dlaczego ona sama nie przyjechała? Dlaczego nie przywiozłeś ze sobą swojej matki?

To długa podróż z północy hrabstwa — odparł Meurig gładko — a w domu zawsze jest nadmiar roboty. Ale ja teraz jestem bliżej, pracuję dla stolarza i snycerza tu w mieście, tak że będę tu często przychodzić. I nieraz jeszcze będę cię, dziadku, nacierać, a jak nadejdzie wiosna, wyprowadzę cię na wzgórze, żebyś zobaczył pasące się owce.

Moja siostrzenica, Angharad — wymruczał z radosnym uśmiechem staruszek — była najładniejszym dzieckiem w połowie hrabstwa i wyrosła na piękną dziewczynę. Ile lat teraz by miała? Chyba czterdzieści pięć, ale głowę dałbym sobie uciąć, że nadal jest piękna jak przedtem... nic mów mi, że jest inaczej, żadna nigdy jej nie dorównała.

— Jej syn przecież nie może powiedzieć, że jest inaczej — zgodził się natychmiast Meurig.

Czyż wszystkie dawno nie widziane siostrzenice nie są piękne? Czyż lata ich dzieciństwa nie były zawsze promienne, a leśne owoce, które zbierali, słodsze niż te rosnące obecnie? Od kilku lat brat Rhys uważany był za nieco dziedzinniałego: mówił często od rzeczy, pamięć go zawodziła, fantazja za to kwitła — opisywał wypadki, jakie nigdy nie zdarzyły się na lądzie ani morzu. Ale może zdarzyły się gdzie indziej? Teraz, w obecności tego kipiącego energią młodzieńca, świadom łączących ich więzów krwi, zaczął sobie wszystko szybko przypominać. Zapewne nie potrwa to długo, ale dopóki trwało, był to królewski dar.

— Niech dziadek odwróci się nieco do ognia, o tak, czy to jest właśnie to miejsce?

Rhys poruszył się i głośno syknął, jak uderzony kot, a Meurig roześmiał się i mocniej zaczął ugniatać ciało, rozmasowując wszystkie węzły tak energicznie, że choć było to bolesne, sprawiało również przyjemność.

Jak widzę, masz w tym wprawę — zauważył Cadfael, obserwując go z zadowoleniem.

Najczęściej pracowałem przy koniach, które tak samo jak ludzie

cierpią, kiedy mają opuchnięcia czy skaleczenia. Nauczyłem się palcami szukać tych napiętych miejsc i rozluźniać je.

Ale teraz on jest stolarzem — stwierdził z dumą brat Rhys. — I pracuje tu, w Shrewsbury.

Właśnie robimy pulpit pod księgi do kaplicy Matki Boskiej — powiedział Meurig. — A kiedy skończymy, co nastąpi wkrótce, sam przyniosę go do opactwa. I znów, dziadku, przyjdę cię odwiedzić.

I znów wymasujesz mi plecy? Zaraz nastaną chłody, wkrótce Boże Narodzenie i zimno wchodzi mi w kości.

Tak, wymasuję. Ale na dziś wystarczy, bo niepotrzebnie mógłbym ci sprawić ból. A teraz włóż koszulę, zaraz będzie ci ciepłej. Czy skóra nie piecze?

Przez chwilę tak mnie piekło jak po sparzeniu pokrzywami, ale teraz jest mi bardzo dobrze, ciepło. Nie czuję żadnego bólu, tylko duże zmęczenie...

Nic dziwnego, że był zmęczony po tym masażu i przebudzeniu się dawnych wspomnień.

To bardzo dobrze, że tak jest. A teraz się połóż i zaśnij. — Meurig spojrział na Cadfaela, czekając, żeby go poparł. — Tak będzie chyba najlepiej, prawda, bracie?

Najlepsze, co może być. To był męczący zabieg i trzeba po nim wypocząć.

Rhys dał się położyć do łóżka, już zasypiał. Próbował się pożegnać, lecz umilkł, nim doszli do drzwi.

Meurig, przekaz swojej matce moje pozdrowienia. I poproś, żeby tu do mnie przyjechała... jak będą wieźć wełnę na targ w Shrewsbury... Bardzo chciałbym ją znów zobaczyć...

Widać, że bardzo jest przywiązany do twojej matki — powiedział Cadfael, przyglądając się, jak Meurig myje starannie ręce w misce, do której go zaprowadził brat Edmund, i sprawdził, czy zrobił to dokładnie. — Jest nadzieja, że kiedyś jeszcze ją zobaczy?

Na widzianej z profilu twarzy Meuriga, kiedy mył i skrobał swoje ręce, malowała się powaga i zamyślenie, tak odmienne od beztróskiej wesołości, jaką okazywał przy starym człowieku. Po chwili odezwał się:

— Nie na tym świecie. — Odwrócił się, żeby wziąć szorstki ręcznik i spojrział prosto w oczy Cadfaelowi. — Na świętego Marcina

minęło jedenaście lat, kiedy moja matka umarła. On wie o tym, albo wiedział, równie dobrze jak ja. Ale jeśli ona żyje znów w jego zdziecinnieniu, po co miałbym mu o tym przypominać? Niech zachowa w pamięci to wszystko, co mu sprawia przyjemność.

Wyszli razem, milcząc, w chłodne powietrze wielkiego dziedzińca i tutaj się rozstali. Meurig szybko ruszył w kierunku wartowni przy bramie, Cadfael do kościoła na nieszpory, które lada chwila miał obwieścić dzwon.

— Pomyślności! — powiedział Cadfael przy pożegnaniu. — Przypomniałeś dzisiaj staremu człowiekowi kawałek jego młodości. Uważam, że starzy ludzie należący do waszej rodziny są szczęśliwi, że mają tak dobrych synów.

— To rodzina mojej matki — powiedział Meurig, zatrzymując się w pół kroku i spoglądając na Cadfaela swoimi wielkimi czarnymi oczami. — Z nią jestem związany. Mój ojciec nie był Walińczykiem.

I ruszył przed siebie, wydłużając krok; jego mocno zbudowana sylwetka mignęła w mroku. Cadfael zaczął o nim rozmyślać, tak jak przedtem rozmyślał o niewolnym Aelfricu. Jednak po wejściu do kościoła przerwał swoje rozważania. Miał przed sobą inny, ważniejszy obowiązek. Ostatecznie, ci młodzi ludzie byli odpowiedzialni za samych siebie. A jego to nie dotyczyło.

Jeszcze nie!

Rozdział 2

Była prawie połowa grudnia, kiedy służący Aelfric przyszedł znowu do herbarium po zioła do kuchni dla swojej pani. Teraz wrósł już w codzienną krzątanie na wielkim dziedzińcu, a wśród ogólnego hałasu i ruchu na jego uporczywe milczenie zazwyczaj nikt nie zważał. Cadfael widywał go rano, kiedy przychodził do piekarni i spiżarni po codzienną porcję chlebów i piwo; zawsze milczący, zawsze zaaferowany i szybki, zamknięty w sobie, jak gdyby każde opóźnienie mogło spowodować karę, co było całkiem możliwe. Brat Marek, zainteresowany kimś równie samotnym i zatroskanym jak on sam, próbował skłonić przybysza do rozmowy, ale z nikłym rezultatem.

Jednak trochę się rozkręcił — powiedział zamyślony Marek, kopiąc obcasami ławkę w chacie Cadfaela, który właśnie ucierał jakąś maść. — Nie sędzę, żeby tak naprawdę był nieprzyjazny, chyba coś mu leży na sercu. Kiedy go czasem pozdrawiam, prawie się uśmiecha, ale nigdy nie zatrzyma się i nie zagada pierwszy.

Ma swoją pracę i możnego pana, któremu niełatwo dogodzić — stwierdził rzeczowo Cadfael.

Słyszałem, że niezbyt dobrze się czuje od chwili przybycia tutaj — powiedział Marek. — To znaczy jego pan. Nie to, żeby był chory, ale jest taki jakiś osłabiony i nie ma apetytu.

Tak się często zdarza, jeśli człowiek nie ma nic do roboty, tylko siedzi i rozmyśla, czy dobrze zrobił, że się zrzekł swojej ziemi, choć

jest już stary. Coś, co się wydaje łatwe w rozważaniach, staje się trudne, gdy zostanie urzeczywistnione.

Ta dziewczyna jest ładna — powiedział z przekonaniem Marek. — Czy brat ją widział?

Nie widziałem. A ty, mój chłopcze, lepiej byś nie przyglądał się kobietom. Ładna jest, powiadasz?

Bardzo ładna. Niezbyt wysoka, pulchna, ma bujne jasne włosy i czarne oczy, co jej dodaje uroku. Widziałem, jak przyszła wczoraj do stajni z poleceniem do Aelfrica. Kiedy odchodziła, patrzył na nią takim jakimś dziwnym wzrokiem. Może to ona jest przyczyną jego zmartwień.

Pewnie tak jest, pomyślał Cadfael, jeśli on był poddanym niższego stanu, a ona wolną kobietą, która nie miała nawet ochoty spojrzeć na pańszczyźnianego chłopca, i codziennie ocierali się o siebie w domu znacznie mniejszym niż ten w Mallilie.

Może się też stać powodem kłopotów dla ciebie, chłopcze, jeśli brat Hieronim albo przeor Robert zobaczą, że się za bardzo nią interesujesz — skarcił go Cadfael. — Jeśli musisz podziwiać ładną dziewczynę, to rób to kątem oka. Nie zapomnij, że nasza reguła ma być zreformowana.

Och, jestem ostrożny!

Brat Marek wcale się teraz nie bał Cadfaela i przejął od niego raczej nieortodoksyjne poglądy na to, co jest, a co nie jest dopuszczalne. W każdym razie powołanie tego chłopca nie było wątpliwe czy zagrożone. Gdyby czasy stały się jeszcze bardziej niespokojne, mógłby dostać zezwolenie na wyjazd z klasztoru i studiowanie w Oksfordzie, ale gdyby nawet do tego nie doszło, Cadfael był całkiem przekonany, że w końcu złoży śluby i zostanie zakonikiem, i to dobrym, świadomym, że kobiety istnieją na świecie, pełnym szacunku wobec ich istnienia i doceniającym ich wartości. Marek poszedł do klasztoru niechętnie i z oporami, ale znalazł tu swoje miejsce. Nie każdy miał tyle szczęścia.

Któregoś pochmurnego dnia po południu do chaty przyszedł Aelfric i poprosił o suszoną miętę.

Moja pani chce przygotować memu panu kordiał miętowy.

Słyszałem, że nie dopisuje mu ani humor, ani zdrowie — Powiedział Cadfael, przekładając lniane worki, emanujące

aromatycznymi zapachami, które młody człowiek z wyraźną przyjemnością wdychał. W łagodnym świetle izby jego ponura twarz jakby nieco się rozpozodziła.

Nic go specjalnie nie boli, to raczej cierpienie duchowe niż fizyczne. Poprawi mu się, jak będzie w lepszym nastroju. To przez te rodzinne zatargi — oświadczył Aelfric z nieoczekiwaną szczerością.

To musi być dla was wszystkich trudne, zwłaszcza dla twojej pani — powiedział Cadfael.

Ona robi dla niego wszystko, co w jej mocy, nic jej nie można zarzucić. Ale przez to swoje zdenerwowanie mój pan skłócony jest ze wszystkimi, nawet z sobą samym. Spodziewał się, że jego syn przyjdzie do niego i upokorzy się przed nim, żeby otrzymać z powrotem swoje dziedzictwo. Dlatego jest tak rozczarowany i przygnębiony.

Cadfael spojrzał na niego zdumiony.

Chcesz powiedzieć, że wydziedziczył syna, żeby swój majątek przekazać opactwu? Chciał zrobić mu na złość? Zgodnie z prawem nie mógł tego zrobić. Żaden klasztor nie przyjąłby takiej darowizny bez zgody spadkobiercy.

To nie jest jego rodzony syn. — Aelfric wzruszył ramionami i potrząsnął głową. — To syn jego żony z poprzedniego małżeństwa, więc nie może rościć sobie żadnych praw. To prawda, że mój pan zrobił testament i uznał go za swego spadkobiercę, ale kapituła opactwa przekreśla to albo przekreśli, kiedy umowa zostanie opatrzona pieczęciami i poświadczona przez świadków. Prawo nic tu nie pomoże. Pokłócili się i on stracił obiecany majątek i wszystko, co do niego przynależy.

Czym sobie zasłużył na takie traktowanie? — spytał zdziwiony Cadfael.

Aelfric wzruszył ramionami, które, choć szczupłe, były, jak zauważył Cadfael, proste i szerokie.

— Jest młody i nieobliczalny, a mój pan stary i nerwowy, nie przywykł do tego, żeby mu się ktoś sprzeciwiał. Chłopak też stawia się ostro, kiedy jego niezależność jest zagrożona.

A co się z nim dzieje teraz? O ile dobrze pamiętam, powiedziałeś, że jest was w domu czworo.

Kark ma tak twardy jak mój pan, zamieszkał razem ze swoją zamezną siostrą i jej rodziną i uczy się rzemiosła. Mój pan oczekiwał,

że wróci z podkulonym ogonem, ale nic z tego nie wyszło i pewno nie wyjdzie.

Dla matki wydziedziczonego chłopca, szarpanej w dwie strony wskutek tej niezgody, to bardzo trudna sytuacja, pomyślał ze współczuciem Cadfael. To wyjaśnia akt złości, którego stary człowiek zapewne już żałuje. Podał Aelfricowi pęk łądyg mięty; jej owalne liście były nie naruszone i nadal zielone, gdyż suszyła się podczas największych letnich upałów.

— Twoja pani musi je utrzcć sama, gdyż w ten sposób zachowa się lepiej zapach. Gdyby potrzebowała więcej mięty, daj mi zawczasu znać, to drobno ją zetnę, ale teraz nie chcę, by zbyt długo czekała. Mam nadzieję, że ten kordiał trochę uspokoi twego pana, co jemu i jego małżonce wyjdzie na dobre, a i tobie także

— powiedział Cadfael i klepnął Aelfrica lekko po ramieniu.

Jego smutna twarz wykrzywiła się przez chwilę jakby w uśmiechu, jednak gorzkim i pełnym rezygnacji.

— Ludzie niewolni są w tym nowym domu kozłami ofiarnymi — wyszeptał cicho, ale z nieoczekiwaną pasją, i szybko wyszedł z chaty, powiedziawszy przedtem kilka spiesznych słów podziękowania.

Zwykle przed nadejściem Bożego Narodzenia wielu kupców ze Shrewsbury i właścicieli pomniejszych okolicznych majątków zaczynał niepokoić stan ich duchowego życia, wobec czego Pragnęli pokazać, jak dobrymi są chrześcijanami, czyniąc to oczywiście możliwie najmniejszym kosztem. Dlatego też klasztorny wikt zakonników od Świętego Piotra, złożony z fasoli, grochu, ryb i z rzadka pośledniejszego gatunku mięsa, nagle się wzbogacił. Na ich stole pojawiły się więc ciastka pieczone na miodzie, suszone owoce, kurczaki, czasem nawet udziec sarni i tak te pobożne ofiary stawały się dla nich źródłem wielkiej przyjemności, zwykły dzień przemieniając w święto.

Niektórzy oczywiście nie byli całkiem bezinteresowni w swej hojności i chcieli mieć pewność, że ich dary dostanie opat albo przeor, których modlitwy — jak sądzili — będą bardziej skuteczne niż pomniejszych braci. Na południu Shropshire pewien rycerz,

nieświadom tego, że opat Heribert został wezwany do Londynu przez władze kościelne, posłał mu piękną kuropatwę. Oczywiście, przeor Robert, urzędujący w siedzibie opata, powita ten dar z wielką radością i odesłał go do kuchni, do brata Petrusa, żeby dorodnego ptaka odpowiednio przygotował na obiad.

Brat Petrus, oddany całym sercem opatowi Heribertowi, kipiał niechęcią wobec przeora i choć ucieszył go wielce szczodry dar, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób zepsuć potrawę: przypalić ją, wysuszyć podczas pieczenia czy podać z sosem, który zniszczyłby jej smak. Jednak honor zawodowy i duma nie pozwoliły mu na to. Jedyne, co mógł uczynić, to przygotować kuropatwę według wyszukanego przepisu, który zresztą bardzo lubił, z czerwonym winem i mocno korzennym sosem, duszoną długo i powoli, wskutek czego, jak miał nadzieję, przeor Robert może nic zdoła jej przełknąć.

Przeor był wielce zadowolony z siebie w nowej roli, pewien, że w niedalekiej przyszłości stanie na czele opactwa; rad też był z hojnej darowizny, jaką stanowił majątek Mallilie. Gerwazy Bonel dał się ponieść złości i zapomniał o rozsądku, zamieniając taką posiadłość na dom i skromne utrzymanie, kiedy już liczył sześćdziesiąt lat i chyba wiedział, że niedługo cieszyć się będzie uwolnieniem od wszelkich obowiązków. Niewielkim kosztem można mu było zapewnić kilka dodatkowych przywilejów. Brał Hieronim, który zawsze dostarczał różne wieści z opactwa i spoza jego terenu, doniósł mu, że pan Bonel niezbyt dobrze się czuje i ma kiepski apetyt. Może doceniłby, jako wyraz osobistej uprzejmości opata, danie z jego stołu. Kuropatwa była okazała, mięsista, więc starczyłoby jej i dla Bonela.

Brat Petrus z wielkim namaszczeniem polewał właśnie tłusciutkiego ptaka delikatnym sosem winnym ze szczyptą rozmarynu i odrobiną ruty, kiedy do kuchni wpłynął przeor Robert, cesarskiej postury i papieskiej surowości i stanął nad garnkiem. Jego alabastrowe nozdrza drgały, kiedy wdychał cudowną woń, oczy zaś badały wygląd kuropatwy, równie pociągający jak jej zapach. Brat Petrus pochylił się, żeby ukryć twarz kwaśną jak cytryna, i dalej polewał ptaka z namaszczeniem, mając nadzieję, że przeor nie doceni jego wysiłków i że zamiast zachwyty spotka go rozczarowanie. Ale na próżno; Robert z taką przyjemnością wdychał zapach tej potrawy, że już miał nawet zrezygnować ze szlachetnego zamiaru, by się nią podzielić. Jednak w

porę przypomniał sobie, jak bardzo godnym požądania majątkiem było Mallilie.

Słyszałem — powiedział przeor — że nasz gość w domu przy stawie kiepsko się czuje i nie ma apetytu. Niech brat odłoży jedną porcję tej kuropatwy i pośle choremu wraz z pozdrowieniami ode mnie, jako przysmak po dzisiejszym daniu głównym. Proszę wytrybować kości i posłać to danie w jednej z moich własnych mis. Może pan Bonel skusi się na to, jeśli nie ma apetytu na inne jedzenie, i rad będzie z okazanej mu uwagi. — I po chwili dodał łaskawie: — Zapach ma cudowny.

Staram się, jak mogę — odparł ochryple brat Petrus, żalując, że jest tak dobrym kucharzem.

Tak też i my wszyscy postępujemy — stwierdził z powagą Robert — i tak postępować winniśmy.

Wyszedł godnie, tak jak wszedł, wielce rad z siebie i ze stanu swej duszy. A brat Petrus spoglądał za nim spod zmarszczonych brwi i zbeszał gniewnie dwóch świeckich podkuchennych, którzy dobrze wiedzieli, że kiedy gotuje, należy milczeć i czekać na uboczu, w gotowości, żeby natychmiast wykonać każdy jego rozkaz.

Ale nawet brat Petrus wiedział, że rozkaz to rozkaz. Zrobił, Jak mu polecono, ale po swojemu zemścił się, odkładając dla Onela najlepszą część mięsa z dużą ilością sosu.

— Podobno stracił apetyt? — mruknął pod nosem, kiedy po raz ostatni spróbował sosu, nie ukrywając zadowolenia ze swego kunsztu. — Nawet człowiek na śmiertelnym łożu zjadłby to do ostatniego kawałeczka.

Gdy brat Cadfael szedł do refektarza, zobaczył Aelfrica idącego od strony kuchni opata do głównej bramy i niosącego drewnianą tacę z wysokim obramowaniem, zastawioną przykrytymi płótnem daniami. Goście dostawali lepsze jedzenie niż braciszkanie, choć niewiele się ono różniło z wyjątkiem ilości mięsa, a o tej porze roku zwykle była to solona wołowina. Sądząc po zapachu dolatującym z tacy, tym razem była to wołowina gotowana z cebulą i fasolą. Ale znad niewielkiej, starannie nakrytej, znajdującej się na wierzchu misy unosiła się

niezwykle apetyczna woń. Najwidoczniej nowo przybyły gość miał dziś dostać coś lepszego niż zazwyczaj. Aelfric dźwigał swój ciężar, który musiał być znaczny, z tak wielką ostrożnością, że aż się pochylił, żeby zanieść go szybko i bezpiecznie do domu przy stawie. Od bramy nie było daleko, kilka kroków w lewo, aż do końca muru klasztornego, potem Aelfric musiał pójść lewym brzegiem stawu i już był pierwszy dom, do którego zmierzał. Dalej był most nad rzeką Severn, mur i brama wiodąca do Shrewsbury. Całkiem blisko, ale w grudniu wystarczająco daleko, by jedzenie wystygło. Bez wątpienia służba Bonelów, choć nie musiała wiele gotować, miała swoje własne palenisko, własne garnki i patelnie, opał zaś Bonel również otrzymywał od klasztoru, co było wliczone w należność za przekazany majątek.

Cadfael poszedł do refektarza na swój obiad, który, tak jak przewidywał, składał się z gotowanej wołowiny i fasoli. Nie było tu żadnego smacznego dodatkowego dania. Brat Ryszard, zastępca przeora, siedział na głównym miejscu, przeor Robert jadł oddzielnie w mieszkaniu opata, które uważał już za swoje. Kuropatwa była wyśmienita.

Właśnie odmówili po jedzeniu dziękczynną modlitwę i wstawali od stołu, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie, omal nie uderzywszy w twarz brata Ryszarda, i do sali wpadł świecki brat z domku furtyana, mówiąc coś niezrozumiale i chaotycznie do brata Edmunda, zbyt jednak zdyszany, by potrafił wyjaśnić, o co chodzi.

— Pan Bonel... jego służąca przybiegła... potrzebna jest pomoc...
— Odetchnął głęboko i wreszcie zaczął mówić wyraźnie: — On jest okropnie chory, powiedziała, że chyba umiera... Jej pani błaga, żeby ktoś szybko przyszedł do niego!

Brat Edmund chwycił go za ramię.

Co mu dolega? Czy to apopleksja? Konwulsje?

Nie, z tego, co mówi ta dziewczyna, to nie to. Zjadł obiad i sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, ale nie minęło pół godziny, jak dostał mrowienia w ustach i gardle i chciał wymiotować, ale nie mógł, i zaraz potem zeszytniały mu wargi i szyja... Tak powiedziała!

Wygląda z tego, że jest dobrą obserwatorką, pomyślał Cadfael,

szybkim krokiem ruszając do drzwi.

— Idź przodem, Edmundzie. Dołączę do ciebie, najszybciej jak będę mógł. Wezmę tylko, co trzeba z mojej chaty.

I wybiegł. Edmund też wybiegł, a za bratem Edmundem świecki brat, zwiastun złej nowiny, ciężko oddychając, zmierzając do wartowni przy głównej bramie, gdzie czekała bardzo przejęta dziewczyna. Klucie i mrowienie w ustach i gardle, przypominał sobie objawy Cadfael, biegnąc, a potem sztywnienie i nagła chęć wymiotowania, a przy tym niemożność pozbycia się tego, co zjadł. Wystąpiło to kwadrans temu, teraz jest już więcej niż kwadrans, jeśli przyczyną tych objawów był obiad, który zjadł. Pewno już za późno, żeby mu dać gorczycy na wymioty, ale trzeba spróbować. Choć pewnie to jakaś niedyspozycja. Bonel ostatnio niezbyt dobrze się czuł i po prostu zaszkodziło mu zwykle jedzenie. Ale jednak to mrowienie w jamie ustnej i gardle i potem ta sztywność... Przypominał sobie pewną gwałtowną chorobę, której objawy już kiedyś widział, a która omal nie skończyła się fatalnie; wiedział, co było jej przyczyną. Spiesznie wziął z półki potrzebny mu lek i pobiegł w stronę głównej bramy.

Mimo grudniowego zimna drzwi wejściowe pierwszego domu przy stawie stały otworem, a choć na pozór panował spokój, już w progu wyczuł zamęt, podniecenie, prawie milczącą panikę drobnych ruchów i ściszonych głosów. Ładny dom, z trzema izbami i kuchnią oraz małym ogródkiem z tyłu sięgającym aż do stawu; znał go dobrze, jego poprzednich mieszkańców odwiedzał z racji mniej tragicznych wydarzeń. Drzwi kuchenne wychodziły na Shrewsbury, leżące za rzeką, a północne światło o tej porze dnia i roku sprawiało, że wewnątrz panował półmrok. Skierowane na południe okno, nie zasłonięte okiennicą, wpuszczało trochę światła, ukazując żelazny kosz z rusztem, opalany drewnem, który umożliwiał gotowanie i całkowicie mieszkańcom wystarczał. Cadfael zobaczył szary poblask wody, którą zmarszczył powiew wiatru; ogród był tu wąskim pasem, a dom stał dość wysoko nad poziomem wody.

W otwartych wewnętrznych drzwiach, zza których dobiegał szmer przerażonych głosów, stała najwyraźniej oczekująca go kobieta, z

rękami skrzyżowanymi na piersiach, drżąc z napięcia. Kiedy wszedł, ruszyła mu naprzeciw, wtedy zobaczył ją wyraźniej; była mniej więcej w jego wieku i jego wzrostu, bardzo starannie ubrana, jej ciemne przyprószone siwizną włosy, splecione w warkocz, były wysoko upięte na głowie, twarz miała owalną, prawie gładką, z wyjątkiem bruzd świadczących o miłym usposobieniu i wesołości, którą ujawniały zmarszczki w kącikach jej ciemnobrązowych oczu; usta miała pełne, pociągające. Teraz jednak nie było w niej żadnych oznak wesołości; zaciskała dłonie, patrząc na niego z nadzieją. Była ładna, wręcz piękna. Niezbyt się zmieniła przez te czterdzieści dwa lata.

Poznał ją od razu. Nie widzieli się od czasów, kiedy oboje mieli po siedemnaście lat i byli zaręczeni, o czym tylko oni wiedzieli, gdyż jej rodzina szybko położyłaby temu kres, gdyby się o tym dowiedziało. Ale on wziął Krzyż i popłynął do Ziemi Świętej, i mimo żarliwych przysięg, że wróci do niej pełen chwały, zapomniał o wszystkim, pochłonięty urokiem i niebezpieczeństwami życia marynarza i żołnierza. Potem zbyt długo zwlekał z powrotem, a ona mimo zaklęć i obietnic, że będzie czekać na niego, w końcu zmęczyła się i ustąpiła naleganiom rodziców, by poślubić kogoś o bardziej stałym charakterze, o co trudno ją było winić. On zaś miał tylko nadzieję, że jest szczęśliwa. Ale nigdy, przenigdy nie spodziewał się, że ją tu zobaczy. Przecież, jak wiedział, to nie Bonela, możnego właściciela leżącego na północy majątku poślubiła, lecz solidnego rzemieślnika, rodem ze Shrewsbury. Jednak nie czas było teraz myśleć o niej i snuć domysły.

A przecież poznał ją od razu! Czterdzieści dwa lata minęły, a on ją poznał! Niewiele zapomniał. Ten gwałtowny gest, kiedy się pochyliła w jego stronę, ruch głową, nawet sposób, w jaki miała ułożone włosy, a nade wszystko jej piękne wyraziste oczy.

Chwała Bogu, że ona nie poznała go w tym pierwszym momencie. Jakim cudem mogłaby go poznać? On musiał się o wiele bardziej zmienić niż ona, tak długo żył w obcym jej świecie, który wywarł piętno najego ciele i umyśle. Ona widziała w nim tylko zakonnika, kogoś, kto znał się na ziołach i lekach i przybył tu, by nieść pomoc jej dotkniętemu chorobą mężowi.

Tędy, proszę brata... on jest tu. Infirmier położył go do łóżka. Och, proszę go ratować!

Jeśli tylko zdołam i taka będzie wola boska — powiedział Cadfael i pierwszy wszedł do następnej, głównej izby, w której znajdował się stół i ławy. Zdumiał go widok rozrzuconych resztek posiłku, potłuczone talerze, skorupy leżące zarówno na stole, jak i na podłodze. Ten obiad przerwało coś więcej niż czyjaś nagła choroba. Zdumiony tym widokiem zatrzymał się, lecz kobieta pociągnęła go niecierpliwie za rękaw i weszli do sypialni.

Siedzący przy łóżku brat Edmund wstał; był wyraźnie przerażony. Chorego położył i dobrze okrył, ale nic więcej nie potrafił zrobić. Cadfael podszedł bliżej i spojrzał na Gerwazego Bonela. Miał przed sobą dużego, otyłego mężczyznę o gęstych, brunatnych, siwiejących włosach, z krótką brodą; z kącików jego zeszywniałych, na pół otwartych ust spływała ślina. Twarz jego była ołowianoszara, źrenice oczu rozszerzone, wzrok tępy. Piękne mocne rysy stężały teraz w siną maskę. Tętno, jak wyczuł Cadfael, było słabe, wolne i nierówne; mężczyzna oddychał bardzo płytko i z trudem. Kontury szczęki i szyi były twarde jak kamień.

Przynies miszkę — powiedział Cadfael, klękając — i ubij dwa białka z mlekiem. Postaramy się to coś z niego usunąć, ale obawiam się, że jest za późno; może mu to zaszkodzić, mimo że zwymiotuje. — Nie odwrócił się nawet, by sprawdzić, kto wybiegł, żeby wykonać jego polecenie; wiedział tylko, że ktoś to zrobił. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, co się wokół niego dzieje, ale był świadom, że jest w domu troje innych ludzi, prócz brata Edmunda, pani Bonel oraz chorego. Aelfric i służąca bez wątplenia, ale tego trzeciego rozpoznał dopiero wtedy, kiedy się pochylił, by podsunąć drewnianą miszkę blisko twarzy chorego i przechylić nad nią bezwładną głowę. Cadfael spojrzał w górę, ten szybki i cichy ruch podobał mu się, i wtedy zobaczył przerażoną skupioną twarz młodego Walijczyka Meuriga, ciotecznego wnuka brata Rhysa.

Dobrze! Podnieś ręką jego głowę, Edmundzie, i trzymaj mocno za skronie.

Dość łatwo poszło z wlaniem emetyku z gorzycy do na pół otwartych ust, ale gardło tak zeszywniało, że sporo płynu spłynęło na brodę i do miski. Dłonie brata Edmunda drżały, podtrzymując

umęczoną głowę. Meurig trzymał miskę, on też drżał. Wielkim ciałem chorego wstrząsały konwulsje, jeszcze bardziej osłabiając nikłe tętno. Dla Gerwazego Bonela istotnie było już za późno. Cadfael dał spokój, czekał, by paroksyzm minął, gdyż bał się, że natychmiast zabije pacjenta.

— Podaj mi mleko z jajkami.

Wlewał miksturę bardzo wolno w otwarte usta, starając się, żeby spłynęła w gardło, tak powoli, by pacjent się nie zakrztusił. Za późno, żeby usunąć szkody, jakie trucizna uczyniła w przełyku Bonela, jednak gęsty płyn mógł pokryć ochronną warstwą uszkodzone miejsca i złagodzić ból. Wlewał płyn cierpliwie, łyżeczką,

kropla po kropli w śmiertelnej ciszy, gdyż obecni obawiali się nawet głośniejszemu odetchnąć.

Nagle to duże ciało jakby skurczyło się i opadło na łóżko, tętno jeszcze bardziej osłabło, oczy chorego zasnęła mgła — znieruchomiał. Zesztywniałe całkiem mięśnie gardła nie reagowały. Koniec nastąpił nagle, jego oznaką był tylko zanik tętna i brak oddechu.

Brat Cadfael włożył łyżeczkę do miski z mlekiem i usiadł na piętach. Spojrzał w górę na krąg przerażonych, zdumionych twarzy i po raz pierwszy ujrzał je wszystkie wyraźnie: Meuriga, który w drżących rękach trzymał miskę z jej zawartością; pobladłego Aelfrica, stojącego za bratem Edmundem i wpatzonego w łóżko; dziewczynę — brat Marek nie przesadził, naprawdę była bardzo ładna, z tymi jasnymi włosami i czarnymi oczami — teraz stała nieruchomo, zbyt przerażona, by płakać, a obie małe pięści trzymała przy ustach; i wdowę, panią Bonel, ongiś Richildis Vaughan, której łyzy powoli zbierały się w oczach, kiedy wpatrywała się tępo w swego martwego męża.

— Nic już więcej nie można zrobić dla niego — odezwał się brat Cadfael. — Odszedł.

Wszyscy drgnęli, jakby nagle owionął ich zimny wiatr. Łzy wdowy przelały się i spłynęły po jej nieruchomej twarzy, jak gdyby nadal była zbyt zdumiona, by zrozumieć, co je wywołało. Brat Edmund dotknął jej ramienia i powiedział cicho:

Potrzebna ci będzie pomoc, pani. Jesteśmy wszyscy wielce zasmuceni. Postaramy się uwolnić cię od wszelakich obowiązków, jakie tylko będziemy mogli zdjąć z ciebie. Mążnek twój będzie mógł spoczywać w naszej kaplicy, aż wszystko zostanie załatwione. Wydam

polecenie...

Nie — przerwał mu Cadfael, sztywno wstając — tego nie można jeszcze zrobić, Edmundzie. To nie jest zwykła śmierć. On został otruty, trucizna była w pożywieniu, które ostatnio jadł. To sprawa dla szeryfa, nie wolno tu niczego ruszać, niczego stąd zabierać, dopóki jego ludzie nie zbadają wszystkiego.

Po długiej chwili ciszy pierwszy odezwał się ochryple Aelfric:

Ale jakżeż to możliwe? To niedorzeczne! Wszyscy jedliśmy to samo. Gdyby coś złego było w jedzeniu, również i my byśmy zachorowali.

To prawda! — powiedziała drżącym głosem wdowa i głośno załkała.

Wszystko z wyjątkiem jednego dania — wtrąciła się służąca wylęknionym, lecz zdeterminowanym głosem i zaczerwieniła się, gdyż wszyscy na nią spojrzeli. Ciągnęła jednak dalej: — Tego, które przeor przysłał naszemu panu.

Przecież to była część obiadu przeora — odparł przerażony Aelfric. — Brat Petrus powiedział mi, że dostał polecenie, by odłożyć jedną porcję i na pobudzenie apetytu posłać memu panu wraz z pozdrowieniami.

Brat Edmund również z przerażeniem spojrzął na Cadfaela i zrozumiał, że obaj lękają się tego samego. Spiesznie rzekł:

Pójdę do przeora. Prośmy Niebiosa, by nie stała mu się żadna krzywda! Poślę także po szeryfa. Przeor Robert zrobi wszystko, co do niego należy. A ty, bracie, zostań tu, dopóki nie wrócę, i bacz, by nic nie zostało ruszone.

Z pewnością to uczynię — odparł ponuro Cadfael.

Ledwie na drodze ucichło szybkie kłapanie sandałów brata Edmunda, Cadfael zaprowadził swoich oszołomionych towarzyszy do sąsiedniej izby, żeby nie wdychali okropnej woni przenikającej pokój sypialni: woni wymiotów, potu i śmierci, i jeszcze czegoś, słabego, ale dającego się wyczuć nawet w tej mieszaninie zapachów, czegoś, co zdołałby rozpoznać, gdyby miał chwilę, by spokojnie zebrać myśli.

— Tu już nic nie zdołamy zrobić — powiedział współczująco. —

Trzeba czekać na przedstawicieli władzy, żeby wyjaśnili przyczynę śmierci. Jak będziemy tu stać, to będzie jeszcze gorzej. Wyjdźmy stąd i usiądźmy. Jeśli w tym dzbanie jest wino albo piwo, daj się, dziecko, napić swojej pani, sama też się napij, usiądźcie i postarajcie się uspokoić, jeśli wam się to uda. Podlegacie teraz opactwu i będzie ono was bronić w miarę swych możliwości.

W milczeniu uczynili tak, jak im polecił. Tylko Aelfric spojrział bezradnie na szczątki potłuczonych talerzy, pobrudzony stół. I pamiętając pewno o swojej służebnej roli, spytał drżącym głosem:

Czy nie powinienem tu posprzątać?

Nie, niczego jeszcze nie ruszaj. Usiądź sobie i staraj się uspokoić. Wysłannik szeryfa musi wszystko to zobaczyć, dopiero wtedy można będzie zrobić porządek.

Zostawił ich na chwilę samych i wrócił do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Dziwny aromatyczny zapach był teraz prawie niewyczuwalny, stłumiony odrażającym odorem wymiotów, ale kiedy pochylił się nad wykrzywionymi wargami zmarłego, znów go poczuł, tym razem wyraźniej. Zapewne nos Cadfaela, opalony i pokiereszowany, nie był zbyt urodziwy, ale był tak wyczulony jak nozdrza jelenia.

Nie potrzebował dłużej szukać w tym pokoju śmierci. Wrócił do przebywających obok zrozpaczonych ludzi. Wdowa siedziała z rękami mocno splecionymi na kolanach i bezustannie powtarzała cicho: „Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać?” Dziewczyna, która cały czas nie uroniła ani jednej łzy, była teraz zazdrośnie opiekuńcza i siedziała obok swej pani, obejmując ją ramieniem; było w tym coś więcej niż wierność służącej. Dwaj młodzi mężczyźni chodzili tam i z powrotem, nie mogąc zachować spokoju. Cadfael stanął z dala od nich w cieniu i uważnie oglądał zastawiony stół. Były na nim trzy nakrycia, trzy kielichy, Jeden z nich, na miejscu pana domu, gdzie fotel zastępował ławę bez oparcia, leżał na ziemi w kałuży piwa, przewrócony pewno wtedy, gdy Bonel poczuł pierwsze bóle i zerwał się ze swego miejsca. Duży półmisek, zawierający główne danie, stał na środ-ku, były na nim jeszcze jego ostygłe resztki. Jedzenie na jednej tacy było ledwie tknięte, na innych zjedzone całkowicie. Pięć osób, nie, najwyraźniej sześć — jadło z tego półmiska i tylko jednej zaszкодziło. Zauważył też małą misę, wiedział, że należała do opata Heriberta, taką samą widział na tacy Aelfrica, kie-

dy szedł przez podwórzec. Zostało na niej tylko trochę sosu; najwyraźniej dar przeora Roberta został przez zmarłego doceniony.

Czy nikt z was, oprócz pana Bonela, nie jadł tej kuropatwy? — spytał Cadfael, pochylając się nad misą i kilkakrotnie wciągając powoli powietrze w nozdrza.

Nikt — odparła wdowa drżącym głosem. — To danie zostało przesłane memu mężowi w dowód szacunku.

Zjadł więc wszystko sam, a rezultat tego był tragiczny.

A wy troje, Meurig, Aelfric i ty, dziecko, nie znam jeszcze twego imienia...

Na imię mam Aldith — odparła służąca.

Aldith! A wy troje jedliście w kuchni?

Tak. Musiałam trzymać w ciepłe tę podarowaną potrawę, dopóki nie została zjedzona poprzednia, i dopilnować podania jej. Aelfric zawsze jada tutaj. A Meurig, kiedy przyjdzie z wizytą... — urwała na sekundę i lekki rumieniec zabarwił jej policzki — ..dotrzymuje mi towarzystwa.

A więc tak to wyglądało. Trudno się dziwić, rzeczywiście była bardzo ładnym stworzeniem.

Cadfael wszedł do kuchni. Garnki i patelnie utrzymywała w idealnym porządku, była nie tylko ładna, ale i pracowita. Palenisko miało z dwóch stron wysoką żelazną ramę, na której leżała żelazna płyta. Na niej z pewnością Aldith postawiła misę z kuropatwą, żeby nie wystygła, nim Bonel nie zjadł głównego dania. Dwie ławy oparte o ścianę znajdowały się dość blisko źródła ciepła. Trzy drewniane półmiski, wszystkie używane, stały na półce pod otwartym oknem.

Za jego plecami panowała pełna przerażenia cisza. Cadfael wyszedł przez otwarte drzwi kuchni i spojrzął na drogę.

Na szczęście nie będzie drugiej ofiary i jeszcze jednej zagadki do rozwiązania, pomyślał. Oto w rozwianym habicie zbliżał się przeor Robert, zbyt czcigodny, żeby biec, jednak nogi miał tak długie, że brat Edmund musiał podążać truchtem, chcąc dotrzymać mu kroku; na jego twarzy malowało się wyniosłe zdumienie i irytacja.

— Posłałem świeckiego brata do Shrewsbury — powiedział przeor,

zwracając się do zebranych domowników — żeby poinformować szeryfa o tym, co się stało, czyli, jak mi powiedziano, o tej śmierci, madame, i bardzo pani współczuję z powodu jej straty! Podobno nie jest to śmierć naturalna, lecz została spowodowana trucizną. To straszne, choć należy pamiętać o tym, że nastąpiła poza murami naszego domu, a więc poza jurysdykcją sądu naszego opactwa. — Przynajmniej za to był wdzięczny losowi i miał rację! — Dlatego tylko władze świeckie mogą tę sprawę wyjaśnić. Oczywiście, naszym obowiązkiem jest udzielić im wszelkiej możliwej pomocy.

Choć manieri jego były bez zarzutu, choć łaskawie pochylił się w stronę wdowy, choć niezwykle starannie dobierał słów pełnych współczucia, obiecując pomoc przy smutnym obrządku pogrzebowym, długie to przemówienie świadczyło o jego wzburzeniu. Jak coś takiego mogło się zdarzyć właśnie teraz, kiedy on dopiero co zaczął sprawować władzę nad opactwem, a bezpośrednią przyczyną tragedii był jego dar? Całą nadzieję pokładał w tym, że zrozpaczoną wdowę jakoś pocieszy odpowiednio uroczystym pogrzebem, grzebiąc jednak zmarłego na uboczu, jak najdalej od kościoła, odpowiedzialnością zaś obarczając szeryfa, co zresztą było zgodne z prawem, i uciszy całą sprawę najszybciej jak się da. Z odrazą zatrzymał się w progu sypialni, przelotnie spojrzął na zmarłego, odmówił krótką modlitwę i szybko zamknął za sobą drzwi. W jakimś sensie wszystkich tu obecnych winił za to, że narazili go na tak ciężkie przeżycie i niewygodę; jednak największą pretensję miał do Cadfaela, który z całą stanowczością stwierdził, że przyczyną śmierci była trucizna. To zobowiązywało opactwo co najmniej do zbadania okoliczności. Ponadto wyłoniła się jeszcze sprawa umowy, która nie została opatrzona pieczęciami, i niepokojąca możliwość, że utraci Mallilie. Ponieważ Bonel zmarł, nim dokument przekazania majątku się uprawomocnił, do kogo ta intratna własność teraz należała? I czy może być załatwiona dzięki zaskoczeniu szybkim działaniem ewentualnego spadkobiercy, nim zdąży się on dobrze zastanowić nad tym, co podpisuje?

Brat stwierdził — odezwał się Robert, patrząc z góry. Znad swego długiego nosa, na Cadfaela, który był od niego o głowę niższy — że trucizna podana była tutaj. Nim to straszne podejrzenie zostanie przedstawione ludziom szeryfa, bez wzięcia pod uwagę możliwości przypadkowego użycia jej albo nagłej, tragicznej w skutkach choroby,

gdyż i to się zdarza ludziom pozornie całkiem zdrowym, chciałbym usłyszeć powody, dla których brat złożył tak stanowcze oświadczenie. Skąd brat to wie? Co za tym przemawia?

Charakter dolegliwości zmarłego — odparł Cadfael. — Odczuwał on klucie i drętwienie warg i gardła, a potem ich sztywnienie, tak że nie mógł ani przelikać, ani swobodnie oddychać, wreszcie nastąpiło zeszywnienie całego ciała i wielkie osłabienie serca. Źrenice jego były bardzo rozszerzone. Kiedyś byłem świadkiem takich objawów, ale wtedy wiedziałem, co ten człowiek połknął, ponieważ flaszkę trzymał w ręku. Może ojciec pamięta, zdarzyło się to kilka lat temu. Podczas jarmarku pijany woźnica włamał się do mojej chaty i był pewien, że pije mocny trunek. Jego udało mi się uratować, ponieważ znalazłem się przy nim wkrótce po wypiciu trucizny. W przypadku pana Bonela zbyt wiele czasu upłynęło, nim dotarłem do niego. Rozpoznałem wszystkie objawy i dlatego wiem, jaka to była trucizna. Czułem też jej zapach z jego ust i z resztek lej potrawy, jaką ojciec mu posłał.

Jeśli nawet przeor Robert zbladł na myśl, co to mogło oznaczać, zmiana ta nie była widoczna, gdyż jak zawsze twarz jego była koloru kości słoniowej. Trzeba mu było oddać sprawiedliwość, z pewnością nie był człowiekiem tchórzliwym. Spytał wprost:

Co to za trucizna, skoro brat jest tak pewien?

To olejek, jaki robię do nacierania bolących stawów i pochodzi on albo z zapasu, jaki mam w swej chacie, albo z mniejszej porcji, która znajduje się tylko w jednym miejscu, mianowicie w naszej własnej infirmerii. Tą trucizną jest tojad, czyli kaptur mnicha, nazywany tak od kształtu kwiatów tej rośliny. Lekarstwo z jego korzeni, wcierane w skórę, znakomicie koi ból, jednak połknięte jest bardzo silną trucizną.

Jeśli brat potrafi robić lekarstwo z tej rośliny — stwierdził przeor z lodowatą niechęcią — to równie dobrze potrafią to robić inni ludzie, dlatego mogło pochodzić z całkiem innego źródła, a nie z naszych zapasów.

Wątpię w to — rzekł stanowczo Cadfael — ponieważ bardzo dobrze znam zapach mego specyfiku i potrafię wyczuć w nim gorczycę, rojnik murowy, jak również tojad. Już raz widziałem jego działanie po zażyciu, tutaj rozpoznałem je ponownie. Nie mam żadnych wątpliwości i powiem to szeryfowi.

To bardzo dobrze — powiedział Robert nadal lodowatym tonem —

gdy ktoś zna swoją robotę. Niech więc brat zostanie tu i przekaże panu Prestcote'owi albo jego ludziom to, co uważa za prawdę. Ja porozmawiam z nimi pierwszy, jestem bowiem teraz odpowiedzialny za spokój i porządek w naszym zgromadzeniu. Potem przyślę ich tutaj. Kiedy będą pewni, że zebrali wszystkie fakty, jakie można ustalić, proszę dać znać bratu infirmerowi, a on zajmie się odpowiednio ciałem i przewiezie je do kaplicy. Madame — odezwał się całkiem innym tonem, zwracając się do wdowy — proszę się nie martwić tym, że jej tenuta u nas zostanie zawieszona. Nie przysporzymy ci trosk, doprawdy, pani, bardzo współczujemy w jej rozpaczy. Gdybyś miała jakieś potrzeby, proszę do mnie przysłać swego służącego. — A do brata Edmunda, który kręcił się niepewnie, powiedział: — Brat pójdzie ze mną! Chciałbym zobaczyć, gdzie są trzymane te medykamenty i czy są dostępne dla ludzi postronnych. Brat Cadfael zostanie tutaj.

Odszedł równie godnie, jak się pojawił, i tym samym szybkim krokiem, a brat infirmer podreptał tuż za nim. Cadfael spoglądał za nimi z tolerancyjną wyrozumiałością: oczywiście Robertowi, który dopiero zaczął piastować tak odpowiedzialne stanowisko, Przytrafiła się fatalna rzecz i dlatego robi wszystko, co w jego mocy, żeby ukazać tę śmierć jako godny pożałowania, lecz całkiem naturalny zgon, rezultat jakiegoś nagłego ataku. Z powodu nie załatwionego prawa własności będzie miał wystarczająco wiele kłopotów, ale robi wszystko, co tylko możliwe, żeby uciszyć skandaliczne podejrzenie o morderstwo, a jeśliby nawet musiał zgodzić się z tym, dopilnuje, by sprawa została zatuszowana jako nie rozwiązana zagadka, przypisana jakiemuś nie zidentyfikowanemu złooczyńcy spoza terenu opactwa. Cadfael me mógł go z tego powodu winić, lecz to lekarstwo, własnoręcznie przez niego sporządzone, mające usuwać ból, zostało użyte, by zabić człowieka, dlatego nie miał zamiaru puścić tego płazem.

Z westchnieniem wrócił do pogrążonych w smutku domowników. I nieoczekiwanie napotkał wzrok wdowy; jej ciemne, błyszczące bez łez oczy patrzyły na niego tak znacząco i promiennie, jakby w jednej chwili ubył jej dwadzieścia lat i wielki ciężar spadł z ramion. Już przedtem zorientował się, że choć z pewnością jest wstrząśnięta, śmierć męża nie złamała jej serca; w tej chwili chodziło jednak o coś innego. Teraz bez wątpienia była tą Richildis, którą zostawił, gdy miała siedemnaście lat. Delikatny rumieniec pojawił się na jej policzkach, cień uśmiechu drżał

na ustach, patrzyła na niego, jakby łączyła ich wspólna tajemnica, niedostępna dla nikogo, której z powodu obecności innych osób w izbie nie mogła wyjawić.

Ta prawda zaświtała mu po długiej chwili całkowitego niezrozumienia; uderzyła go myśl, że jest to najbardziej niepotrzebna i gmatwająca komplikacja, jaka w tej sytuacji mogła się przydarzyć. Przeor Robert, odchodząc, nazwał go imieniem dość rzadkim w tych stronach, co wystarczyło, by przypomnieć komuś, kto sobie już być może na poły przypomniawszy dawne brzmienie głosu, gesty i tylko potrzebował potwierdzenia, że to ta sama osoba.

Od tej chwili jego bezstronność i dystans w tej sprawie były zagrożone. Richildis nie tylko rozpoznała go, ale też wysyłała nagłe, bezsłowne sygnały wdzięczności i ufności, całkowitego przekonania, że może polegać na jego pomocy, tak daleko idącej, że aż bał się o tym pomyśleć.

Rozdział 3

Gilbert Prestcote, szeryf Shropshire, od kiedy latem miasto zdobył król Stefan, miał swoją siedzibę w zamku w Shrewsbury, który, ufortyfikowany, trzymał dla króla, i zarządzał spokojnym teraz hrabstwem z tej właśnie kwatery. Gdyby jego zastępca był obecny w Shrewsbury, kiedy posłaniec przeora Roberta przybył do zamku, Prestcote zapewne posłałby właśnie jego, co brat Cadfael przyjąłby z ulgą, gdyż żywił zaufanie do rozsądku Beringara; młodzieniec ten jednak wyjechał akurat do swojego majątku i to sierżant w eskorcie dwóch zbrojnych przybył do domu nad stawem.

Sierżant, duży, brodaty mężczyzna o niskim głosie, cieszył się całkowitym zaufaniem szeryfa i miał prawo działać w jego imieniu. Przede wszystkim zwrócił się do Cadfaela jako przedstawiciela opactwa, ponieważ stamtąd go wezwano, i dlatego Cadfael zrelacjonował mu przebieg wypadków od chwili, kiedy posłano po niego. Sierżant rozmawiał już z przeorem, który z pewnością powiedział, że podejrzana potrawa pochodziła z jego własnej kuchni i została przesłana na jego własne polecenie.

I brat przysięga, że to była trucizna? Że była tylko w tej potrawie, a nie w innych, które zmarły jadł?

Tak, mogę przysiąc — odparł Cadfael. — Niewiele zostało resztek, ale nawet odrobina sosu, jeśli się go weźmie w usta, spowoduje trwające kilka minut pieczenie. Sam to sprawdziłem. Nie ma żadnych

wątpliwości.

A przeor Robert, który jadł pozostałą część kuropatwy, Jest żywy i zdrowy, chwała Bogu. Tak więc gdzieś między kuchnią opata i stołem w tym domu dodano trucizny do jedzenia. Odległość nie była duża, a i czasu mało. Czy to ty, człowieku, przynosisz jedzenie z kuchni do tego domu? Dzisiaj też tak było? Czy gdzieś po drodze zatrzymywałeś się? Rozmawiałeś z kimś? Zostawiłeś gdzieś tacę?

Nic takiego nie zrobiłem — odparł cicho Aelfric. — Gdybym się spóźnił albo jedzenie było zimne, odpowiadałbym za to. Zawsze z wielką dokładnością wypełniam swoje obowiązki, tak też było i dzisiaj.

A tutaj? Co zrobiłeś z tym właśnie daniem, kiedy wszedłeś?

Oddał je mnie — powiedziała Aldith tak szybko i stanowczo, że Cadfael spojrział na nią z nowym zainteresowaniem. — Postawił tacę na ławie przy palenisku, a ja sama tę potrawę przeniosłam na żelazną płytę, żeby nie wystygła, kiedy my dwoje podawaliśmy naszemu panu i naszej pani główne danie. Powiedział mi, że przeor w swej uprzejmości posyła ją naszemu panu. Kiedy ich obsłużyłam w jadalni, usiedliśmy w kuchni, żeby zjeść posiłek.

I nikt z was nie zauważył czegoś podejrzanego w tej kuropatwie? W jej zapachu czy wyglądzie?

Była w bardzo smacznym korzennym sosie, miała piękny zapach. Nie, niczego nie zauważyliśmy. Nasz pan całą tę porcję kuropatwy zjadł ze smakiem i nie zauważył nic złego, aż zaczęły go palić usta, ale to było potem.

Ten sos był tak intensywny — potwierdził Cadfael, zachęcony do wyrażenia swego zdania jej szybkim spojrzeniem — że mógł stłumić zapach i smak samej potrawy. Ilość trucizny nie musiała być duża.

A ty... — sierżant zwrócił się do Meuriga. — Ty też tu byłeś? Jesteś domownikiem?

Nie, teraz nie — odparł szybko Meurig. — Pochodzę z majątku pana Bonela, ale teraz pracuję w mieście dla stolarza Bellecote'a. Przyszedłem tu dziś, żeby odwiedzić mego ciotecznego dziadka starszka w infirmerii; brat infirmer to potwierdzi: a będąc w opactwie, wpadłem tu w odwiedziny. Wszedłem do kuchni akurat w chwili, gdy Aldith i Aelfric zasiadali do posiłku i zaprosili mnie, żebym też coś zjadł.

Starczyło dla nas wszystkich — dodała Aldith. — Kucharz przeora

jest szczodry.

Tak więc wszyscy troje jedliście tutaj. I cały czas pilnowaliście, żeby to specjalne danie się nie przypaliło? A tu... — Mówiąc to, wszedł do sąsiedniej izby i raz jeszcze spojrzął na resztki na stole. — A tu pan Bonel i jego żona... oczywiście. — Nie, nie był głupim człowiekiem, potrafił liczyć i zauważył brak jednej osoby zarówno w domu, jak i w ich rozmowie, jak gdyby wszyscy umówili się, żeby zatuszować nieobecność szóstej osoby. — Tutaj są trzy nakrycia. Kto był trzeci?

Nie mieli wyjścia. Ktoś musiał na to odpowiedzieć. Zrobiła to Richildis. Z całą szczerością, jak gdyby zdziwiona odkryciem tego niedomówienia, powiedziała:

Mój syn. Wszedł, nim mąż zachorował.

Nie kończąc obiadu! Czy to było jego miejsce?

Tak — odparła z godnością i umilkła.

Myślę, madame — powiedział sierzant, uśmiechając się złośliwie — że lepiej będzie, jak pani usiądzie i opowie mi więcej o tym swoim synu. Słyszałem od przeora Roberta, że twój mąż, pani, był właśnie w trakcie przekazywania swojego majątku opactwu w zamian za ten dom i status gościa do końca waszego życia. Po tym, co się tu wydarzyło, ta umowa będzie teraz zawieszona, ponieważ nie została jeszcze opatrzona pieczęciami. Byłoby z wielką korzyścią dla spadkobiercy tej ziemi, założywszy, że taki żyje, usunąć pani męża z tego świata, nim ta umowa zostałaby zatwierdzona. Jeśli jednak ten syn jest z waszego Małżeństwa, konieczna była jego zgoda do zawarcia takiej umowy. Proszę mi wyjaśnić tę zagadkę, w jaki sposób udało się twojemu mężowi, pani, wydziedziczyć własnego syna?

Najwyraźniej nie chciała ujawnić więcej, niż było konieczne, lecz miała tyle rozsądku, iż wiedziała, że zbyt wielki upór wywołałby podejrzenia. Zrezygnowana odparła:

— Edwin jest moim synem z pierwszego małżeństwa. Gerwazy nie miał żadnych ojcowskich zobowiązań wobec niego. Mąż mógł dysponować swoim majątkiem wedle uznania. — Było coś więcej i gdyby tego nie powiedziała, a uczyniliby to inni, prawda zabrzmiałaby gorzej. — Przedtem w swoim testamencie ustanowił spadkobiercą Edwina, zmienił jednak decyzję.

— Ach, tak! A więc, jak się okazuje, był spadkobiercą, który wydziedziczony przez tę umowę wiele miał do zyskania, czyniąc ją

nieważną. I ograniczony czas, żeby tego dokonać — tylko kilka dni albo tygodni, aż zostanie wyznaczony nowy opat. Och, proszę mnie nie wprowadzać w błąd, potrafię myśleć. Każda śmierć może być komuś przydatna, często nie tylko jednemu człowiekowi. Jeszcze inni mogą na niej zyskać. Ale ty, pani. Oczywiście zapewnisz mnie, że twój syn nie należał do nich?

Zagryzła drżącą wargę i chwilę trwało, nim się w sobie zebrała i odparła śmiało:

Nie zamierzam spierać się z tym rozumowaniem. Znam jednak dobrze swego syna i wiem, że choćby nawet bardzo pragnął posiadać ten majątek, nigdy nie uczyniłby tego za taką cenę. Uczy się fachu, postanowił być człowiekiem niezależnym i zapewnić sobie przyszłość.

Ale dziś był tutaj. I odszedł, jak się wydaje, w pośpiechu. Kiedy tu przyszedł?

Przyszedł ze mną — odparł szybko Meurig. — On też terminuje u Martina Bellecote'a, który jest mężem jego siostry i moim majstrom. Przyszliśmy tu obaj dziś rano, poszedł też razem ze mną, jak już kiedyś przedtem, żeby odwiedzić mego starego wujka w infirmerii.

A więc przyszlście do tego domu razem? I razem byliście przez cały ten czas? A przed chwilą powiedziałeś „wszedłem” do kuchni, powiedziałeś „ja”, a nie „my”.

Przyszedł przede mną. Zniecierpliwił się... jest jeszcze młody, zmęczyło go stanic przy łóżku starego człowieka, kiedy my dwaj rozmawialiśmy po walijsku. A jego matka czekała tu żeby się z nim zobaczyć. Poszedł przodem. Siedział przy stole kiedy ja przyszedłem.

— I wstał od stołu, prawie nie jedząc obiadu — powiedział sierżant zamyślony. — Dlaczego? Czy to był dobry pomysł, żeby do wspólnego obiadu zasiadł młody chłopak wraz z tym, który go wydziedziczył? Czy to było pierwsze ich spotkanie od czasu, kiedy opactwo miało przejąć majątek?

Złapał dobry trop i nic dziwnego, byle żółtodziób natychmiast by nim ruszył. Ciekawe, co ja powiedziałbym wobec takich wiele mówiących okoliczności, pomyślał Cadfael, gdybym znalazł się na jego miejscu? Oto młody chłopak, który musi się bardzo spieszyć, by nie dopuścić do uprawomocnienia tej umowy, póki jeszcze jest czas po temu, znajduje się na scenie tuż przed tragedią; przychodzi wprost z infirmerii, w której bywał już przedtem i w której mógł znaleźć środki

ostatecznie rozwiązujące jego problem. A oto Richildis, wytrzymująca dzielnie przeszywający wzrok sierżanta, od czasu do czasu spogląda w kierunku Cadfae-la, w duchu błagając go, by jej pomógł, gdyż w przeciwnym razie jej ukochany syn znajdzie się w potrzasku! Z kolei on sam również bezsłownie błagał ją, by powiedziała od razu wszystko, co przemawiałoby na niekorzyść jej syna, nie zostawiając żadnych niedomówień, gdyż tylko tak mogła odparować wszelkie zarzuty, jakie by mu postawiono.

— To było pierwsze spotkanie od dawna — zaczęła mówić Richildis. — I było ono bardzo przykre, ale to ze względu na mnie Edwin chciał tego. Nie, żeby miał nadzieję zmienić decyzję mego męża, ale po to, żeby mnie uspokoić. Obecny tu Meurig kilka razy próbował namówić go, żeby nas odwiedził, i dziś mu się to udało; jestem mu bardzo wdzięczna za jego wysiłki. Ale mój mąż od razu wystąpił wobec mego syna z zarzutami, wymyślał mu, twierdził, że przyszedł tylko dlatego, żeby odzyskać obiecany majątek — bo był obiecany. Tymczasem Edwin wcale nie miał tego zamiaru. Tak, była kłótnia! Obaj unieśli się gniewem i padły bardzo ostre słowa. Edwin zerwał się od stołu i wybiegł, a mój mąż rzucił za nim tym półmiskiem, pod ścianą widać skorupy. Taka jest cała prawda, proszę spytać moją służbę, Meuriga. Mój syn wybiegł z domu w kierunku miasta. Jestem pewna, że jest teraz tam, gdzie naprawdę ma dom, ze swoją siostrą i jej rodziną.

— Chciałbym cię, pani, dobrze zrozumieć — powiedział sierżant z podejrzaną łagodnością. — Wybiegł z domu przez kuchnię? Tam, gdzie siedzieli ci troje? — Gwałtownie odwrócił głowę i ostro spojrzął na Aldith i dwóch młodych mężczyzn — A więc widzieliście, jak opuszczał ten dom, nie zatrzymując się po drodze?

Wszyscy troje zawahali się chwilę, spoglądając po sobie niepewnie, i to był błąd. W ich imieniu zrezygnowana przemówiła Aldith:

Kiedy zaczęli krzyczeć i rzucać naczyniami, wszyscy troje wbiegliśmy tam, starając się uspokoić naszego pana albo przynajmniej, żeby...

Żeby być ze mną i jakoś mnie wesprzeć — wtrąciła Richildis.

I tam pozostaliście po tym, jak ten chłopak uciekł. — Zadowolony

był z tego domysłu, gdyż wyraz ich twarzy potwierdził go, choć niechętnie. — Tak też myślałem. Trzeba sporo czasu, żeby uspokoić bardzo rozgniewanego mężczyznę. I dlatego żadne z was nie widziało, czy ten chłopak zatrzymał się w kuchni, żadne z was nie może powiedzieć, czy nie zatrzymał się, żeby dokonać zemsty, dodając trucizny do kuropatwy. Dziś rano był w infirmerii, jak kiedyś poprzednio, i mógł wiedzieć, gdzie znaleźć ten olejek i jakie jest jego działanie. Mógł przyjść na ten obiad przygotowany na wszystko, na pokój albo wojnę; pokoju, jak wiemy, nie zawarł.

Richildis gwałtownie potrząsnęła głową.

Nie znasz go, panie! To mnie chciał zapewnić pokój. A poza tym minęło zaledwie kilka minut, jak Aelfric wybiegł za nim, żeby go zawrócić, a choć dotarł aż do mostu, nie zdołał go dogonić.

To prawda — potwierdził Aelfric. — Z pewnością nie miał czasu, żeby się zatrzymać. Biegłem, ile sił w nogach, i wołałem za nim, ale on nawet się nie odwrócił.

Sierzant nie dał się jednak przekonać.

Ile czasu trzeba, żeby wylać zawartość małej buteleczki do nie przykrytego dania? A kiedy wasz pan wreszcie się uspokoił, bez wątpienia smaczna potrawa, przysłana przez samego przeora, mile polechtała jego dumę, zjadł ją więc z ochotą.

Ale czy ten chłopiec w ogóle wiedział, że to danie, znajdujące się w kuchni, przeznaczone jest wyłącznie dla pana Bone-la? — spytał Cadfael, bardzo ostrożnie włączając się do rozmowy. — Przecież mógł ryzykować życie swojej matki.

Sierzant był teraz jednak zbyt pewny swego, żeby się przejmować taką argumentacją. Spojrzał groźnie na Aldith, a ona mimo swojej odwagi, nieco zbladła.

— Trudno sobie wyobrazić, by po takim przykrym zamieszaniu służąca nie skorzystała z okazji, by sprawić miłą niespodziankę swemu panu. Kiedy weszłaś do izby, żeby podać mu tę kuropatwę, z pewnością powiedziałaś mu, że jest to dar od przeora wraz z uprzejmym pozdrowieniem.

Spuściła wzrok i zwiјаła w palcach rąbek fartuszka.

— Pomyślałam sobie, że to mu poprawi humor — odparła cicho.

Tak więc sierżant wiedział wszystko, co trzeba, tak mu się przynajmniej zdawało, żeby szybko schwytać mordercę. Jeszcze raz

spojrzał uważnie na zebranych i powiedział:

No cóż, myślę, że możecie tu już zrobić porządek. Zobaczyłem wszystko, co było do zobaczenia. Brat infirmer gotów jest wam pomóc i zajmie się zmarłym. Ponieważ być może będę musiał was jeszcze raz przesłuchać, chcę mieć pewność, że was tu zastanę.

A gdzieś indziej mielibyśmy być? — spytała ze smutkiem Richildis. — Co chcesz uczynić, panie? Czy choć dowiem się, co się dzieje, gdybyście... gdybyście musieli... — Nie mogła ująć swej myśli w słowa. Nadal smukła, giętka wyprostowała się jeszcze bardziej i dodała z godnością: — Mój syn nie brał udziału w tym niecnym czynie i sam się o tym, panie, przekonasz. To przecież właściwie dziecko, on jeszcze nie skończył piętnastu lat!

Warsztat mistrza Bellecote'a, powiadasz pani?

Znam go — wtrącił jeden z jego ludzi.

Dobrze! Pokażesz drogę. Wkrótce dowiemy się, co ten chłopiec ma do powiedzenia.

Bardzo pewni siebie skierowali się w stronę drzwi. Brat Cadfael postanowił jednak zmącić bezgraniczne zadowolenie sierżanta i powiedział:

Należy jeszcze ustalić, w czym ten olejek się znajdował. Ktokolwiek ukradł go, czy to z mojej chaty, czy z infirmerii, musiał mieć przy sobie flaszeczkę, żeby go przelać. Meurig, czy dziś rano widziałeś coś takiego u Edwina? Z warsztatu szedłeś razem z nim. Może miał ją w kieszeni czy w sakiewce, nawet mała flaszeczka byłaby widoczna.

Nic takiego nie widziałem — zaprzeczył stanowczo Meurig.

Poza tym taki olejek, nawet dobrze zakorkowany i owinięty, bardzo silnie pachnie, może zostawić zapach i plamę, choćby tylko jedna kropla przeniknęła albo została na szyjce buteleczki. Musisz zwrócić uwagę, panie, na ubranie każdego, którego podejrzewasz w tej sprawie.

Czy brat chce mnie uczyć mojej profesji? — spytał sierżant z pobłażliwym uśmieszkiem.

Mówię tylko o pewnych właściwościach mojej profesji, co może być ci pomocne, panie, i uchronić od popełnienia błędu.

Za pozwoleniem brata — rzucił przez ramię stojący już w progu sierżant. — Przede wszystkim zatrzymam winowajcę. I wątpię bardzo, czy jak go złapiemy, przydadzą nam się uczone rady brata.

Po czym ruszył krótką ścieżką do traktu, gdzie były przywiązane konie, a za nim poszli jego dwaj ludzie.

Wszyscy trzech przyszedli do warsztatu Martina Bellecote'a nad rzeką Wyle późnym popołudniem. Stolarz, wysoki, przystojny mężczyzna po trzydziestce, spojrzął na nich życzliwie znad swojej roboty i spytał, o co chodzi, nie okazując zdziwienia ani strachu. Kilka razy wykonywał jakieś zamówienia dla załogi Prestcote'a i pojawienie się jednego z podwładnych szeryfa w jego warsztacie nie zaniepokoiło go. Ciemnowłosa, ładna kobieta, jego żona, wyjrzała ciekawie zza prowadzących do części mieszkalnej drzwi, pojawiło się też kolejno troje dzieci, które przyglądały się przybyszom śmiało, bez cienia lęku. Najstarsza, poważna dziewczynka, miała mniej więcej jedenaście lat, potem był mniejszy od niej, mocno zbudowany ośmiolatek i najwyżej czteroletnia urocza dziewczyneczka, pod pachą trzymająca drewnianą lalkę. Cała trójka w milczeniu przyglądała się nieoczekiwanym gościom. Drzwi wejściowe do części mieszkalnej domu pozostały otwarte, a sierzant miał donośny, stanowczy głos.

Macie tu terminatora imieniem Edwin. Mam do niego pewną sprawę.

Owszem, mam — zgodził się spokojnie Martin, wstając i strzepując z rąk pył. — To Edwin Gurney, młodszy brat mojej żony. Nie ma go jeszcze w domu. Poszedł odwiedzić swoją matkę, mieszkającą na Podzamczu. Powinien już tu być, ale pewno zatrzymała go dłużej. O co ci chodzi, panie? — Nadal był całkiem spokojny, o niczym jeszcze nie wiedział.

Z domu matki wyszedł przeszło dwie godziny temu — powiedział sierzant. — Właśnie stamtąd przybywamy. Choć twierdzisz, że go jeszcze nie ma, to moim obowiązkiem jest upewnić się, czy tak jest naprawdę. Czy pozwolisz obejrzeć nam dom i podwórze?

Spokój Martina zniknął w jednej chwili, zmarszczył brwi. Głowa jego żony ukazała się znów zza tylnych drzwi, lecz jej jasna pogodna twarz nagle stała się czujna, w oczach malował się niepokój. Dzieci nadal z wielką ciekawością wpatrywały się w nieznaną mężczyznę. I nagle rozległ się głos najmniejszej dziewczynki, głos naturalnej

sprawiedliwości przeciwstawiony Prawu. „Niedobry człowiek!” — oświadczyła stanowczo i żadne z rodziców jej za to nie skarciło.

— Jeśli mówię, że go tu nie ma — odparł spokojnie Martin — bądź, panie, pewien, że to jest prawda. Możesz oczywiście sprawdzić. W domu, warsztacie i na podwórzu nie mam nic do ukrycia. Lecz co ty ukrywasz przede mną? Ten chłopiec to mój brat poprzez moją żonę i mój terminator ze swej własnej woli, dlatego jest mi podwójnie drogi. Dlaczego go szukacie?

— W domu na Podzamczu, do którego dziś poszedł — rzekł sierżant — pan Gerwazy Bonel, jego ojczym, leży teraz martwy; został zamordowany. Ponieważ o morderstwo jest podejrzany ów chłopak imieniem Edwin, chcę go zatrzymać. Czy to ci wystarczy?

Było to ponad siły Edwy'ego, najstarszego syna Bellecote'a. Znajdując się w tylnym pokoju, usłyszał tę okropną i niezrozumiałą wiadomość. Przedstawiciele prawa na tropie Edwina! Gdyby wszystko było w porządku, dawno już wróciliby do domu. Edwy od pewnego czasu bał się, że stanie się coś złego, podczas gdy starsi uważali, że wszystko będzie dobrze. Nim ludzie szeryfa weszli do domu, chłopiec spieszenie wyskoczył przez okno na podwórze. Wdrapał się na sztaple drewna, jak wiewiórka przeskoczył przez mur i pobiegł szybko, cicho w stronę wzgórza w pobliżu rzeki. Potem przemknął przez małe drzwiczki w murze miejskim, otwarte teraz w czasach pokoju i wychodzące na stromy brzeg niedaleko winnicy opactwa. Kilka przedsiębiorstw w mieście, które potrzebowały obszernych składów, ogrodziło tu spory szmat ziemi dla swoich towarów i produktów, a wśród nich był też skład drzewa Martina Bellecote'a, który suszył tu deski. Była to również niezawodna kryjówka, kiedy jeden z chłopców albo obaj mieli kłopoty, i tu właśnie Edwin mógł uciec... Nie, nic dlatego, że zabił, bo to było śmieszne!... Ale gdyby został obrażony, gdyby był bardzo smutny albo bardzo zły. Tak zły, że mógłby prawie zamordować, ale nie tak naprawdę! To nie leżało w jego naturze.

Edwy biegł szybko, rad, że nikt go nie goni, i przez kołowrót wpadł bez tchu na teren składu ojca, wprost na opartego o stos desek wściekłego, zapłakanego i całkiem roztrzęsionego Edwina.

Edwin, pewno z powodu tych łez, zerwał się na równe nogi i natychmiast dał kuksańca Edwy'emu. Ten nie pozostał dłużny. Zawsze, ilekroć byli w opałach, od razu zaczęli się bić. Właściwie nie

znaczyło to nic poza tym, że obaj są w pogotowiu, a gdyby tak ktoś się do nich wtedy wtrącił, musiałby mieć się na baczności, gdyż. swoje umiejętności udoskonalone podczas tych pojedynków potrafili wspólnie wykorzystać przeciw intruzowi. Edwy szybko przekazał niezwykle wieści zdumionemu Edwinowi, a potem usiedli obok siebie i opracowali pewien szalony plan.

Aelfric pojawił się w herbarium na godzinę przed nieszporama. Cadfael już dość długo był w swojej pustelni, po tym jak dopilnował, by ciało Bonela zostało umyte, należycie obleczone i przeniesione do żałobnej kaplicy. Chciał, żeby dom zmarłego jak najszybciej został uporządkowany, a jego mieszkańcy mogli się nareszcie spokojnie po nim poruszać i starać się pogodzić z tym, co się wydarzyło. Meurig wrócił do warsztatu w mieście, by dokładnie opowiedzieć stolarzowi i jego żonie, co się stało, by ich pocieszyć albo ostrzec. W tym czasie, zdaniem Cadfaela, ludzie szeryfa pewno już schwytali młodego Edwina... Dobry Boże, zapomniał nawet nazwiska pierwszego męża Richildis, a Bellecote był tylko jej zięciem.

— Pani Bonel prosi — powiedział Aelfric z wielką powagą — żeby brat przyszedł do niej porozmawiać. Przypomina starą przyjaźń z bratem i prosi, żeby i teraz brat pozostał jej przyjacielem.

Cadfaela wcale to nie zdziwiło. Dobrze wiedział, że znalazł się na niebezpiecznym gruncie, nawet po upływie czterdziestu lat. Wolałby, żeby się okazało, że godna pożałowania śmierć jej męża nie jest wcale tajemnicza, że jej synowi nie grozi niebezpieczeństwo i że jej przyszłość zupełnie go nie obchodzi, ale nie można było nic na to poradzić. Jego młodość — znaczna część Wspomnień, które sprawiły, że stał się takim, a nie innym człowiekiem — były związane z nią, a teraz, gdy ona była w potrzebie, nie miał wyboru, musiał jej się szczerze odwdziżyć.

— Przyjdę — odparł. — Idź przodem, będę u twojej pani w ciągu kwadransa.

Kiedy zastukał do drzwi domu nad stawem, otworzyła mu sama Richildis. Nie było ani Aelfrica, ani Aldith; postarała się, żeby oboje mogli porozmawiać w całkowitym spokoju. Uporządkowana jadalnia

błyszczała czystością, przedpołudniowy chaos zniknął. Richildis usiadła w wielkim fotelu swego męża i gestem wskazała, żeby Cadfael usiadł na ławie obok niej. W izbie panował półmrok, rozjaśniony tylko małą świeczką z knotem z sitowia. Oczy kobiety lśniły blaskiem, który tak dobrze znał z dawnych czasów.

Cadfaelu... — zaczęła niepewnie i umilkła. — I pomyśleć tylko, że to naprawdę ty! Nigdy ani słowa o tobie nie słyszałam, od kiedy dowiedziałam się, że wróciłeś tu na dobre. Myślałam, że się ożeniłeś i sam już jesteś dziadkiem. A kiedy dziś rano patrzyłam na ciebie, zadałam sobie pytanie, skąd cię znam... I kiedy tak się męczyłam tą niepewnością, padło twoje imię!

I dla mnie to spotkanie z tobą było całkiem nieoczekiwane — odparł Cadfael. — Nie wiedziałem, że twój mąż, Eward Gurney, zmarł — dopiero teraz przypomniałem sobie jego nazwisko! — nie wiedziałem też, że powtórnie wyszłaś za mąż.

— Trzy lata temu — odparła i westchnęła albo z żalem, albo może z ulgą, że jej drugie małżeństwo tak szybko się zakończyło.

— Nie chciałabym, żebyś źle o nim myślał; Gerwazy nie był złym człowiekiem, po prostu był stary, miał swoje nawyki i żądał, by go słuchano. Wdowiec przez długie lata, nie mający dzieci, w każdym razie ze swego pierwszego małżeństwa. Przez długi czas zabiegał o moje względy, a ja czułam się tak bardzo osamotniona, no i potem, widzisz... obiecał, że jeśli wyjdę za niego, to Edwin będzie jego spadkobiercą. A jego suzeren zgodził się na to. Muszę ci opowiedzieć o mojej rodzinie; mam córkę, Sybil, urodziła się w rok po ślubie z Ewardem, a potem, nie wiem dlaczego, czas mijał, ale dzieci nie przychodziły na świat. Jak być może pamiętasz, Eward miał warsztat stolarski i był też snycerzem- Dobry był w swoim fachu — dobry majster i mąż.

A więc byłaś szczęśliwa — powiedział Cadfael rad, że potwierdzenie tego usłyszał w jej głosie. Choć czas i przestrzeń rozdzieliły ich, każde z nich znalazło swoje miejsce na ziemi.

Bardzo szczęśliwa! Trudno byłoby znaleźć lepszego człowieka. Niestety, potem nie mieliśmy więcej dzieci. Kiedy Sybil skończyła siedemnaście lat, wyszła za czeladnika Ewarda, Martina Bellecote'a. To także dobry człowiek, a moja córka, dzięki Bogu, jest tak samo szczęśliwa w małżeństwie, jak byłam ja! Po dwóch latach zaszła w

ciążę, a ja wtedy jakbym odmłodziła. Bardzo się cieszyłam na myśl o tym pierwszym wnuku. Opiekowałam się nią i razem wyobrażałyśmy sobie, co to będzie, jak dziecko się urodzi. Eward był tak samo dumny jak ja i, nie wiadomo czemu, my, nie tak już młodzi oboje, poczuliśmy się jak nowo poślubieni, a kiedy Sybil była w czwartym miesiącu ciąży, przekonałam się, że ja także oczekuję dziecka! Po tylu rozczarowaniach! Miałam już czterdzieści cztery lata, to był po prostu cud! No i obie urodziłyśmy chłopców, a choć są między nimi cztery miesiące różnicy, ten wujek i siostrzeniec mogliby być bliźniakami, tyle że wujek jest młodszy! Są nawet bardzo podobni do siebie i do mego pierwszego męża. Od kiedy zaczęli chodzić, byli sobie tak bliscy jak bracia, niezwykle zżyci, a przy tym obaj bardzo niezależni, jak szczeniaki lisów. I tak mam syna Edwina i wnuka Edwy'ego. Żaden z nich nie skończył jeszcze piętnastu lat. A teraz błagam cię, Cadfaelu, o pomoc dla Edwina. Przysięgam ci, że nie mógł popełnić tak strasznego czynu, ale sierżant wbił sobie w głowę, że to on dodał trucizny do jedzenia mego męża. Gdybyś tylko znał tego chłopca, Cadfaelu, wiedziałbyś, że to jest niemożliwe.

Kiedy o tym mówiła wzruszona, przejęta, można było w to uwierzyć, choć zdarzało się, że niespełna piętnastoletni synowie usuwali ze swej drogi własnych ojców, o czym Cadfael dobrze wiedział. A przecież Bonel nie był ojcem Edwina, przy tym niezbyt się kochali.

Opowiedz mi o swoim drugim małżeństwie — poprosił — i o tej zawartej umowie.

Eward zmarł, kiedy Edwin miał dziewięć lat. Wtedy Martin przejął jego warsztat i prowadził go tak samo, jak nauczył go tego Eward. Żyliśmy sobie spokojnie wszyscy razem, dopóki nie zjawił się Gerwazy, który zamówił boazerię do swego domu i od razu bardzo się mną zainteresował. Był przystojnym mężczyzną, cieszył się dobrym zdrowiem i bardzo był wobec mnie uważający... Obiecał mi, że jeśli zgodzę się wyjść za niego, Edwin będzie po nim dziedziczył i zostawi mu Mallilie. Martin i Sybil mieli już wtedy troje dzieci, musieli je wykarmić i wszystko, co Martin zarobił, szło na to. Pomyślałam więc, że dobrze byłoby zabezpieczyć Edwinowi przyszłość.

Ale to się nie powiodło — powiedział Cadfael — jak łatwo można było przewidzieć. Człowiekowi, który nigdy nie miał dzieci, a sam się

starzeje i ma do czynienia na co dzień z ruchliwym, pełnym wigoru, dorastającym chłopcem, trudno się do tego przyzwyczaić. Z pewnością dochodziło do scysji.

Bezustannie. Edwin był bardzo rozbrykany, niestety, przywykł do całkowitej swobody, do robienia tego, na co miał ochotę, i ciągle chciał biegać z Edwym, tak jak przywykł od lat. Gerwazy miał mu za złe, że zadaje się z prostymi ludźmi, rzemieślnikami. Uważał, że tak skromna kompania nie przystoi chłopcu, który ma odziedziczyć majątek, a to złościło Edwina, który kocha swoją najbliższą rodzinę. Mój mąż sądził, że tylko jego przyjaciele są godni szacunku! Codziennie były z tego powodu kłótnie. Ilekroć Gerwazy go zbił, Edwin na kilka dni uciekał do warsztatu Martina. A kiedy Gerwazy zamykał go, to albo uciekał, albo mścił się w inny sposób. Aż wreszcie mój mąż powiedział, że smarkacz najwyraźniej ma ochotę zostać rzemieślnikiem i zadawać się z różnymi łobuzami z miasta, niech więc idzie do terminu, bo tylko do tego się nadaje. Edwin, choć wcale nie miał takiego zamiaru, wziął go za słowo i tak zrobił, co jeszcze bardziej rozgniewało Gerwazego. Wtedy właśnie oświadczył, że zawrze umowę i swój majątek odda opactwu, gdzie będzie mieszkać do końca życia. „Jego nic nie obchodzi ziemia, którą chciałem mu oddać — oświadczył. — Czemu miałbym zostawić ją takiemu niewdzięcznikowi?” Zrobił to natychmiast, gdyż był wściekły; ustalił warunki tej umowy i postanowił się tu przenieść jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

A co na to powiedział twój syn? Bo chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co zamierza uczynić Gerwazy?

Wtedy nic nie powiedział, lecz później przyszedł do niego skruszony; przysięgał, że naprawdę kocha Mallilie, że wcale nie lekceważy majątku i że będzie dbał o niego, kiedy się stanie jego własnością. Jednak mój mąż nie chciał ustąpić, choć wszyscy go o to prosiliśmy. Edwin był bardzo rozgoryczony, bo przecież ten majątek został mu obiecany, a obietnicy należy dotrzymywać. Nikt nie mógł skłonić mego męża do zmiany decyzji. Ponieważ Edwin był tylko pasierbem, jego zgoda nie była potrzebna. Uciekł znów do Sybil i Martina i od tej pory nie widziałam go aż do dziś. Boże, jakbym chciała, żeby dziś do nas nie przyszedł. Niestety, stało się to, co się stało, a teraz sierżant ściga go niby jakiegoś zoczyńcę, który mógł być zabić męża własnej matki! Przysięgam ci, że to dziecko nigdy nawet nie

pomyślało o czymś takim! I jeśli oni go schwytają... Och, nawet myśleć o tym nie mogę!

Nie miałaś żadnych wieści, od kiedy ludzie szeryfa stąd wyszli? Wieści szybko biegną po tym trakcie. Myślę, że już byśmy wiedzieli, gdyby go znaleźli u Martina.

Ani słowa, jak dotąd. Ale gdzież indziej mógłby pójść? Nie było żadnego powodu, żeby miał się ukrywać. Uciekł stąd, nic nie wiedząc o tym, co się stało wkrótce po jego odejściu; po prostu był okropnie rozżalony przyjęciem, z jakim się spotkał.

Może nie chciał wracać do nich w takim nastroju, dopóki się nie uspokoi. Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło podczas tego obiadu. Mam wrażenie, że Meurig był pośrednikiem między wami i starał się nakłonić twego syna do zgody. Była mowa o poprzednich odwiedzinach Edwina...

Nic o tym nie wiedziałam — odparła ze smutkiem Richildis. — We dwóch przynieśli do opactwa pulpit, który Martin zrobił do kaplicy Matki Boskiej; Meurig chciał, żeby mój syn odwiedził starego zakonnika, jego krajana. Namawiał wtedy Edwina, żeby i mnie odwiedził, ale on nie chciał. Meurig to dobry chłopak, robił, co mógł. Dziś udało mu się przekonać Edwina, i co z tego wyszło! Gerwazy wyraźnie był zadowolony z jego przyjścia, ale zachował się bardzo nieszlachetnie; szydził z Edwina, że przyszedł jak żebrak, żeby prosić go o zmianę decyzji, o zapewnienie mu dziedziczenia majątku, o czym Edwin nawet nie myślał. Wolałby raczej umrzeć! „Złagodniałeś wreszcie, powiedział Gerwazy. Jeśli padniesz na kolana i będziesz mnie prosić o wybaczenie swej krnąbrności, może zmienię decyzję. Na kolana więc, powiedział, i błagaj o swój majątek!" Tak mówił, aż wreszcie Edwin wybuchnął i krzyczał, że nigdy nie da się złamać temu wstrętnemu tyranowi, staremu potworowi. Zapewniam cię. Cadfaelu, że mój mąż nie był aż tak zły, tylko uparty i nieopanowany. Och, nie powtórzę ci wszystkiego, co sobie nagadali. Ale trzeba przyznać, że Edwin miał dużo powodów, żeby tak stracić panowanie. No i bardzo głośno powiedział, co miał po wiedzieć, a właściwie wykrzyczał, na co Gerwazy cisnął w niego talerzem i kielichem także, a wtedy Aldith, Aelfric i Meurig rzucili się, żeby mi pomóc uspokoić go. Edwin zaś wybiegł. I to wszystko.

Cadfael milczał przez chwilę, zastanawiając się nad innymi

domownikami. Rozwścieczony, dumny, obrażony chłopak mógł być podejrzany, gdyby Bonel został uderzony pięścią czy nawet sztyletem, ale nigdy nie użyłby trucizny. Możliwe, że będąc z Meurigiem w infirmerii, widział, gdzie są trzymane lekarstwa. Miał motyw, by dokonać zabójstwa, miał ku temu okazję, ale brakowało mu podstępного usposobienia truciciela; z natury był otwarty, ufny, a przy tym dumny. Ale prócz niego byli też inni.

Tę dziewczynę, Aldith, od dawna masz u siebie?

To moja daleka krewna — odparła Richildis i lekko się uśmiechnęła. — Znam ją od dziecka, wzięłam ją do siebie, kiedy dwa lata temu została sierotą. Jest dla mnie jak własna córka.

Tak też przypuszczał, był przecież świadkiem, ile serdeczności okazała jej Aldith, kiedy czekali na przedstawicieli prawa.

A Meurig? Słyszałem, że on też był domownikiem pana Bonela swego czasu, nim zaczął terminować w warsztacie twojego zięcia.

Meurig... Widzisz, z nim jest tak. Jego matka, Walijka, była służącą w Mallilie i, jak się to często zdarza, urodziła swemu panu bękartą. Tak, on jest nieprawym synem Gerwazego. Pierwsza żona mego męża musiała być bezpłodna, ponieważ Meurig jest jedynym dzieckiem, jakie on kiedykolwiek miał, chyba że gdzieś w naszym hrabstwie są jeszcze inne, o których nic nie wiemy. Łożył przyzwoicie na utrzymanie Angharad aż do jej śmierci, zaopiekował się Meurigiem i dał mu u siebie zajęcie. Żałowała go — wyznała — kiedy się pobraliśmy. Taki dobry, rozsądny, młody człowiek, który nie miał żadnych praw choćby do części majątku swego ojca; to musiało być dla niego bardzo przykre. Ale on się nigdy nie skarżył! Kiedyś spytałam go, czy chciałby mieć jakiś zawód, który zapewniłby mu samodzielność, a on odparł, że tak. Namówiłam więc Gerwazego, żeby Martin wziął go do siebie i nauczył swego rzemiosła. Poprosiłam Meuriga, żeby miał oko na Edwina, po tym jak uciekł od nas — powiedziała drżącym głosem Richildis — i nakłonił go do pogodzenia się z Gerwazym. Nie oczekiwałam, że mój syn ustąpi, ponieważ on także pragnie iść własną drogą. Po prostu chciałam, żeby wrócił. Był taki czas, że mnie obwinał o to, iż mając wybór między nimi dwoma, wybrałam mego męża. No, ale wyszłam za niego... i bardzo żałowałam Edwina... — Urwała nagle i przez chwilę nie odzywała się. — Byłam bardzo rada, że Meurig był Przyjacielem nas obojga.

Czy był w dobrych stosunkach z twoim mężem? Czy nie było między nimi złości?

Nie! Nigdy w życiu! — Najwyraźniej to pytanie ją zdumiało. — Żyli w zgodzie, nigdy nie było żadnych zatargów. Gerwazy zachowywał się wobec niego bardzo wielkodusznie, choć nie poświęcał mu wiele uwagi. Zapewniał mu dobre utrzymanie... Zawsze tak było. Jak on sobie poradzi teraz, kiedy to się ! skończy? Muszę mieć kogoś, kto by mi doradzał; te wszystkie prawne kwestie są dla mnie tak okropnie pogmatwane...

Nie ma tu nic podejrzanego, nawet jeśli Meurig wiedział, podobnie jak inni, gdzie znaleźć truciznę. Tak też było w przypadku Aelfrica, który, będąc w chacie, widział, jak Cadfael nalewał ją do mniejszej butelki. I jeśliby ktoś miał zyskać na śmierci Bonela, to z pewnością nie Meurig; on mógł tylko stracić. We wszystkich dworach pełno było bękartów i taki dziedzic, który miał tylko jednego, uchodzić musiał za powściągliwego i skromnego. Natomiast potomek z nieprawego łoża, którego naturalny ojciec wspierał finansowo, pomagając mu zdobyć zawód, był szczęściarzem i nie miał powodu do skarg. Wręcz przeciwnie, mógł tylko opłakiwać śmierć swego ojca.

— A Aelfric?

Gęstniejąca na zewnątrz ciemność sprawiała, że światło małej lampki wydawało się coraz jaśniejsze; owalna, poważna twarz Richildis zdawała się promieniować, a jej piękne oczy byty okrągłe jak księżycy.

— Z Aelfrikiem to trudna sprawa. Nie myśl, że mój mąż był gorszy niż inni dziedzice albo że świadomie brał więcej niż zgodnie z prawem mu się należało. Niestety, prawo czasem kuleje. Ojciec Aelfrica urodził się człowiekiem wolnym, tak jak ty czy ja, ale był młodszym synem na dzierzawie, zbyt małej

nawet dla jednego rolnika, i dlatego musiał ustąpić; kiedy jego ojciec zmarł, zostawił wszystko bratu i w majątku mego męża wziął dzierzawę na zasadzie pańszczyzny, do której nie było spadkobierców. Miał się za nią wypłacać ustalonymi obowiązkami i był przekonany, że posiada ją jako człowiek wolny a powinności pańszczyźniane wykonuje dobrowolnie. Aellric z kolei też był młodszym synem i nieopatrznie przyjął służbę w majątku, kiedy jego starszy brat miał już tyle dzieci, że mógł uprawiać ziemię bez jego pomocy. I tak, kiedy majątek miał być przekazany opactwu i szykowaliśmy się do przyjazdu tutaj, Gerwazy

postanowił wziąć go jako służącego, gdyż jest bardzo zręczny i trudno byłoby o lepszego. Ale kiedy Aelfric odmówił, bo chciał odejść i poszukać sobie zajęcia gdzie indziej, Gerwazy wniósł do sądu sprawę, że był niewolnym dzierżawcą, ponieważ zarówno jego brat, jak i ojciec wykonywali zwyczajowe prace z racji uprawiania ziemi. Sąd uznał, że istotnie tak było i że Aelfric jest podległy, choć jego ojciec urodził się jako człowiek wolny. Bardzo boleśnie to przeżył — westchnęła ze smutkiem Richildis. — Nigdy przedtem nie czuł się człowiekiem podległym i pracował jak ktoś wolny za opłatą. Wielu ludzi na wsi znalazło się w tej sytuacji, nie przypuszczając, że tracą wolność, dopóki się tak nie stało.

Milczenie Cadfaela zaniepokoiło ją, a on rozmyślał nad tym, że oto jeszcze jeden człowiek, który może mieć zapiekły żal, który wiedział, gdzie znaleźć odpowiedni środek, i miał po temu stosowną okazję. Ona jednak myślała o tej smutnej sytuacji, jaką przed chwilą opisała, i mylnie odczytała jego milczenie jako dowód potępienia zmarłego męża, krytykę, jakiej nie chciał wyrazić głośno. Śmiało postanowiła oddać sprawiedliwość zmarłemu, choć go nie kochała.

— Mylisz się, jeśli sądzisz, że tylko jedna strona zawiniła. Gerwazy uważał, że postępuje słusznie, i prawo było po jego stronie. Nie znam żadnego wypadku, by świadomie kogoś oszukał, lecz twardo pilnował tego, co mu było należne. Aelfric zaś sam pogorszył swoją sytuację. Gerwazy nigdy go nie gnębił ani nie poganiał, gdyż zawsze dobrze pracował, ale teraz, kiedy jest niewolny, aż do przesady podkreśla swe poddaństwo... To jest Po prostu ostentacja, on świadomie potrząsa swymi łańcuchami. Obrażał w ten sposób Gerwazego i zaczęli się nawzajem nienawidzić. No i jest jeszcze Aldith... Aelfric nigdy nie powiedział jej ani słowa, co czuje, ale ja wiem swoje! Tak na nią patrzy, jakby mu serce miało wyskoczyć z piersi. Cóż jednak może dać dziewczynie takiej jak ona? Meurig też spogląda w jej kierunku i z pewnością byłby o wiele miłszym towarzyszem życia. Och, Cadfaelu, tyle mam zgryzoty z tą moją służbą. A teraz jeszcze takie straszne komplikacje! Pomóż mi! Tylko ty możesz to zrobić! Pomóż memu synowi! Wiem, że ci się uda, jeśli zechcesz.

Mogę ci obiecać — odrzekł Cadfael po chwili namysłu — że uczynię wszystko, co w mej mocy, żeby wykryć mordercę twego męża. Zrobię to niezależnie od tego, kim może być. Czy to wystarczy?

Tak! Wiem, że Edwin jest niewinny. Ty jeszcze nie jesteś o tym przekonany, ale będziesz!

Jesteś dobra i dzielna — powiedział serdecznie Cadfael.

— Jak sięgnę pamięcią, zawsze taka byłaś. I nawet teraz, choć na razie nie mam twojej pewności, mogę ci obiecać coś więcej. Tak. pomogę twemu synowi, jak tylko będę mógł, winny czy niewinny, ale nie ukrywając prawdy. Czy to ci wystarczy?

Skinęła tylko głową, przez chwilę nie mogąc wykrztusić ani słowa. Ciężkie przeżycia nie tylko tego fatalnego dnia, ale i wielu dni poprzednich nagle odzwierciedliły się na jej twarzy.

— Obawiam się, Richildis — powiedział Cadfael łagodnie — że zbyt daleko odeszłaś od ludzi swego pokroju, wychodząc za mąż za pana tak dużego majątku.

— O tak, masz rację! — zawołała, wybuchając gwałtownym płaczem, i przytuliła się nieoczekiwanie do jego ramienia.

Rozdział 4

Brat Denis, szpitalnik, mający zawsze najnowsze wiadomości z miasta od podróżnych, przybywających do domu gościnnego, w drodze na nieszpory opowiedział braciom, że w Shrewsbury wszyscy już mówią o nagłej śmierci Bonela i o polowaniu sierżanta na jego pasierba, którego nie zastał w warsztacie Martina Bellecote'a. Również dokładne przeszukanie przyległych zabudowań nic nie dało i sierżant kazał ogłosić na ulicach miasta, że chłopiec jest poszukiwany. Jak zawsze jednak mieszkańcy nie wykazali najmniejszej chęci, żeby pomóc przedstawicielowi prawa, i wszystko wskazywało na to, że obwoływacz miejski na próżno zrywa sobie gardło. Nie zamierzały rezygnować z nocnego wypoczynku, by pomóc w złapaniu chłopca, który nawet nie skończył jeszcze piętnastu lat i znany był wielu tutejszym ludziom, może jako psotnik, ale wiedzieli, że nic złego dotąd nie uczynił.

Najważniejszą sprawą, na której zależało Cadfaelowi nie mniej jak sierżantowi, było teraz znalezienie Edwina. Matki są wobec jedynaków stronnice, zwłaszcza gdy nie ma już nadziei na dalszych potomków, Cadfael chciał więc koniecznie sam Zobaczyć, usłyszeć i osądzić chłopca, nim zrobi następne posunięcie w tej sprawie,

Richildis uspokojona tym, że się wyplakała, wyjaśniła mu, gdzie się znajduje warsztat i dom jej zięcia. Stwierdził, że pomyślnym zbiegiem okoliczności jest to na pobliskim krańcu miasta. Krótki

odcinek koło stawu, potem most, przejście przez bramy miejskie, otwarte aż do komplety, następnie ze dwie minuty brzegiem zakręcającej tu rzeki Wyle i już jest obejście Bellecote'a. Pół godziny tam i z powrotem. Wymknie się po szybkim zjedzeniu wieczerzy, nie weźmie udziału w Collationes, co niczym mu nie groziło, ponieważ przeor Robert jako zastępca opata ostatnio nie brał w tym udziału, o tej porze przebywając u siebie; przyziemne sprawy domu zakonnego przekazał bratu Ryszardowi, który z pewnością nie będzie mieszać się w nie, gdyż musiałby opłacić to zbyt dużym wysiłkiem.

Na wieczerzę była ryba z fasolą; Cadfael szybko ją zjadł, a potem spiesznie ruszył przez wielki podwórzec i bramę. Powie- trze było rześkie i zapowiadało niewielki przymrozek, jak dotąd nie było jeszcze śniegu, mimo to stopy w sandałach przezornie owinął kawałkami wełny, a na głowę naciągnął kaptur.

Strażnicy miejscy pozdrowili go z szacunkiem, znali go dobrze. Ruszył pod górę wzdłuż prawej odnogi Wyle, potem skręcił znów w prawo i wkrótce znalazł się na podwórzu pod okapem domu Bellecote'a. Zapukał do zamkniętych drzwi, za którymi długo panowała cisza. Nie zdziwiło go to i postanowił zaczekać. Niepotrzebny hałas tylko by przestraszył mieszkańców. Cierpliwość z pewnością ich uspokoi.

Wreszcie drzwi otworzyła powoli młoda osóbka, licząca sobie jakieś jedenaście lat, wyprostowana i niezwykle spokojna jak na to, co działo się pewnie w tym dotkniętym nieszczęściem domu, którego mieszkańcy z pewnością bacznie nasłuchiwali wszystkich zewnętrznych odgłosów. Dziewczynka była bystra i miła, kiedy zaś zobaczyła benedyktyński habit, z ulgą odetchnęła i uśmiechnęła się.

— Przychodzę od pani Bonel — powiedział Cadfael — mam wiadomość dla twego ojca, dziecko, jeśli zechce mnie widzieć. - Oprócz mnie nikogo nie ma, nie obawiaj się.

Otworzyła drzwi z godnością osoby dorosłej i wpuściła go do środka. Ośmioletni Tomasz i czteroletnia Diota, oczywiście najmniej przerażone istoty w domu, pojawili się u jej spódnicy. uważnie mu się przyglądając okrągłymi, niewinnymi oczami. Po chwili Martin Bellecote wszedł tylnymi drzwiami i przyciągnął do siebie młodsze dzieci, otaczając je opiekuńczym gestem. Był to sympatyczny, mocno

zbudowany mężczyzna; na Cadfaela patrzył z wyraźną podejrzliwością, co zakonnik przyjął z zadowoleniem. Na tym niedoskonałym świecie nadmiar zaufania to po prostu szaleństwo.

Proszę, niech brat wejdzie — zaprosił Martin. — A ty, Alys, zamknij i zarygluj drzwi.

Proszę mi wybaczyć, że tak nagle tu przyszedłem — powiedział Cadfael, kiedy drzwi za nim zostały zamknięte. — Ale czasu jest mało. Szukali tutaj pewnego chłopca i jak mi mówiono, nie znaleźli go.

Tak, to prawda — rzekł Martin. — W ogóle nie wrócił do domu.

Nie pytam, gdzie on jest. Proszę mi nic nie mówić. Pytam dlatego, że go znasz, czy możliwe jest, by uczynił to, o co go oskarżają?

W tym momencie z sąsiedniej izby wyszła żona Bellecote'a ze świecą w ręku. Wyraźnie podobna do swej matki, miała łagodniejsze rysy i jaśniejszą skórę, lecz tak samo uczciwie patrzące oczy.

Zaprotestowała z pełnym oburzenia przekonaniem:

— To niemożliwe! Mój brat zawsze szczerze ujawnia wszystkie swoje uczucia i wszystko czyni jawnie, w świetle dnia. Już kiedy był raczkującym szkrabem, jeśli miał do kogoś jakąś urazę, to wszyscy wokół o tym wiedzieli, nigdy nie chował długo żalu w sercu. Mój własny syn też jest taki.

No tak, oczywiście jest jeszcze nie widziany dotąd Edwy, towarzysz nieuchwytnego Edwina. Żadnego z nich tu nie ma.

— A ty musisz być Sybil — powiedział Cadfael. — Niedawno widziałem się z twoją matką. A co do mojej wiarygodności, czy słyszałaś kiedyś, jak mówiła o niejakim Cadfaelu, którego znała, kiedy była młodzieńką dziewczyną?

W świetle świecy zobaczył, jak oczy jej stają się okrągłe ze zdumienia i szczerzej ciekawości.

— To brat jest tym Cadfaelem? Tyle razy opowiadała o bracie i zastanawiała się... — Spojrzała na jego habit i kaptur i uśmiech jej zgasł, teraz patrzyła na niego z wyrazem współczucia. Oczywiście! Tak jak każda kobieta uważała, że kiedy wrócił do domu ze świętej wyprawy i przekonał się, że jego ukochana wyszła za mąż, miał złamane serce i złożył okrutne śluby zakonne. Byłoby bezcelowe tłumaczyć jej, że powołanie nagle spada z nieba jak Boża strzała, z pewnością nie z powodu zawiedzionej miłości. — Och, musi być dla niej wielkim pocieszeniem — powiedziała z przekonaniem Sybil — że

brat jest tak blisko w tym okropnym momencie. Bratu z pewnością może ufać.

Mam nadzieję, że tak jest — odparł Cadfael poważnie. — Na pewno może mi ufać. Przyszedłem tu tylko powiedzieć wam, że chcę być pomocny, o czym ona zresztą już wie. To ja przygotowałem lek, który spowodował śmierć, dlatego ja również jestem włączony w tę sprawę. Nic dziwnego, że jestem przyjacielem każdego, kto może być niesprawiedliwie posadzony. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby odnaleźć winnego. Jeśli ktoś z was albo ktoś inny ma powody, żeby ze mną porozmawiać, coś mi przekazać, o coś mnie zapytać, to między nabożeństwami można mnie znaleźć w mojej chacie w herbarium, gdzie będę dziś wieczorem aż do jutrzni o północy. Wasz czeladnik Meurig zna dobrze teren opactwa, choć nie był nigdy w mojej chacie. Czy jest tutaj?

Tak — odparł Martin. — Śpi na stryszku nad stajnią. Opowiedział nam o wszystkim, co się wydarzyło w opactwie i daje bratu moje słowo, że ani on, ani nikt z nas nie widział chłopca od chwili, gdy uciekł z domu swej matki. I wiemy też coś, co nie ulega wątpliwości, że nie jest mordercą i nigdy by nic mógł nim być.

A więc śpijcie spokojnie, gdyż Bóg czuwa — powiedział Cadfael. — A ty, Alys, wypuść mnie teraz niepostrzeżenie i zarygluj drzwi, gdyż muszę spieszyć wracać na kompletę.

Dziewczynka odsunęła rygiel i przytrzymała drzwi. Dwoje młodszych dzieci stało na rozstawionych szeroko nóżkach i patrzyło, jak wychodzi z domu, ale bez cienia strachu czy wrogości. Rodzice ograniczyli się tylko do powiedzenia: „dobranoc”, lecz kiedy schodził szybko nad rzekę, wiedział, że jego przestanie zrozumieli i że w tym zabarykadowanym domu zostało ono przyjęte z radością.

— Jeśli bratu bardzo zależy na uwarzeniu nowej porcji syropu na kaszel jeszcze przed dniem jutrzejszym — tłumaczył Cadfaelowi brat Marek, wychodząc razem z nim po komplecie — czy nie mógłbym ja tego zrobić zamiast brata? Czy brat musi po tak ciężkim dla niego dniu krzątać się jeszcze cały wieczór?

A może brat myśli, że zapomniałem, gdzie trzymamy dziewannę i

słodki marchewnik, i rutę, i gorczycę?

Wylczenie ingrediencji miało być koronnym argumentem. Najwyraźniej w tym młodym braciszku rozwijało się poczucie odpowiedzialności za swego przełożonego.

Jesteś jeszcze młody i potrzebujesz dużo snu — odparł Cadfael.

Powstrzymuję się — powiedział Marek ostrożnie — od repliki.

I masz rację. Widać, że dobiera się do ciebie zaziębienie, musisz zatem położyć się do łóżka.

Nie muszę — zaprotestował stanowczo brat Marek. — Ale jeśli brat chce przez to powiedzieć, że ma jakąś robotę, o której nie powinienem raczej wiedzieć, to dobrze, pójdę najpierw ogrzać się do ciepłej izby, a potem spać.

Nie można postawić zarzutu komuś, kto nic nie wie — stwierdził pojednawczo brat Cadfael.

A więc czy jest coś, co mogę zrobić dla brata w mej błogosławionej ignorancji? Obiecałem bratu posłuszeństwo, kiedy mnie tu przysłali do pomocy w ogrodzie.

Tak — powiedział Cadfael. — Zdobądź mi habit twojego rozmiaru, przynieś niepostrzeżenie do mojej celi i schowaj go pod moim łóżkiem, nim pójdziesz spać. Może nie będzie potrzebny, ale...

Wystarczy! — powiedział z uśmiechem brat Marek i o nic więcej nie pytał, choć to nie wykluczało, że intensywnie myślał. — Czy potrzebne będą także nożyczki do tonsury?

— Robisz się nazbyt śmiały — stwierdził Cadfael, raczej z aprobatą niż dezaprobatą. — Nie, nie sędzę, żeby to było potrzebne, wystarczy nam kaptur i chłodny ranek. Idź już, chłop cze, pogrzej się z pół godziny i kładź się spać.

Zrobienie syropu z suszonych ziół i miodu wymagało długiego gotowania na ogniu; gdyby więc tak się złożyło, że jednak nocny gość miał spędzić noc w chacie, byłoby mu ciepło aż do rana. Nie spiesząc się, Cadfael utarł swe zioła na proszek, a potem mieszaninę z miodem zaczął warzyć powoli na ruszcie żelaznego kosza z żarem. Nie miał pewności, czy przynęta, jakiej użył, chwyciła, jednak nie uległo wątpliwości, że Edwin Gurney pilnie potrzebował przyjaciela, który by

mu pomógł wydostać się z grzędawiska, w jakie wpadł. Nie było żadnej pewności, czy domownicy Bellecote'a wiedzieli, gdzie go szukać, miał jednak przeczucie, że jedenastoletnia Alys, którą cechowała godność matrony i dziewczęca powściągliwość, jeśli nawet nie była darzona zaufaniem własnego brata, z pewnością dobrze знаła to, co on uważał za swoje sekrety. Poza tym gdzie był Edwy, tam był również Edwin, jeśli Richildis miała rację. Gdy jednemu z nich groziły jakieś kłopoty, drugi musiał być razem z nim. Tę cnotę właśnie Cadfael zawsze darzył specjalnym uznaniem.

Noc była bardzo spokojna, o świcie zapowiadał się ostry przymrozek. Tylko delikatne bulgotanie syropu i skrzywienie łąwy, kiedy się poruszył, przerywały ciszę. Już zaczął myśleć, że przynęta nie skusiła ryby, kiedy około dziesiątej, w najczarniejszej ciemności, usłyszał cichy odgłos ostrożnie podnoszonego rygla. Poczł powiew chłodu, kiedy drzwi się nieco uchyliły. Siedział bez ruchu, nie dając żadnego znaku, gdyż przerażone płochliwe stworzenie łatwo mogło się przestraszyć. Po chwili dał się słyszeć z zewnątrz cichy wysoki głos:

— Brat Cadfael...?

-- Jestem tu — odparł spokojnie zakonnik. — Wchodź, witam cię. Czy brat jest sam? — wyszeptał głos.

Tak. Wejdz i zamknij drzwi.

Chłopiec wsunął się bojaźliwie i zamknął za sobą drzwi, ale Cadfael zauważył, że nie zamknął ich na rygiel.

Dostałem wiadomość... — Nie powiedział jednak od kogo. — Słyszałem, że dziś wieczorem brat rozmawiał z moją siostrą i bratem i powiedział, że będzie tu na mnie czekać. Ja potrzebuję przyjaciela... Brat mówił, że znał moją bab... matkę wiele lat temu, że jest tym Cadfaelem, którego tak często wspominała, tym, który wziął udział w krucjacie... Przysięgam, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią mego ojczyma! W ogóle nie wiedziałem, że spotkało go coś złego, dopóki mi nie powiedziano, że ludzie szeryfa polują na mnie jako na mordercę. Brat powiedział, że moja matka zna go jako dobrego przyjaciela i że mogę polegać na pomocy brata, dlatego tu przyszedłem. Nie mam do kogo się zwrócić. Proszę o pomoc!

Podejdz do ognia i usiądz tu — powiedział łagodnie Cadfael. — Uspokój się i odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie, a potem porozmawiamy. Pamiętaj o swojej duszy! Czy spowodowałeś śmierć

Gerwazego Bonela?

Chłopiec przysiadł ostrożnie na brzegu ławki. Światło padające od ognia na jego twarz i postać ukazywało szczupłego chłopca, wysokiego jak na swój wiek, w długich obcisłych spodniach i krótkim kaftanie, z bujną czupryną falujących włosów. W tym czerwonym świetle były kasztanowobrazowe, w świetle dziennym zapewne byłyby brunatne jak wyschnięta dębina. Twarz jego była jeszcze chłopięco zaokrąglona, ale mocno zarysowane kości policzkowe świadczyły, że wkrótce będzie dorosłym mężczyzną. Patrzył na Cadfaela bez zmużenia powiek.

— Nigdy nie podniosłem na niego ręki — oświadczył szczerze i bez wahania. — To on mnie obraził w obecności mojej matki, nienawidziłem go wtedy, ale nic złego mu nie uczyniłem! Przysięgam na moją duszę.

Nawet ktoś młody, kiedy jest bardzo przerażony, może użyć jakiegoś fortelu, żeby się ratować, ale Cadfael mógł być przysięc, że nie ma tu kłamstwa. Chłopiec naprawdę nie wiedział, w jaki sposób Bonel został zabity, jego rodzina też nie wiedziała, nie ogłoszono tego również na ulicach miasta, a morderstwo zwykle oznaczało szybki, zadany w gniewie cios stałą. Przyjął tę możliwość bez żadnych wątpliwości.

— Bardzo dobrze! A teraz opowiedz o tym, co się dziś wydarzyło. Bądź pewien, że wysłucham cię uważnie.

Chłopiec oblizał wargi i zaczął mówić. Zgadzało się to z opisem Richildis: w najlepszej intencji poszedł z Meurigiem, ulegając jego namowom, żeby ze względu na matkę pogodzić się z ojczymem. Tak, był zły i rozgoryczony, gdyż został oszukany w sprawie obiecanego spadku. Bardzo był przywiązany do Mal-lilie, miał tam wielu przyjaciół, i gdyby objął je w posiadanie, robiłby wszystko, żeby dobrze gospodarować; ale też dobrze mu szła nauka zawodu, a duma nie pozwalała mu pragnąć tego, czego nie miał otrzymać, lub dać satysfakcję człowiekowi, który mu odebrał to, co przyrzekł. Najbardziej martwił się o matkę. I dlatego poszedł razem z Meurigiem.

— I najpierw poszedłeś z nim do infirmerii — pomógł mu w opowiadaniu Cadfael — żeby się zobaczyć z jego staruszką krewnym, Rhysem.

Chłopca wyraźnie to zaskoczyło. A wtedy Cadfael, jak gdyby nigdy nic wstał bardzo spokojnie ze swego zydła przy ogniu i zaczął

przechadzać się po izbie. Lekko uchylone drzwi najwyraźniej go nie interesowały, jednak dobrze zdawał sobie sprawę ze srebrzystej za nimi ciemności i powiewu narastającego chłodu.

Tak... ja...

Byłeś już tam z nim poprzednio, kiedy pomagałeś Meurigowi zanieść pulpit do kaplicy Matki Boskiej.

Chłopiec się rozjaśnił, ale brwi nadal miał zmarszczone.

— Tak, tak, zanieśliśmy ten pulpit razem, ale co to ma...

Cadfael w swej wędrowce podszedł do drzwi, położył ręce na ryglu i pochylił się, jakby chciał go zasunąć, i nagle nieoczekiwanie otworzył drzwi na oścież, wolną ręką chwytając kogoś za gęstą czuprynę. W odpowiedzi usłyszał pełen oburzenia okrzyk i ktoś na dworze szarpnął się, żeby uciec, ale nagle się wyprostował i dał się wciągnąć do środka. Było to doprawdy wspaniałe wejście, przybysz z wysuniętą szczęką i płonącymi ze złości oczami zdawał się nie zwracać uwagi na bolesny chwyt Cadfaela, który nadal trzymał go za włosy.

Oto miał przed sobą szczupłego, dobrze zbudowanego chłopca, niezwykle podobnego do gościa w chacie, może tylko o nieco ciemniejszej cerze i bardziej zdenerwowanego, ponieważ się przestraszył i wstydził z tego powodu.

— Panicz Edwin Gurney? — spytał uprzejmie Cadfael i wypuścił z dłoni kępę bujnych kasztanowych włosów z prawie czułym gestem. — Spodziewałem się ciebie — powiedział i tym razem starannie zamknął drzwi; na zewnątrz nie było już nikogo, kto by podsłuchiwał, chłonąc każde słowo, by je wykorzystać jako ostrzeżenie. — Dobrze, że tu jesteś, siadaj obok swego prawie bliźniaka — czy to wujek czy siostrzeniec? Chyba nie uda mi się was rozpoznać! — i odpręż się. Ciepłej tu niż na zewnątrz, jest was dwóch, a ja uświadomiłem sobie właśnie, że nie jestem tak młody jak kiedyś. Nie zamierzam posyłać po nikogo, żeby mi pomógł załatwić z wami pewne sprawy, a wy również nie potrzebujecie pomocy, żeby ze mną te sprawy załatwić. Najlepiej chyba będzie, jak złożymy razem obie wersje i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Drugi chłopiec również był bez płaszcza i trząsał się z zimna. Podszedł szybko do ławki przy ogniu, zacierając zziębnięte ręce, i potulnie usiadł obok pierwszego gościa. Kiedy tak siedzieli obok siebie, widać było uderzające rodzinne podobieństwo, w którym Cadfael mógł

dostrzec rysy młodziutkiej Richildis; kiedy byli razem, można było ich rozróżnić, natomiast widząc każdego oddzielnie, łatwo się było pomylić.

— Tak jak myślałem — powiedział Cadfael — Edwy udawał przede mną Edwina po to, by nie wpadł w pułapkę, gdyby to spotkanie okazało się zasadzką. Edwin zaś nie ujawniłby się, dopóki nie byłby pewien, że nie zamierzam go uwięzić i przekazać szeryfowi. Edwy także był dobrze przygotowany...

Gdzie tam! Wszystko spartaczył! — stwierdził Edwin.

Wcale nie! — zaprzeczył gwałtownie Edwy. — Nie powiedziałeś mi wszystkiego. Na przykład jak miałem odpowiedzieć, gdyby brat Cadfael spytał mnie o tę wizytę w infirmerii dziś rano? Ani słowa mi o tym nie mówiłeś.

A skąd miałem wiedzieć? Nie miałem pojęcia, że to ma jakieś znaczenie. To tyś wszystko spartaczył. Słyszałem, jak zaczęłeś mówić „moja babka”, zamiast „matka” oraz „oni” zamiast „my”. I przez ciebie brat Cadfael domyślił się, że podsłuchuję za drzwiami.

Usłyszał cię, oczywiście. Trzęsłeś się i oddychałeś świszcząc jak staruszek — dodał Edwy, żeby jeszcze bardziej go pogryźć.

W tej kłótni nie było jednak cienia wrogości, obaj byli bardzo żyłci i z pewnością jeden za drugiego poszedłby w ogień. Nie było też podstępu w tym, kiedy Edwin dał kuksańca swemu siostrzeńcowi w ramię, a Edwy błyskawicznie uderzył go w plecy i zrzucił na ziemię. Cadfael chwycił obu za kark i posadził energicznie na ławie, tym razem w znacznej odległości od siebie, raczej po to, by chronić cicho bulgoczący syrop niż z obawy o nich samych. Krótka utarczka rozgrzała chłopców, poza tym daleko odsunęła lęk, siedzieli więc i uśmiechali się nieco zawstydzeni.

Czy potraficie przez chwilę zachować spokój, żebym mógł uważnie wam się przyjrzeć? Tak, ty Edwinie, jesteś wujkiem, ale jesteś młodszy... Tak, teraz potrafię cię oddzielnie rozpoznać. Jesteś ciemniejszy i mocniej zbudowany, oczy masz/ chyba ciemnobrązowe. A Edwy...

Orzechowe — podpowiedział Edwin.

I masz małą szramę koło ucha, przy kości policzkowej. Niewielki biały półksiężyc.

Trzy lata temu spadł z drzewa — poinformował go Edwy. —

Nigdy nie potrafił się dobrze wspinać.

No, dość lego! Paniczu Edwinie, teraz, kiedy już tu jesteś a ja wiem, kim jesteś, pozwól, że zadam ci to samo pytanie, które przed chwilą zadałem twemu pełnomocnikowi. Przysięgając na swoją duszę i honor, odpowiedz mi, czy zadałeś cios, który zabił pana Bonela?

Chłopiec spojrział na niego z wielką powagą i odparł stanowczo:

— Nie zadałem. Nie noszę przy sobie żadnej broni, a nawet gdybym nosił, po co miałbym czynić mu krzywdę? Domyślałem się tego, co o mnie mówią, że miałem żal, ponieważ nie dotrzymał słowa. Ale ja nie do wielkiego majątku się urodziłem, lecz do rzemiosła i dzięki rzemiosłu dam sobie radę w życiu. Wstydziałbym się bardzo, gdyby tak nie było. Ktokolwiek zranił go śmiertelnie. .. — ale jakże mogło się to stać tak nagle? — to nie byłem ja. Klnę się na moją duszę!

Cadfael nie miał już żadnych wątpliwości, ale nie dał tego po sobie poznać.

Opowiedz mi wszystko, co się dziś wydarzyło.

Zostawiłem Meuriga w infirmerii z tym staruszkim i sam poszedłem do domu matki. Nie rozumiem, o co chodzi z tą infirmerią. Czy to takie ważne?

Dajmy temu teraz spokój, mów dalej. Jak zostałeś powitany?

Moja matka bardzo się ucieszyła — ciągnął chłopiec. — Ale ojczym od razu uwziął się na mnie i zaczął mi dokuczać. Ledwie mu odpowiadałem ze względu na matkę, ale to go rozzłościło jeszcze bardziej i zaczął mi jeszcze bardziej dokuczać. Siedzieliśmy we trójkę przy stole, weszła Aldith i podała mięso, mówiąc, że przeor z wyrazami szacunku przesłał mu specjalne danie ze swego stołu. Matka usiłowała rozmawiać na ten temat, podkreślając, jaki to zaszczyt dla niego, ale on chciał mnie za wszelką cenę pognębić i nie dawał za wygraną. Powiedział, że przyszedłem, czego się zresztą spodziewał, jak zбитy pies z podwiniętym ogonem, żeby go prosić o zmianę decyzji, bo chcę dziedziczyć po nim, lecz jeśli tego pragnę, powinienem uklęknąć i błagać, żeby się nade mną zlitował. Całkiem straciłem panowanie nad sobą i krzyknąłem mu prosto w twarz, że wolałbym raczej widzieć go martwym, niż prosić o łaskę, a co dopiero paść na kolana. Nie pamiętam już dokładnie wszystkiego, co powiedziałem, a on wtedy zaczął rzucać różnymi rzeczami i... moja matka rozplakała się, a ja

wybiegłem, poleciałem prosto przez most i do miasta.

Ale nie do domu Bellecote'a. Czy słyszałeś, jak Aelfric wołał za tobą od mostu, żebyś wracał?

Tak, ale jakież byłby z tego pożytek? Byłoby jeszcze gorzej, gdybym to zrobił.

Jednak do domu siostry nie wróciłeś.

Nie mogłem, wstydziłem się i byłem okropnie roztrzęsiony.

Poszedł nad rzekę do składu drzewa mego ojca — wtrącił się Edwy. — Zawsze tak robi, kiedy coś go trapi. Chowamy się tam razem, kiedy są kłopoty, i czekamy, aż wszystko się uspokoi albo przynajmniej minie najgorsze. Tam też go znalazłem. Kiedy do warsztatu przyszedł sierżant i powiedział, że go poszukuje i że jego ojczym został zamordowany, wiedziałem, gdzie go szukać. Jednak ani przez chwilę nie pomyślałem, że potrafiłby uczynić coś złego — stwierdził stanowczo Edwy — choć czasem potrafi zachować się jak głupiec. Wiedziałem jednak, że przytrafiło mu się coś złego. Poszedłem więc, żeby go ostrzec, a on oczywiście pojęcia nie miał o morderstwie; kiedy odchodził, Bonel był żywy, tylko okropnie rozwścieczony.

I od tej pory obaj się ukrywacie? Nie byliście jeszcze w domu?

Przecież on nie mógł tam pójść! Szukają go. A ja musiałem zostać razem z nim. Wiedzieliśmy, że trzeba opuścić skład, bo oni i tam przyjdą. Znamy jednak sporo różnych miejsc. No i przybiegła Alys, i powtórzyła nam to, co brat powiedział.

I taka jest cała prawda — odezwał się Edwin. — A teraz co mamy robić dalej?

Po pierwsze, pozwólcie mi zdjąć ten mój syrop z ognia i odstawić go, żeby wystygł, nim rozleję go do butelek. Jak przypuszczam, dostaliście się tu przez parafialne drzwi kościoła opactwa i kruzganek. — Zachodnie drzwi kościoła opactwa znajdowały się poza murami i zawsze były otwarte, z wyjątkiem tych strasznych dni oblężenia miasta, ponieważ ta część kościoła należała do parafii. — Kiedy byliście już w ogrodzie, z pewnością kierowaliście się węchem. Ten gotujący się syrop ma bardzo silny zapach.

Ale też bardzo przyjemny — odparł Edwin, z podziwem oglądając wewnątrz chaty: zioła w woreczkach i pęki innych wiszących, które się poruszały łagodnie w gorącu unoszącym się znad żelaznego kosza.

Nie wszystkie moje leki pachną tak przyjemnie. Co prawda mnie

ten ich zapach się podoba. Owszem, przenikliwy, ale czysty, wyraźny. — Odkorkował spory gąsiorek olejku z tojadem do smarowania, przechylił go i podsunął pod nos zaciekawionego Edwina. Chłopiec gwałtownie zamrugał, poczuwszy przenikliwą woń, cofnął głowę i zmarszczył czoło, jakby coś sobie przypomniał.

Pachnie zupełnie tak samo jak to, czym Meurig nacierał plecy temu staruszkowi. Nie dzisiaj rano, ale poprzednim razem, kiedy z nim tam byłem. W infirmerii, w szafce stała flaszka z tym specyfikiem. Czy to jest to samo?

To samo — odparł Cadfael i postawił z powrotem gąsiorek na półkę.

Twarz chłopca była spokojna, ten zapach był dla niego tylko przypomnieniem zapachu nie mającego żadnego związku z tragedią i oskażeniem. Dla Edwina bowiem Gerwazy Bonel zmarł nagle, w sposób niewytłumaczalny, z powodu czyjegoś zbrojnego ataku, a jeśli on czuł się winny, to tylko dlatego, że stracił nad sobą panowanie, co nie licowało z jego młodzieńczą godnością, i przyczynił się do łoża swej matki. Cadfael nie miał już żadnych wątpliwości. To dziecko mówiło prawdę, znalazło się w śmiertelnym potrzasku i nade wszystko potrzebowało teraz przyjaciół.

Chłopak był przy tym bystry, inteligentny. Przebieg rozmowy z Cadfaelem zaniepokoił go.

— Bracie Cadfaelu... — powiedział z wahaniem i szacunkiem, gdyż nie zwracał się do zwykłego zakonnika, lecz krzyżowca, którym Cadfael był kiedyś, i człowieka, którego tak serdecznie wspominała jego matka, wychwalając jego wygląd, galanterię i odwagę. — Brat wiedział o tym, że poszedłem z Meurigiem do infirmerii... pytał o to Edwy'ego. Nie rozumiem dlaczego? Czy to ważne? Czy to ma jakiś związek ze śmiercią mego ojczyma? Ale nie pojmuję jaki.

— Nie możesz, chłopcze, tego zrozumieć — odparł Cadfael — lecz to świadczy o twojej niewinności, czego nie mogliśmy udowodnić innym, a w co ja całkowicie wierzę. Usiądź teraz koło swego siostrzeńca... dobry Boże, czyja kiedykolwiek rozeznam się w tym waszym pokrewieństwie? I przestań myśleć przez chwilę o tym, żeby się z nim bić, dopóki nie wyjaśnię ci tego, co nie jest jeszcze znane nikomu. Tak, twoje dwukrotne odwiedziny w infirmerii mają wielkie znaczenie, jak też ten wcierany bratu Rhysovi olejek, czego byłeś

świadkiem, choć muszę powiedzieć, że wiele innych osób również o tym wie i lepiej zna jego właściwości, zarówno dobre, jak i złe. Musisz mi wybaczyć, jeśli dałem ci do zrozumienia, że pan Bonel zginął od ciosu sztyletu lub miecza. A wybaczyć mi powinienes, ponieważ przyjmując tę

wersję, całkowicie uwolniłeś się od winy, przynajmniej w moich oczach. Nie było tak, jak wam się zdaje, chłopcy. Pan Bonel zmarł z powodu trucizny podanej w potrawie, którą przesłał mu przeor a tą trucizną był olejek z tojadu. Ktokolwiek dodał jej do kuropatwy, zabrał ją albo z tej chaty, albo z infirmerii, dlatego też podejrzani są ci wszyscy, którzy znają oba jej źródła i skutki działania po jej połknięciu.

Obaj chłopcy, choć wymęczeni i przejęci zarazem, zrozumieli jednak, co zaszło, i przysunęli się do siebie jak przerażone szczenięta w jamie, kiedy szukają pocieszenia. Jakby nagle przestali być dorastającymi młodzieńcami i stali się znów ściganymi dziećmi

Pierwszy odezwał się Edwy:

On nic o tym nie wiedział! Ludzie szeryfa powiedzieli tylko, że Bonel zmarł, że został zamordowany! To wszystko stało się tak szybko! Kiedy Edwin wybiegł z jadalni, byli tam tylko sami domownicy. On nawet nie widział żadnego specjalnego dania...

Wiedziałem o tym daniu — powiedział Edwin. — Aldith mówiła o nim. Wiedziałem, że je przyniesiono. Ale to nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Chciałem tylko wrócić do domu...

— Sza, teraz! — skarcił go Cadfael. — Mówisz do człowieka, który jest przekonany o twojej niewinności. Przeprowadziłem swoje własne śledztwo. Siedź teraz spokojnie i nie martw się o mnie, wiem, że nie masz nic do odpokutowania. — Niejeden człowiek chciałby to usłyszeć, ale ci dwaj nie mieli na sumieniu nic prócz zwykłych psot, jak większość kipiących nadmiarem energii chłopców w ich wieku. Teraz, kiedy mógł na nich spojrzeć spokojnie, nie doszukując się kłamstw czy oszustwa, zauważył inne rzeczy. — Musicie mi dać chwilę do namysłu, jednak nie wolno marnować czasu. Powiedzcie mi, czy któryś z was jadł coś w ciągu tych wielu godzin? Jeden, jak mi wiadomo, miał bardzo kiepski obiad.

Do tej pory zbyt pochłonięci ważniejszymi problemami, nie zwracali uwagi na głód, ale gdy wreszcie znaleźli sprzymierzeńca, choć zapewne o ograniczonych możliwościach, i schronienie, choć zapewne

przejściowe, nagle poczuli wilczy apetyt.

Mam tutaj trochę placków owsianych własnego wypieku, kawałek sera i jabłka. Najedzcie się do syta, a ja pomyślę, co trzeba zrobić dalej. Ty, Edwy, musisz wracać do domu, jak tylko rano zostaną otwarte bramy miejskie; przemknij się tak, żeby nikt cię nie zauważył, i udawaj, że załatwiałeś zwykle sprawy, a poza tym cały czas byłeś w domu. Trzymaj język za zębami i rozmawiaj tylko z tymi ludźmi, których jesteś pewien. W ten sposób rodzina zjednoczy swoje siły i będzie się bronić sama. Ale z tobą, przyjacielu, jest całkiem inaczej.

Ale brat go nie wyda? — zawołał przerażony nagle Edwy z ustami pełnymi placka owsianego.

Zapewniam cię, że tego nie zrobię.

Właściwie powinien był namawiać chłopca, żeby sam się zgłosił, licząc na to, że jest niewinny, i zawierzył sprawiedliwości. Ale czy można mieć niewzruszoną wiarę w nieomylność prawa? On sam jej nie miał. Prawo potrzebowało winowajcy, a sierzant był przekonany, że ściga właściwą ofiarę i niełatwo dałby się przekonać, że trzeba szukać dalej. Nie przejmowałyby się dowodami Cadfaela i odrzuciłby je z pogardą, uważając go za naiwnego starego głupca, który uwierzył w kłamstwa przebiegłego chłopaka.

Ja nie mogę wrócić do domu — powiedział ze smutkiem Edwin. Jeden policzek miał wypchany kawałkiem jabłka, na drugim widniała zielonkawa smuga po otarciu się o jakąś gałąź. — Ani do matki. Sprowadziłbym na nią jeszcze większe kłopoty.

Dzisiejszą noc obaj możecie spędzić tutaj, podtrzymując ogień w moim żelaznym koszu. Pod ławą leżą czyste worki, będzie wam tu ciepło i bezpiecznie. Ale w ciągu dnia od czasu do czasu ktoś' tu wpada, musicie więc wcześniej stąd odejść; jeden do domu. drugi... Miejmy nadzieję, Edwinie, że będziesz się musiał ukrywać tylko przez kilka dni. Blisko opactwa nie będą cię szukać.

Chwilę się zastanawiał, zamyślony. Strych nad stajniami był ciepły, gdyż przechowywano tam siano, a i konie trzymane na dole dawały ciepło. Zbyt wielu ludzi jednak wchodziło i wychodziło ze stajni; teraz, przed świętami, przebywali tam podróżni, czasem na strychu spała ich służba. Ale poza terenem opactwa, na krańcu rozległego pola, gdzie odbywały się targi końskie i letnie jarmarki opactwa, była stodoła, w której trzymano zwierzęta przyprawdane na

sprzedaż. Stodoła należała do opactwa, lecz była otwarta dla wszystkich wędrownych handlarzy. O tej porze roku rzadko tu bywali, a na strychu zgromadzono duże zapasy siana i słomy — doskonale postanie na kilka nocy. Ponadto, gdyby wskutek niefortunnego zbiegu okoliczności coś groziło bezpieczeństwu Edwina, ucieczka poza murami byłaby łatwiejsza niż wewnątrz nich. Ale nie daj Boże, żeby do tego doszło!

Tak, znam odpowiednie miejsce. Zaprowadzimy cię wczesnym rankiem i postaramy się, żebyś miał zapas jedzenia i piwa na cały dzień. Musisz uzbroić się w cierpliwość, wiem, że trudno ci będzie tak się ukrywać, ale nie ma innej możliwości.

Lepsze to niż wpaść w łapy ludzi szeryfa — przyznał Edwin. — Dziękuję bratu bardzo, ale... co będzie dalej? Nie mogę wiecznie się ukrywać.

— Jest tylko jedno wyjście — powiedział z przekonaniem Cadfael. — Żeby wyjaśnić tę sprawę, chłopcze, trzeba znaleźć człowieka, który uczynił to, o co ty jesteś oskarżony. A ponieważ ty tego nie zdołasz zrobić sam, musisz zdać się na mnie. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, ze względu na mój, jak i na twój honor. A teraz muszę was zostawić i pójść na jutrznię. Rano, przed prymą, przyjdę i bezpiecznie cię stąd wyprowadzę.

Brat Marek zrobił, co do niego należało, zwinięty habit leżał pod łóżkiem brata Cadfaela. Wdział go pod swój własny, kiedy wstawał na godzinę przed dzwonkiem na prymę, i wyszedł z dormitorium nocnymi schodami i przez kościół. Zimą dniało bardzo późno, a ta noc była bezksiężycowa i niebo zachmurzone; kiedy szedł przez dziedziniec w stronę ogrodu, panowała ciemność, prócz niego nie było nigdzie żywej duszy. Najlepsza pora, żeby Edwy mógł się niepostrzeżenie prześliznąć przez kościół i drzwi parafialne, tak jak przyszedł, a potem spieszenie ruszyć do mostu i wejść do Shrewsbury zaraz po otwarciu bramy. Z pewnością na tyle dobrze znał miasto, że mógł się przedostać do domu, nie zwracając uwagi ludzi szeryfa, gdyby nawet obserwowali warsztat jego ojca.

Jeśli idzie o Edwina, to ledwie przywdział habit i głęboko na twarz nasunął kaptur, stał się prawdziwym nowicjuszem. Cadfael

przypomniał sobie wtedy, jak wyglądał brat Marek na początku swego nowicjatu, kiedy oczekiwał wszystkiego, co najgorsze, z powodu wymuszonego na nim powołania: jego zbyt energiczny chód, zbyt mocno splatane dłonie w szerokich rękawach i pełne bojaźni rzucane na boki spojrzenia. Ale w zachowaniu tego chłopaka było coś, co mówiło o jakiejś jego przekornej radości. Mimo grożącego niebezpieczeństwa, z którego w pełni zdawał sobie sprawę, wyraźnie cieszył się z tej przygody. Czy jednak potrafi spokojnie się zachowywać w kryjówece i cierpliwie znosić beczynne godziny? Czy nie skusi go ucieczka? Nad tym Cadfael wołał się nie zastanawiać.

Przeszli przez krużganek, kościół, a potem przez zachodnie drzwi. Kiedy znaleźli się za murami, skręcili w prawo, z dala od strażnicy przy bramie. Nadal było całkiem ciemno.

Czy ta droga prowadzi do Londynu? — spytał szeptem Edwin z głębin swego nasuniętego głęboko na twarz kaptura.

Tak, ale nie próbuj uciekać nią, nawet gdyby doszło do najgorszego, Boże, zachowaj, gdyż z pewnością już postawili posterunek na drodze do św. Idziego. Bądź rozsądny, siedź cicho i daj mi choć kilka dni, żebym odkrył prawdę.

Rozległy, w kształcie trójkąta, targ koński błyszczał srebrzystym szronem. W jednym kącie blisko muru opactwa majaczyła stodoła. Główne wrota były zamknięte poprzecznym drągiem, ale z tyłu znajdowały się zewnętrzne schody prowadzące na strych i małe drzwiczki na górze. Na drodze zaczął się już wczesny ruch, choć jeszcze słaby o tak ciemnej godzinie, i nikt nie zwracał uwagi na dwóch zakonników wspinających się na własny strych. JJrzwi były zamknięte, ale Cadfael otworzył je przyniesionym kluczem i znaleźli się w suchej, pachnącej sianem ciemności.

— Nie mogę zostawić ci klucza, muszę odłożyć go na miejsce, ale też nic zostawię cię zamkniętego. Drzwi muszą być otwarte, żebyś w razie potrzeby mógł swobodnie wyjść. Tutaj masz bochenek chleba, trochę fasoli, twaróg i kilka jabłek, a tu flaszkę słabego piwa. Zachowaj habit, przyda ci się, żeby ci było ciepło w nocy, a siano to dobre posłanie. Jak przyjdę do ciebie. poznasz mnie po takim pukaniu... Ale nikt inny nie powinien tu przyjść. Gdyby się ktoś pojawił i nie zapukał tak jak ja, masz dość siana, żeby się schować.

Chłopiec stał nieruchomo — nagle posmutniał i był trochę

zagubiony. Cadfael wyciągnął rękę i zsunął kaptur z bujnej falistej czupryny; ujrzał przed sobą w słabym świetle świtu zarys poważnej owalnej twarzy i szeroko otwarte baczne oczy.

Niewiele ostatnio spałeś. Na twoim miejscu zakopałbym się głęboko i w ciepłym sianie przespał cały dzień. Pamiętaj, ja cię nie opuszczę.

Wiem o tym — odparł z przekonaniem Edwin. Zdawał sobie sprawę, że być może nie powiedzie im się, ale przynajmniej miał pewność, że nie jest sam, że ma też lojalną rodzinę, Edwy'ego jako łącznika i sprzymierzeńca tu, wewnątrz opactwa. Lecz nagle ogarnęło go wzruszenie i powiedział głosem już nie tak pewnym jak przedtem:

Proszę powtórzyć mojej matce, że nigdy mu nie zrobiłem nic złego ani nie chciałem go skrzywdzić.

Niemądry dzieciaku — odparł ciepło Cadfael — od początku wiedziałem o tym i jak przypuszczasz, kto mi to powiedział, jak nie twoja własna matka? — Słabe światło było przedziwnie miękkie, a chłopiec znajdował się w tej fazie życia między dzieciństwem a dojrzałością, kiedy jego twarz jeszcze się formowała i mogła być zarówno twarzą chłopca, jak i dziewczyny, kobiety, jak i mężczyzny. — Jesteś bardzo do niej podobny — powiedział Cadfael, przypominając sobie dziewczynę niewiele starszą niż ten wyrostek, tuloną i całowaną potajemnie, w takim samym półmroku, gdy rodzice byli pewni, że śpi w dziewiczej samotności. I nagle zapomniał o tych wszystkich kobietach, które znał potem, na wschodzie i zachodzie, z których żadnej, jak sądził, nie skrzywdził. — Będę tu u ciebie przed zapadnięciem zmroku — obiecał i wyszedł.

Dobry Boże, rozważał, wracając przez drzwi parafialne, akurat w porę, by zdążyć na prymę, przecież ten dorodny niesforny chłopak mógłby być mój! On i ten drugi także, syn i wnuk jednocześnie. Po raz pierwszy i ostatni zaczął poddawać w wątpliwość swoje powołanie, nawet żałować go, ale nie trwało to długo. Ciekaw jednak był, czy gdzieś w szerokim świecie, dzięki przychylności Arianny, Blanki czy Mariam albo tych kilku innych, które też kochał, ale które teraz zapomniał, nie zostawił swoich wizerunków równie udanych i wspaniałych jak ten, poczęty przez innego, syn Richildis.

Rozdział 5

Trzeba było znaleźć mordercę, w przeciwnym bowiem razie chłopiec nie mógłby opuścić swojej kryjówki i wrócić do normalnego życia. A to oznaczało szczegółowe prześledzenie drogi, jaka odbyła nieszczęsna potrawka z kuropatwy od kuchni opata do żołądka Gerwazego Bonela. Kto się nią zajmował? Kto mógł z nią coś zrobić? Ponieważ przebywający w siedzibie opata przeor Robert jej pozostałą część zjadł ze smakiem, bez żadnej szkody na zdrowiu, najwyraźniej została mu podana bez trucizny.

Przed sumą Cadfael poszedł do kuchni opata. Był jednym z niewielu ludzi, którzy nie bali się brata Petrusa. Fanatycy zawsze budzą przerażenie, a brat Petrus był fanatykiem, nie z racji swej religijności czy powołania, gdyż te rzeczy uważał za pewnik, lecz z racji swego kunsztu. Otwarty ogień w kuchni czerwienią zabarwiał jego czarne włosy i czarne oczy, północna krew wrzała w nim jak jego wielki kocioł, barbarzyński zaś, nadgraniczny temperament był tak gorący jak jego własny piec. I równie gorąco jak kochał opata Heriberta, tak gorąco nie cierpiał przeora Roberta.

Kiedy Cadfael wszedł do jego kuchni, właśnie robił przegląd pola bitwy, swej armii złożonej z patelni, garnków i roznów, z mniejszym niż zwykle zadowoleniem, ponieważ to Robert, a nie Heribert miał spożywać rezultaty jego kunsztu. Ale mimo to nie mógł zrezygnować z perfekcji.

— Ta kuropatwa — zaczął ponuro swoją relację Petrus, spytany o wypadki poprzedniego dnia — to była wspaniała sztuka, drugiej takiej w życiu nie widziałem. Nie chodzi o to, że była bardzo duża, ale dobrze odżywiona, mięsista i gdybym ją przygotowywał dla mojego opata, zrobiłbym z niej arcydzieło. Tak, sam przeor przyszedł tu i polecił, żebym odłożył jedną porcję — tylko jedną, zauważ! — I żebym ją potem z wyrazami szacunku posłał gościowi, który mieszka w domu przy stawie. Tak też zrobiłem. Przygotowałem najlepszy kawałek na jednej z własnych mis opata Heriberta. Moja zastawa, powiada Robert! Czy kiedykolwiek ktoś innej używał tutaj? Powiadam ci, Cadfaelu, ci dwaj moi pomocnicy znają mnie, robią, co im każe, i niczym innym się nie zajmują. Robert? Przyszedł tu, żeby mi rozkazywać i zaglądać w garnki i patelnie, ale ta kuropatwa w całości była na jednej patelni i dopiero jak on wyszedł z kuchni, odłożyłem porcję dla pana Bonela. Bądź pewien, że nikt inny, tylko ja zajmowałem się tym daniem, dopóki tu było, a potem, kiedy zbliżała się pora obiadu, przyszedł ten służący, jak mu tam? Aelfric chyba, ze swoją tacą.

Co myślisz o Aelfricu? — spytał Cadfael. — Codziennie go widzisz.

Jakiś taki ponury i małomówny — powiedział Petrus bez żadnej wrogości. — Jest bardzo punktualny, staranny i lubi porządek.

To samo mówiła Richildis, przypomniał sobie Cadfael.

— Widziałem, jak wczoraj niósł pełną tacę przez dziedziniec; była przykryta, obie ręce miał zajęte i z pewnością nie zatrzymał się koło strażnicy po tej stronie mostu, gdyż widziałem, że od razu wyszedł.

Ale na ławce w bramie, ukrytej we wgłębieniu w murze, z łatwością można było na chwilę postawić tacę pod pretekstem, że coś na niej trzeba poprawić dla lepszej równowagi. Aelfric zaś dobrze znał drogę do chaty Cadfaela i widział, jak on rozlewał olejek. Miał też swoje powody do rozgoryczenia i był człowiekiem zamkniętym, który przed nikim się nie zwierzał.

No cóż, wynika stąd, że tutaj nic nie zostało dodane do tego jedzenia.

Nic, prócz dobrego wina i przypraw korzennych. Gdyby także reszta ptaka została zatruta — powiedział ponuro Petrus — to mógłbyś na mnie podejrzliwie patrzeć, boja miałbym po temu powody. Ale nawet gdybym posunął się tak daleko i przygotował potrawkę z tojadem

dla tego kogoś, to możesz być pewien, że dobrze wiedziałbym, który półmisek przeznaczony jest dla czyjego brzucha.

Nie trzeba nazbyt poważnie traktować tych wywodów, rozmyślał Cadfael, bo mimo pozorów gwałtowności Petrus był raczej człowiekiem słów niż czynów. A może mimo wszystko należy się nad tym zastanowić? Podejrzenie, że zaszła omyłka i potrawa przeznaczona dla Roberta została przesłana Bonelowi, nie przyszło dotąd Cadfaelowi do głowy, ale to przecież Petrus podsunął mu tę myśl i szybko ukazał jej absurdalność. Może nieco zbyt szybko? Już przedtem wśród tych, którzy przysięgali sobie braterską miłość, zdarzały się morderstwa spowodowane nienawiścią i z pewnością będą się zdarzać w przyszłości. Brat Petrus podsunął to podejrzenie, które potem obalił. Nie, nie był mordercą. Jednak należy o tym pamiętać

Na kilka tygodni przed najważniejszymi świętami roku na codzienną mszę przychodziło znacznie więcej parafian niż zazwyczaj, jakby budziło się sumienie tych, co w pozostałych tygodniach roku lekce sobie ważyli swoje duchowe obowiązki. Tego ranka w kościele było wielu miejscowych ludzi, nic więc dziwnego, że Cadfael zauważył wśród nich biały czepek i bujne włosy Aldith. Kiedy nabożeństwo się skończyło, spostrzegł, że nie wyszła przez zachodnie drzwi, jak reszta wiernych, ale prze/ południowe, wiodące na krużganek, i potem na wielki dziedziniec. Otuliła się peleryną i usiadła na kamiennej ławie pod ścianą refektarza.

Cadfael podszedł do niej, pozdrowił ją uprzejmie i spytał, jak się czuje jej pani. Dziewczyna uniosła twarz o delikatnych rysach, którym kłam zadawało mocne spojrzenie jej ciemnych oczu. Jego zdaniem na swój sposób była równie tajemnicza jak Aelfric i to, czego nie zamierzała ujawnić, trudno byłoby odkryć.

— Jeśli chodzi o zdrowie cielesne, to dobrze — odparła z namysłem — lecz oczywiście martwi się bardzo o Edwina. Do tej pory nie było jednak wiadomości, iż go pojmano, a jestem pewna, że dowiedziałybyśmy się o tym, gdyby tak się stało. Zawsze to jakaś pocięcha, a moja biedna pani bardzo teraz pocięchy potrzebuje.

Mógłby przekazać za jej pośrednictwem jakieś słowa otuchy, ale

nie uczynił tego. Richildis wolała rozmawiać z nim w cztery oczy, powinien więc szanować jej wolę, gdyż znajdowała się w niezwykle trudnej sytuacji. Czy mogła być absolutnie pewna swej młodej krewnej, swego pasierba lub służącego? Wreszcie czyż on sam mógł być pewien Richildis? Matki potrafią posunąć się do strasznych rzeczy w obronie swych dzieci, a Gerwazy Bonel zawarł z nią umowę, której nie dotrzymał.

Jeśli pozwolisz, usiądę na chwilę przy tobie. Nie musisz zaraz wracać?

Wkrótce przyjdzie Aelfric po obiad — powiedziała. — Pomyślałam sobie, że zaczekam na niego i pomogę mu zanieść wszystko do domu. Będzie niósł także piwo i chleb. — Kiedy Cadfael usiadł przy niej, dodała: — Ciężko mu będzie wykonywać te same obowiązki po tym, co wczoraj wydarzyło się u nas. Ludzie będą mu się przyglądać i myśleć Bóg wie co. Nawet ty, bracie. Czy nie mam racji?

Nic na to nie można poradzić — stwierdził Cadfael — dopóki nie poznamy prawdy. Sierżant szeryfa jest przekonany, że ją zna. Czy zgadzasz się z nim?

Nie! — odparła z odcieniem pogardy i nawet jakby się leciutko uśmiechnęła. — To nie hałaśliwi i rozbrykani chłopcy, którzy wszystkim głośno opowiadają o swoich kłótniach i pretensjach, używają trucizny. Ale jakie to ma znaczenie dla brata, co ja powiem, czy wierzę w to, czy nie wierzę, kiedy jestem w tej samej sytuacji? I brat dobrze wie, że tak jest! Kiedy Aelfric wszedł do kuchni z tacą i powiedział, jaki prezent zrobił przeor naszemu panu, to ja postawiłam to danie z boku ognia, żeby nie wystygło, a tymczasem Aelfric główne danie wniósł do izby, a ja po chwili zaniósłam tam półmiski i dzbanek piwa. We trójkę siedzieli przy stole i to ja powiedziałam im o tej kuropatwie... myślałam, że to sprawi radość naszemu panu, gdyż atmosfera tam była tak lodowata, że z trudem się oddychało. Pierwsza wróciłam do kuchni i usiadłam przy ogniu, żeby coś zjeść i mieszać w misie, gdy zacznie się gotować. Kiedy tak się stało, odsunęłam misę z ognia. Po co mam mówić, że niczego nie dodałam? Oczywiście, ja lub każdy na moim miejscu tak by powiedział, ale to nie miałoby żadnego znaczenia, dopóki nie ma dowodu, w tę lub w tamtą stronę.

— Jesteś bardzo rozsądna i bardzo sprawiedliwa. A Meurig powiadasz, właśnie był w drzwiach, kiedy ty wracałaś do kuchni. Tak

więc nie był sam, kiedy ta potrawa stała w kuchni... nawet zakładając, że wiedział, co to jest i dla kogo przeznaczone.

Jej ciemne brwi, pięknie zarysowane pod jasnym czołem i złocistymi włosami, uniosły się nieznacznie.

— Drzwi były szeroko otwarte, to sobie przypominam, i Meurig właśnie wycierał obłocone buty przed wejściem. Ale jakież powód miałby Meurig, żeby zabić swego ojca? Nie był on nazbyt hojny dla niego, ale większą wartość miał żywy niż martwy. Nie miał żadnej nadziei na dziedziczenie i dobrze o tym wiedział, mógł zaś utracić pewne skromne korzyści materialne.

Była to prawda. Nawet Kościół nie stanąłby po stronie bękarta walczącego o prawo do dziedziczenia, a państwo odmówiłoby tego prawa, gdyby nawet małżeństwo rodziców, całkowicie ważne pod względem prawnym, zostało zawarte po jego urodzeniu. Była to bardzo często zdarzająca się sytuacja w przypadku dziewcząt służebnych. Nie, Meurig nic nie mógł zyskać na śmierci Bonela, podczas gdy Edwin mógł odzyskać majątek, a Richildis zapewnić przyszłość swemu ukochanemu synowi. Ale co z Aelfrikiem?

Podniosła głowę, spoglądając w kierunku strażnicy przy bramie, gdzie właśnie ukazał się Aelfric z drewnianą tacą o wysokim obrzeżeniu pod pachą i workiem na chleb na ramieniu. Zebrała w garść rąbek spódnicy i wstała.

— Powiedz mi — spytał łagodnie Cadfael — teraz, kiedy pan Bonel nie żyje, do kogo należy Aelfric? Czy do majątku, czy do opactwa, czy też do jakiegoś innego pana? A może został wyłączony z umowy i przyznany panu Bonelowi jako niewolny służący do końca życia?

Szła już w stronę Aelfrica i gwałtownie się odwróciła.

Był wyłączony z umowy. Miał być osobistym niewolnym mego pana.

Zatem cokolwiek się teraz stanie z majątkiem, pójdzie do tego, kto odziedziczy ludzi... do wdowy albo jej syna, jeśli przeciw synowi nie zostanie wysunięte kryminalne oskarżenie. A ty, Aldith, która tak dobrze znasz wrażliwe serce pani Bonel, czy nie widzisz, że z wielką radością natychmiast dałaby wolność Aelfricowi? A czyż jej syn nie postąpiłby tak samo?

Jedyną odpowiedzią był krótki błysk jej czarnych inteligentnych

oczu i nagle opadnięcie ciemnych rzęs. Potem podeszła do Aelfrica, pozdrowiła go obojętnie i razem skierowali się do kuchni. Pewna siebie szła lekko, z wdziękiem. Aelfric kroczył koło niej sztywny, milczący i nie pozwolił jej zabrać ze swego ramienia worka. Cadfael siedział dłuższą chwilę, patrząc za nimi i zastanawiając się, aż nagle ogarnęło go zdziwienie, a kiedy wstał, żeby umyć ręce przed obiadem w refektarzu, zdziwienie przerodziło się w pewność.

Było już późne popołudnie. Cadfael przeglądał tace z jabłkami i gruszkami na strychu stodoły opata, usuwając nadgniłe owoce, kiedy pojawił się brat Marek i zaczął do niego wołać:

Przyszedł sierzant — wyjaśnił, kiedy Cadfael spojrział na niego w dół znad drabiny i spytał, o co chodzi. — Szuka brata. Jeszcze nie schwytali tego uciekiniera... to jest jedyna nowina, jaką mam dla brata.

Nie jest dobrą nowiną, że ja też jestem poszukiwany — stwierdził Cadfael, schodząc z drabiny plecami do niej, zrećnie jak chłopiec. — Czego chce? W jakim jest humorze?

Myślę, że bratu nic nie grozi — odparł Marek. — Oczywiście, zły jest, że dotąd jeszcze nie schwytali tego Edwina, ale mam wrażenie, że chodzi mu o drobiazgi, na przykład ile brat ma tego olejku do nacierania w swojej chacie. Pytał mnie, czy jakaś butelka została stamtąd zabrana, ale kiepski ze mnie pomocnik, który nic nigdy nie widzi, co brat sam mu potwierdzi. On myśli, że brat co do kropli wie, ile czego ma.

No to głupiec z niego. Wystarczy łyk albo dwa tego olejku, żeby zabić. Skąd można wiedzieć, jaka ilość została skradziona, choćby nawet była to dziesięciokrotnie większa śmiertelna dawka, z tego mojego wielkiego gąsiora, którego nic można objąć dłońmi, a wysoki jest jak stółek. Niech się lepiej zastanowi nad tym, co teraz robi, i powie, czy ma jakieś dowody na poparcie swych podejrzeń.

W chacie Cadfaela sierzant z jakąś lękliwą ciekawością wszędzie, gdzie się dało, we wszystkie woreczki, słoiki i garnki pakował swoją ostrą brodę i zakrzywiony jak dziób nos. Jeśli przyszedł z eskortą, to musiał ją zostawić na wielkim dziedzińcu albo w strażnicy.

Bardzo liczymy na brata — powiedział, ledwo Cadfael wszedł. —

Muszę wiedzieć, z której butli ten trujący olejek został wzięty, ale ten tutaj młody braciszek nie ma pojęcia, czy brak czegoś z zapasów w tej chacie. Może brat będzie bardziej pomocny?

W tej sprawie nie - odparł stanowczo Cadfael. — Dc otrucia człowieka wystarczy bardzo mała ilość, a mój zapas, jak widać, jest duży. Dlatego nikt nie potrafi stwierdzić z całą pewnością, czy coś zostało stąd bezprawnie zabrane. Jedno mogę powiedzieć: wczoraj sprawdzałem szyjkę i korek tej butelki, nic było żadnego śladu olejku najej powierzchni. Wątpię, by złodziej w pośpiechu miał czas przed zakorkowaniem wytrzeć szyjkę do czysta, tak jak ja to robię.

Sierzant skinął głową, częściowo zadowolony, że zgadzało się to z jego opinią, i rzekł:

A więc wszystko przemawia za tym, że trucizna została wzięta z infirmerii. A tam jest bez porównania mniejsza flaszka niż ta tutaj. Byłem tam. Ale nikt nic pewnego nie miał mi do powiedzenia. O tej porze roku starzy ludzie bardzo lubią używać tego olejku i trudno stwierdzić, czy ktoś wziął go trochę, żeby użyć w złym zamiarze.

Obawiam się, że niewielki postęp zrobiliście — powiedział brat Cadfael.

Jeszcze nie złapaliśmy naszego zbiega. Nie wiadomo, gdzie się ukrywa Edwin Gurney, ale z pewnością nie ma go w pobliżu warsztatu Bellecote'a, a koń stolarza jest na swoim miejscu w stajni. Moim zdaniem chłopak ukrywa się nadal gdzieś w mieście. Obserwujemy warsztat i bramy, mamy też oko na dom jego matki. Schwytnię go to tylko kwestia czasu.

Cadfael usiadł na ławie i złożył ręce na kolanach.

— Bardzo jesteście pewni jego winy, sierzancie. Ale są jeszcze co najmniej cztery osoby, które były wtedy w domu Bonela oraz kilka innych, które dla tego czy innego powodu znają zastosowanie i trujące właściwości tego olejku. Och, wiem, jak poważne argumenty możecie wytoczyć przeciw temu chłopcu. Takie same ja mógłbym przedstawić kilku innym ludziom, ale tego nie zrobię. Ja rozważyłbym raczej te czynniki, które mogą być źródłem nie podejrzeń, lecz dowodów, i to nie przeciw wybranej ofierze, ale przeciw osobie, kimkolwiek ona może być, na którą wskazują bezsporne fakty. Czas wchodzący w grę jest krótki, najwyżej pół godziny. Ja sam widziałem, jak służący Bonelów zabrał jedzenie z kuchni opata i niósł je przez bramę. Jeśli mamy także

wziąć pod uwagę tych, którzy służą w kuchni opata, danie to było jeszcze nie zatrute, kiedy zostało zabrane z terenu opactwa. I jeszcze jedno — powiedział spokojnie — mimo że nosimy habity, również nas powinniście brać pod uwagę, podejrzewać, łącznie ze mną samym.

Sierzant słuchał tego wywodu cierpliwie, lecz wyraźnie nie zrobił na nim wrażenia.

A więc o jakim źródle dowodów brat mówi, do jakich bezspornych faktów nawiązuje?

Wspomniałem wczoraj, że wystarczy powąchać tę butelkę i upuścić kroplę jej zawartości na rękaw, wówczas nie tylko się ją zobaczy, ale też i poczuje. Niełatwo zmyć jej tłusty ślad z rękawa lub pozbyć się zapachu. To nie tylko tojad żółty tak ostro pachnie, ale też gorczyca oraz inne zioła. Kogokolwiek złapiecie, musicie sprawdzić jego ubranie, czy nie ma na nim tego rodzaju śladów. Nie twierdzę, że brak tych śladów należy uważać za dowód niewinności, ale to może osłabić dowód winy.

Brat mówi bardzo ciekawe rzeczy — powiedział sierżant — jednak to nie jest przekonujące.

I jeszcze jedno trzeba rozważyć. Ktokolwiek użył tej trucizny, musiał się pozbyć butelki szybko i niepostrzeżenie. Jeśli by zwlekał i musiał ukryć ją przy sobie, ryzykowałby, że sam się zdemaskuje. Będziecie, sierżancie, prowadzić tę sprawę wedle swej woli. Lecz gdybym to ja prowadził śledztwo, bardzo starannie szukałbym małej buteleczki w niezbyt dużej odległości od domu Bonela, gdyż kiedy ją znajdziecie, to miejsce wiele powie o tym kimś, kto ją tam porzucił. — I dodał z przekonaniem: — Z rozpoznaniem tej buteleczki nie będzie żadnych trudności.

Wcale nie spodobał mu się wyraz wyrozumiałego współczucia, jaki przemknął przez twarz sierżanta, jakby ten cieszył się skrycie, że jeśli tylko zdecyduje się ujawnić pewną tajemnicę, całkiem zdyskredytuje Cadfaela. Choć przyznał, że nie schwytał uciekiniera, to z pewnością w zanadrzu miał coś, co dawało mu wewnętrzne zadowolenie.

Dotąd jej nie znaleźliście, sierżancie? — spytał ostrożnie Cadfael.

Nie, nie znalazłem. I nawet jej specjalnie nie szukałem—Lecz mimo to wiem, gdzie jest. Nie warto szukać jej teraz, zresztą nie ma potrzeby. — Tym razem otwarcie się uśmiechał.

Jedno jest pewne — powiedział stanowczo Cadfael. — Jeśli jej

dotąd nie znaleźliście, to nie możecie wiedzieć, gdzie jest, najwyżej możecie tylko przypuszczać, a to jest wielka różnica.

— Jest tak blisko, że z łatwością ją znajdziemy — oświadczył sierżant wyraźnie rad ze swej przewagi. — Ta mała buteleczka brata wpadła do rzeki Severn popłynęła z jej prądem i może nigdy nie zostanie znaleziona, ale my wiemy, że została tam wrzucona, i wiemy, kto ją wrzucił. Doprawdy nie próżnowaliśmy, od kiedy wczoraj wyszliśmy stąd, i dokonaliśmy bardzo wiele, nie tylko ścigaliśmy tego młodego lisa, którego ślad na pewien czas zgubiliśmy. Zostali przesłuchani wszyscy ludzie, którzy znajdowali się na moście i Podzamczu w porze obiadowej i widzieli służącego Bonela, biegnącego za chłopcem. Udało nam się znaleźć woźnicę, który właśnie wtedy przejeżdżał przez most. Widząc pogoń, zatrzymał wóz, gdyż myślał, że ktoś goni złodzieja, ale kiedy chłopiec przebiegał koło niego, zobaczył, że ścigający dał za wygraną tuż przed mostem, gdyż nie miał szansy dogonić uciekającego, wzruszył ramionami i zawrócił. Kiedy woźnica z kolei spojrzął w kierunku tego chłopaka, zobaczył, że on zwalnia biegu i przez kamienną balustradę mostu rzuca do wody jakiś mały przedmiot. To był młody Gurney, nikt inny, który chciał się czegoś pozbyć, po tym jak zawartość tego czegoś wlał do jedzenia swego ojczyma, łyżeczkę lub dwie, i wybiegł z buteleczką w dłoni. I co na to powiesz, przyjacielu?

Istotnie, co? Zaskoczenie było duże, gdyż Edwin ani słowem nie wspomniał mu o tym incydencie, i przez chwilę Cadfael poważnie rozważał możliwość, czy nie został oszukany przez chytrego małego kłamczucha. Jednak nie znalazł żadnego śladu przebiegłości w tej młodej dumnej twarzy. Natychmiast więc odparował cios, nie zdradzając swego niepokoju.

Powiedziałeś: „jakaś mała rzecz”, to nie musiała być buteleczka. Czy zapytaliście, sierżancie, tego woźnicę, czy to mogło być właśnie to?

Tak uczyniłem, ale on nie potwierdził tego ani nie zaprzeczył. Mówił tylko, że było na tyle małe, iż dało się ukryć w dłoni, i błysnęło, kiedy leciało w powietrzu. Nie określił kształtu ani przeznaczenia tego czegoś.

Mieliście, sierżancie, rzetelnego świadka. A teraz, powiedzcie mi,

proszę, dwie rzeczy z tego zeznania. Dokładnie w którym miejscu na moście stał chłopiec, kiedy rzucił ten przedmiot? I czy służący również widział, że ten przedmiot został wyrzucony?

Woźnica powiada, że ten, który gonił za uciekającym, zatrzymał się i odwrócił do niego plecami, a wtedy on sam też się odwrócił i zobaczył, co chłopak robi. Służący nie mógł tego widzieć. A jeśli chodzi o to, gdzie chłopak był w tym momencie, to powiada, że prawie w połowie zwodzonego mostu.

Tak więc Edwin wyrzucił coś, cokolwiek to było, gdy tylko upewnił się, że znajduje się nad wodą; z dala od brzegu, na zewnętrznej części mostu, którą można było podnosić. Jednak mógł źle to sobie wyliczyć; poza tym bardzo się spieszył, a krzewy i łagodne zbocze pod podporami dość daleko sięgały poza pierwszy łuk. Istniała więc możliwość, że to, co zostało wyrzucone, uda się odnaleźć, jeśli upadło z dala od prądu. Wydaje się także, że Aelfric nic nie ukrył, ponieważ nie był tego świadkiem.

— Zgodnie z waszą relacją, sierzancie — powiedział Cadfael — chłopiec właśnie przebiegał koło jadącego wozu, którego woźnica patrzył na niego; bez wątplenia też o tej godzinie w zasięgu wzroku chłopca było kilka osób, a on nie ukrywał wcale, że pozbywa się czegoś, cokolwiek to było. Moim zdaniem zrobił to całkiem jawnie. Doprawdy dziwnie się zachował jak na mordercę, który chce usunąć dowód winy. I co wy na to, sierzancie?

Sierzant poprawił pas i roześmiał się głośno.

— Brat się zachowuje jak najlepszy adwokat diabła, jakiego kiedykolwiek słyszałem. Ale przerażony chłopak po dokonaniu desperackiego czynu przestał myśleć. A jeśli to nie była ta właśnie buteleczka, którą wrzucił do rzeki, to niech mi brat powie, coto było?

I wyszedł we wczesny chłód wieczorny, zostawiając Cadfaela pogrążonego w rozmyślanii nad tym samym pytaniem.

Brat Marek, który wcisnąwszy się w ką, cały czas starał się być niewidzialny, ale oczy i uszy miał otwarte na każde słowo, na każdy gest, milczał z szacunkiem, dopóki Cadfael wreszcie się nie poruszył. Wtedy uderzył się zaciśniętymi pięściami w kolana i powiedział, starannie unikając pytań:

— Do niesporów mamy jeszcze mniej więcej godzinę światła dziennego. Jak brat myśli, może warto pójść pod most i poszukać tam?

Brat Cadfael prawie zapomniał o Marku i zdumiony odwrócił się, patrząc na niego z uznaniem.

— Ach, to ty. No cóż, twoje oczy są młodsze od moich. We dwóch możemy przynajmniej sprawdzić cały dostępny kawałek brzegu. Tak, chodźmy, tak czy siak spróbujemy.

Młody braciszek ruszył energicznie za Cadfaelem przez dziedziniec; minęli strażnicę przy bramie i szli dalej gościńcem w stronę mostu i Shrewsbury. Po ich lewej stronie staw lśnił ołowianym blaskiem, a dom za wodną taflą był zamknięty. Brat Marek spojrzał nań ciekawie, kiedy przechodzili. Nigdy dotąd nie widział pani Bonel, nie słyszał o dawnych więzach, jakie łączyły ją z Cadfaelem, ale wiedział, kiedy jego mentor i przyjaciel był czymś lub kimś mocno przejęty; wtedy jego własna lojalność i energia, zaraz po wypełnieniu obowiązków zakonnych, należały do Cadfaela. Rozmyślał nad tym, co usłyszał w chacie, i próbował wyciągnąć jakieś konkretne wnioski. Kiedy skręcili w prawo i szli ukrytą ścieżką, która prowadziła nad brzeg rzeki i w stronę głównych ogrodów opactwa, graniczących z żyznymi łąkami nad rzeką Severn, powiedział zamyślony:

O ile dobrze zrozumiałem, proszę brata, szukamy czegoś białego, co odbija światło, jednak byłoby lepiej, żeby to nie była buteleczka?

Tak można to ująć — odparł z westchnieniem Cadfael. — Ale cokolwiek to jest, musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby to znaleźć. Oczywiście, wolałbym znaleźć coś całkiem niewinnego.

Tuż pod łukami mostu, gdzie nie warto było uprawiać ziemi, na zboczu schodzącym aż do lustra wody rosły gęste krzewy i ostra trawa. Starannie zaczęli przeczesywać kępy zwartej darni, gdzie jeszcze były resztki lodu, ale wkrótce zaczęło się ściemniać i trzeba było wracać na nieszpory; nie znaleźli jednak nic małego, względnie ciężkiego, co mogło być owym tajemniczym przedmiotem, który Edwin wyrzucił w czasie swej ucieczki.

Cadfael, który nie miał zamiaru wziąć udziału we wspólnym czytaniu w kapitularku, wymknął się zaraz po wieczerzy. Zabrał ze sobą bochenek chleba, spory kawałek sera oraz flaszkę słabego piwa dla swego zbiega i niepostrzeżenie ruszył w kierunku stodoły opactwa

znajdującej się na końskim targu. Wieczorne niebo było czyste, lecz ciemne, gdyż księżyc jeszcze nie wzeszedł. Rankiem ziemia będzie posrebrzona przymrozkiem, a brzeg rzeki Severn ozdobi nowa wypustka lodu.

Gdy na szczycie schodów w umówiony sposób zastukał do drzwi i odpowiedziała mu cisza, zadowolony był, że Edwin jest ostrożny. Otworzył drzwi i zamknął je za sobą bezszelestnie. W ciemności uderzyła go ciepła, wonna, słaba fala zapachu siana i równie słaby chrzęst zdradził, z której strony chłopiec wyszedł mu na spotkanie ze swego gniazda. Zrobił krok w tym kierunku.

Nie bój się, to ja, Cadfael.

Wiedziałem, że brat przyjdzie — powiedział cicho niewidoczny Edwin.

Bardzo ci się dłużył czas?

Większość dnia przespałem.

Bardzo dobrze zrobiłeś. Gdzie jesteś...? — Jednocześnie ruszyli sobie naprzeciw, Cadfael dotknął rękawa chłopca i natrafił na wyciągniętą dłoń. — Teraz usiądźmy i omówmy wszystko jak najszybciej, bo jest mało czasu. A tu jest jedzenie i picie dla ciebie.

Niewidoczne ręce ochoczo chwyciły zapasy. Po omacku ramię w ramię zaczęli szukać wygodnego miejsca.

— Na razie nie — odparł Cadfael, siadając. — Ale muszę zadać ci pytanie, młodzieńcze. Dlaczego nie powiedziałeś mi całej prawdy?

Edwin usiadł gwałtownie obok niego, akurat kiedy wgryzł się w skórkę chleba.

Ależ tak nie było! Powiedziałem całą prawdę. Czemu miałbym ukrywać coś przed bratem, jeśli przyszedłem prosić o pomoc?

Rzeczywiście, czemu? Jednak ludzie szeryfa rozmawiali z pewnym woźnicą, który wyjeżdżał ze Shrewsbury przez most, kiedyś ty uciekał z domu swojej matki, i ten zeznał, że widział, jak przez balustradę rzuciłeś coś do rzeki. Czy to prawda?

Bez chwili wahania Edwin odpowiedział: — Tak! — A w głosie jego brzmiała dziwna mieszanina zdumienia, zakłopotania i lęku. Cadfael miał nawet wrażenie, że aż się zaczerwienił w ciemności, najwyraźniej nie czuł się jednak winny, gdyż nie wspomniał o tym zdarzeniu, jakby to była jego czysto prywatna, niemądra, przypadkowo ujawniona sprawa.

Czemu nie powiedziałaś mi tego wczoraj? Może gdybym o tym wiedział, mógłbym ci lepiej pomóc.

Nie wiem dlaczego. — Był teraz nie tylko urażony w swej godności, ale i zaniepokojony. — To nie miało nic wspólnego z tym, co się wydarzyło... i chciałem o tym zapomnieć. Ale teraz wszystko bratu opowiem, jeśli to ma znaczenie. Nie zrobiłem nic złego.

Ma duże znaczenie, choć nie mogłeś o tym wiedzieć, kiedy to coś wyrzucałeś. — Lepiej mu teraz wszystko powiedzieć, żeby zdawał sobie sprawę, iż nie wątpię w jego szczerłość, pomyślał Cadfael. — To, co wyrzuciłeś przez balustradę mostu, mój chłopcze, zdaniem sierżanta, jest buteleczką po truciznie, którą opróżniłeś, nim wybiegłeś z domu swojego ojczyma i którą potem wyrzuciłeś do rzeki. Dlatego opowiesz mi, jak było w rzeczywistości, a ja postaram się przekonać przedstawicieli prawa, że idą złym tropem w tej sprawie i w pozostałych zresztą też.

Chłopiec siedział bardzo spokojnie, wcale nie zaskoczony tym jeszcze jednym poważnym ciosem; nadal trzymał się dzielnie. Był niezwykle bystry i w lot pojął, jakie to może mieć skutki dla niego samego i brata Cadfaela. Powoli spytał:

Czy brata pierwszego muszę przekonać?

Nie, nie musisz. Co prawda przez chwilę byłem wstrząśnięty, lecz niedługo to trwało. A teraz opowiedz mi wszystko!

Skąd mogłem wiedzieć, co się wydarzy! — Chłopiec westchnął głęboko, napięcie zniknęło i oparł się z ufnością o ramię Cadfaela. — Nikt o tym nie wiedział, Meurigowi też nie powiedziałem ani słowa, nawet własnej matce tego nie pokazałem... Zresztą nie miałem sposobności. Jak brat wie, uczę się rzeźbić w drewnie, a także trochę w szlachetnych metalach. i chciałem dowieść, że jestem w tym dobry. Dlatego zrobiłem prezent dla mego ojczyma. Nie dlatego, że go lubiłem — dodał spiesznie z wielką szczerością — bo go nie lubiłem! Ale moja matka okropnie się martwiła naszą kłótnią, a to sprawiało, że Bonel nawet na niej wyładowywał swój zły humor, co się dawniej nie zdarzało, ponieważ dobrze ją traktował, wiem o tym. Więc, żeby zawrzeć pokój, zrobiłem dla niego prezent... a przy tym chciałem mu także pokazać, że będzie ze mnie dobry rzemieślnik i że potrafię dać sobie radę bez jego pomocy. Miał pewną relikwię, do której był bardzo przywiązany. Dawno temu kupił ją w Walsingham. kiedy był tam na

pielgrzymce. To podobno kawałek szaty Matki Boskiej, choć ja w to nie wierzę. On jednak wierzył. Kawałeczek niebieskiego materiału ze złotą nitką na rąbku, długości mego małego palca. Wiem, że zapłacił za to dużo pieniędzy. Pomyślałem więc sobie, że zrobię mu mały relikwiarz odpowiedniego rozmiaru, niewielkie pudełeczko, taką skrzyneczkę z zawiasem. Zrobiłem je z drewna gruszkowego, dobrze dopasowałem ścianki i starannie całość wypolerowałem; na wieczku umieściłem mały obrazek Matki Boskiej z masy perłowej i srebra, a płaszcz był z lapis-lazuli. Moim zdaniem całkiem niezłe mi się to udało.

Nuta żalu w jego głosie wzruszyła Cadfaela; chłopiec najwyraźniej kochał swoje dzieło, które zniszczył, a teraz nad tym bolał

Wczoraj chciałeś mu go podarować? — spytał cicho.

Tak. — Stwierdził krótko.

Cadfael przypomniał sobie, jak wedle opisu Richildis Edwin został przyjęty, kiedy odważnie pojawił się przy ich stole z sekretnym darem ukrytym gdzieś w kieszeni.

— A ty trzymałeś to pudełeczko w dłoni, kiedy on rozwścieczony wypędził cię z domu. Rozumiem teraz, jak to się stało.

Chłopiec, drżąc cały ze złości na wspomnienie tej sceny, wybuchnął:

On powiedział, że na kolanach mam błagać go o ten majątek...

Drażnił się ze mną, powiedział, że jeśli uklęknę przed nim... czyż mogłem wtedy dać mu prezent? Uważałby to za dowód, że się upokorzyłem... Nie mogłem znieść tego! To miał być podarek, ja o nic nie chciałem prosić.

Na twoim miejscu, chłopcze, postąpiłbym tak samo. Trzymałbym to pudełko w ręku i uciekł stamtąd bez słowa.

Ale brat pewno nie wyrzuciłby go do rzeki — westchnął z żalem Edwin. — Dlaczego to zrobiłem...? Nie wiem... Może dlatego, że to miało być dla niego i że trzymałem to w ręku, i Aelfric biegł za mną, i wołał, a ja nie mogłem tam wrócić... Ta skrzyneczka nie była Bonela i nie była już moja, toteż wyrzuciłem ją, żeby się jej pozbyć.

A więc dlatego ani Richildis, ani nikt inny nie wspomniał o pokojowym darze Edwina. Pokój albo wojna, o to chodziło? Miało to być potwierdzeniem, że Edwin mu przebacza, ale chce też zachować niezależność; ani jedno, ani drugie nie było miłe dla starego autokraty. Jednak intencja chłopca była szlachetna, miała duże znaczenie, przecież

nie skończył jeszcze piętnastu lat. Cóż, kiedy tylko twórca mógł cieszyć wzrok swoim dziełem... Jak bardzo Richildis by się z tego radowała! Z jakim zachwytem oglądałaby precyzyjne spojenia srebra, masy perłowej i lapis-lazuli, które tylko raz błysnęły w słońcu, nim spadły w nurt rzeki.

Powiedz, czy pudełeczko było dobrze dopasowane i zamknięte, kiedy wyrzucałeś je do rzeki?

Tak. — Zrobiło się jaśniej na strychu; Cadfael widział, że Edwin jest wyraźnie przerażony, że nie rozumie pytania, ale też dumny jest ze swej roboty. — Ono nagle stało się takie ważne, szkoda, że je zrobiłem, wszystko tym pogorszyłem. Ale skąd miałem wiedzieć? Nikt mnie wtedy jeszcze nie ścigał, nie byłem jeszcze mordercą. Nie miałem pojęcia, że uczyniłem coś złego.

Małe drewniane pudełeczko, dobrze zamknięte będzie swobodnie płynęło tam, gdzie je zanieśie rzeka, a ludzie, którzy nad nią mieszkają i z niej żyją, łowią ryby i kłusują, znają każdy zakamarek rzeki stąd aż do Atcham, gdzie prąd wyrzuca na brzeg to, co niesie. Nie martw się, chłopcze, może znów zobaczysz swoje dzieło, jeśli zdołam nakłonić sierżanta, żeby mnie wysłuchał i kazał wodniakom obserwować brzegi Severnu. Podam im opis tego, co zostało wyrzucone... och, nie martw się, nie zdradzę, skąd to wiem... Wkrótce gdzieś w dole rzeki relikwiarz pewnie zostanie znaleziony i ten fakt przemówi na twoją korzyść, a nawet może skłoni ich, żeby szukali buteleczki gdzie indziej, tam, gdzie Edwin Gurney nigdy nie był i dlatego nie mógł jej tam porzucić. Spędzisz tu jeszcze dzień, dwa w samotności, jeśli wytrzymasz, a w razie potrzeby umieszczę cię w jakimś bardziej odległym miejscu, gdzie będziesz mógł przeczekać ten niebezpieczny czas w lepszych warunkach.

Jakoś to wytrzymam — powiedział stanowczo Edwin. I dodał ze smutkiem: — Wolałbym jednak, żeby to nie trwało długo!

Bracia właśnie wychodzili po komplecie, kiedy Cadfaelowi przypomniało się, że jest jeszcze jedno ważne pytanie, które on oraz inni zapomnieli zadać, a jedyną osobą, która mogła na nie odpowiedzieć, była Richildis. Jeszcze miał dość czasu, żeby to zrobić

przed zapadnięciem zmroku, gdyby zrezygnował z miłego pobytu w cieplej izbie. No, może niezbyt stosowna to pora na odwiedzinę, ale wszystko związane z tą sprawą było pilne, a i Richildis zaśnie nieco spokojniej, jeśli dowie się, że Edwin jest na razie bezpieczny i ma co jeść. Cadfael naciągnął

kaptur na głowę i energicznie ruszył w stronę bramy.

Wskutek fatalnego zbiegu okoliczności w tym samym czasie brat Hieronim szedł akurat przez wielki dziedziniec do domku furtiana, pewno żeby mu wydać polecenie na dzień następny, a może udzielić nagany za jakieś dzisiejsze niedopatrzenie. Brat Hieronim czuł się kimś bardzo ważnym, ponieważ był skrybą przyszłego opata, sądził więc, że właśnie on ma prawo reprezentować swego zwierzchnika, brata Roberta, teraz kiedy ten czcigodny mąż w pełni korzystał z przywilejów opata, w tym również z jego prawa do odosobnienia. O ile brat Ryszard unikał, jak mógł, sprawowania władzy, kiedy było to możliwe, brat Hieronim wprost zachłannie przyjmował na siebie wszelkie obowiązki. Niejeden nowicjusz i uczeń doświadczył na sobie skutków jego nadgorliwości.

Czyżby brat miał do spełnienia jakąś pilną misję miłosierdzia o tak późnej godzinie? — spytał Hieronim z podstępny uśmiechem. — Czy nie można zaczekać z tym do rana?

Ryzykując dalsze kłopoty, tak — uciał Cadfael i bez zwłoki ruszył w drogę, świadom, że jest bacznie obserwowany. W ramach rozsądku miał prawo przychodzić i wychodzić wedle swej woli, nawet nie brać udziału w nabożeństwach, jeśli jego pomoc była konieczna gdzie indziej, i z pewnością nie będzie się tłumaczyć ani kłamać bratu Hieronimowi, chociaż inni, mniej odważni woleliby tak postąpić, byle tylko nie narazić się bratu Robertowi. Było to dość niefortunne spotkanie, przecież nie miał nic do ukrycia, gdyby się jednak cofnął, właśnie to świadczyłoby przeciw niemu.

W kuchni domu nad stawem paliło się małe światełko, widział je przez szparę w okiennicy, kiedy się zbliżał. Tak, było coś, czego nie wziął pod uwagę: okno kuchenne wychodziło na staw, do tego znajdowało się bliżej drogi, a wczoraj, żeby wypuścić dym, było szeroko otwarte, ponieważ stał pod nim żelazny kosz z żarem. Jakże łatwo byłoby tu wyrzucić małą buteleczkę po jej opróżnieniu, żeby na zawsze została w błotnistym dnie stawu. Znakomite wyjście. Żadnego

zapachu na ubraniu, żadnej plamy ani obawy przyłapania z dowodem zbrodni.

Jutro przeszukam cały ten pas ziemi pod oknem aż do wody, pomyślał uradowany Cadfael. Kto wie, może ta buteleczka upadła niedaleko i leży sobie gdzieś w trawie nad brzegiem, a ja ją znajdę? Ależ to byłoby osiągnięcie! Nawet gdyby nie można było dowieść, kto ją tam rzucił, wiele mogłaby mi powiedzieć.

Zastukał cicho do drzwi, oczekując, że to Aldith się odezwie albo Aelfric, ale usłyszał głos samej Richildis, która zawołała niezbyt głośno:

Kto tam?

To ja, Cadfael! Otwórz na chwilę.

Słyszając jego imię, natychmiast otworzyła drzwi, chwyciła go za rękę i wciągnęła do kuchni.

Sza, Aldith śpi w moim łóżu, a Aelfric w środkowej izbie. Nie mogłam zasnąć i tak sobie siedziałam, rozmyślając o moim chłopcu. Och, Cadfaelu, czy nie możesz mnie jakoś pocieszyć? Czy nadal będziesz otaczać go swą przyjaźnią?

Czuje się dobrze i jest na wolności — powiedział Cadfael, siadając koło niej na ławie pod ścianą. — Ale pamiętaj, nic nie wiesz, gdyby ktokolwiek pytał. Zgodnie z prawdą możesz powiedzieć, że tutaj go nie było i nie masz pojęcia, gdzie teraz przebywa. Tak będzie najlepiej!

Ale ty wiesz! — W blasku małej świeczki wygładziły się jej zmarszczki i ożywiły oczy, wyglądała bardzo ładnie. — I to jest wszystko, co masz dla mnie? — spytała z westchnieniem.

Nie wszystko. Mogę ci dać uroczyste słowo honoru, że twój syn nigdy nie zrobił najmniejszej krzywdy swemu ojczymowi. Jestem tego pewien. Prawda wyjdzie na jaw. Musisz w to uwierzyć.

O tak, wierzę w to, ale pomóż odkryć ją. Och, Cadfaelu. gdyby nie ty, wpadłabym w rozpacz. I ciągle jakieś przykrości, szykany, a ja myślę tylko o Edwinie. Gerwazy dopiero jutro spocznie w grobie! Teraz, kiedy zmarł, nie mam prawa do stajni i obroku dla konia, a tutaj, kiedy tak wielu podróżnych przybywa przed świętami, potrzebne jest każde miejsce, muszę więc g" zabrać gdzie indziej albo sprzedać... Jednak Edwinowi przydałby się, gdyby... — Potrząsnęła głową i nie dokończyła zdania.

— Powiedzieli mi, że znajdą dla konia miejsce w jakiejś stajni,

dopóki nie postanowią, co z nim zrobić. Może Martin mógłby się nim zająć...

Choć przez kilka najbliższych dni powinni byli oszczędzić jej takich trosk, pomyślał z oburzeniem Cadfael. Richildis podeszła nieco bliżej, była tuż obok niego. Ich przyciszone głosy w słabo oświetlonej izbie, ciepło płynące od żelaznego kosza, w którym teraz znajdował się tylko gorący popiół, to wszystko przypominało mu dawne lata i ich ukradkowe spotkania w dobudówce jej rodzinnego domu. Lepiej nie wspominać, nie wgłębiać się w przeszłość!

Richildis, przyszedłem tu, żeby o coś cię spytać. Czy twój mąż sporządził i opatrzył pieczęcią dokument, w którym czynił Edwina swoim spadkobiercą?

Tak, zrobił to. — Wyraźnie była zdziwiona tym pytaniem.

— Ten dokument był całkowicie w zgodzie z prawem, ale oczywiście porozumienie z opactwem nosi późniejszą datę i unieważnia teraz tę umowę. A może... — Uświadomiła sobie nagle, że ten drugi dokument także stał się nieważny. — To oczywiste, że teraz utracił swoją moc. Tak więc przeniesienie własności na Edwina obowiązuje. Musi tak być, nasz prawnik spisał tę darowiznę zgodnie z przepisami.

— A więc teraz Edwin tylko dlatego nie mógłby objąć swego majątku, że grozi mu aresztowanie za morderstwo, którego, jak wiemy, nie popełnił. Ale powiedz mi, Richildis, gdybyś wiedziała, zakładając, że stało się najgorsze, co nie może się stać i nie stanie się, i zostałby skazany za zabójstwo twojego męża, co wtedy byłoby z Maililie? Opactwo nie może rościć sobie do niego praw, Edwin w takiej sytuacji nie mógłby odziedziczyć go.

A więc kto zostałby spadkobiercą?

Dzielnie starała się rozważyć możliwość najgorszego, zastanowić się, jaką prawo wydałoby decyzję.

— Przypuszczam, że dostałabym wdowie dożywocie, jako żona po zmarłym. A majątek zostałby oddany suzerenowi, w tym przypadku earlowi Chester, ponieważ nie ma innego prawowitego dziedzica. On z kolei mógłby przekazać Mallilie komu by zechciał, licząc, rzecz jasna, na największy profit. Mógłby go otrzymać każdy mężczyzna z tych stron, którego by wybrał. Zarówno szeryf Prestcote, jak i któryś z jego podwładnych.

Taka była prawda, dlatego nikt, z wyjątkiem Edwina, nie miałby żadnej korzyści materialnej z powodu śmierci Bonela. Jakiś wróg pożerany wielką nienawiścią mógłby uważać śmierć za wystarczającą karę, jednak byłyby to przesadna zemsta na człowieku całkiem zwykłym, mimo że, zdaniem Edwina, trudnym do zniesienia.

Czy jesteś tego pewna? Nie miał żadnego siostrzeńca, bratanka albo jakiegoś kuzyna w tym hrabstwie?

Nie, nikogo; gdyby tak było, nie obiecałby mi Mallilie dla Edwina. Przywiązywał wielką wagę do rodzinnych związków.

Cadfaelowi nagle przyszło na myśl, że być może ktoś pragnący zdobyć ten cenny majątek postanowił za jednym zamachem usunąć i Bonela, i Edwina, powodując aresztowanie chłopca pod zarzutem zamordowania ojczyma. Ale był to oczywisty nonsens. Nikt nie mógł mieć pewności, że zdobędzie to, do czego rodzina Bonelów utraciła prawo.

Cadfael, żeby dodać Richildis otuchy i pocieszyć ją, położył swoją sękatą dłoń na jej szczupłej ręce i z nagłą czułością zauważył w słabym świetle zgrubiałe kostki napięstka i zarys fioletowych żył. Wzruszyło go to bardziej niż kiedyś jej dziewczęca gładkość. Mimo upływu lat jej twarz nadal była piękna, choć się postarzała, choć znaczyły ją zmarszczki, świadczące o wesołym usposobieniu i długich szczęśliwych latach, których pamięci nie mógł zniszczyć ten ostatni okres ciężkich przeżyć, bólu i rozgoryczenia. To swoją młodość oplakiwał, a nie utratę Richildis. Miała szczęście, że poślubiła właściwego człowieka. Jeśli tylko jej ukochany syn uniknie grożącego mu obecnie niebezpieczeństwa, mimo pomyłki, jaką było małżeństwo z Bonelem, znów będzie mogła czuć się bezpieczna. To, i tylko to, jest moim zadaniem, pomyślał z wdzięcznością Cadfael.

Ciepła ręka zamknęła jego dłoń w mocnym uścisku. Richildis zwróciła ku niemu swą nadal czarującą twarz, spojrzała nań tklawie; oczy miała przejrzyste, a delikatnie zarysowane usta lekko rozchylone. Po chwili powiedziała cicho:

Och, Cadfaelu, czy tak bardzo się tym przejąłeś? Czy musiałeś wybrać klasztor? Często myślałam o tobie, ale nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo cię skrzywdziłam. Czyś wybaczył mi, że nie dotrzymałam złożonej ci obietnicy?

Cała wina leży po mojej stronie — odparł nieco stropiony Cadfael.

— Zawsze życzyłem ci dobrze, tak jak i teraz. — I zaczął wstawać z ławki, lecz ona, nadal trzymając jego rękę, wstała wraz z nim. Słodka kobieta, lecz niebezpieczna jak cały niewieści ród.

Czy pamiętasz — zaczęła mówić prawie szeptem, czego wymagała późna godzina, lecz z nutą przesadnej tajemniczości — ten wieczór, kiedy złożyliśmy sobie przysięgę wierności? Też był grudzień, tak jak teraz. Myślałam o tym, kiedy dowiedziałam się, że jesteś benedyktyinem! Któż by przypuszczał, że tak się to skończy! Ale tak długo ciebie nie było!

Czas najwyższy, żeby odejść. Cadfael delikatnie uwolnił swoją dłoń, życzył jej dobrej nocy i bezszelestnie wyszedł, nim sprawy przybrały niedobry dla niego obrót. Niech sobie uważa, że wstąpił do klasztoru, ponieważ ją utracił, gdyż wierząc w to, przetrwa trudny okres, dopóki jej świat znów nie stanie się bezpieczny. Jeśli chodzi o niego, niczego nie żałował. Habit przedkładał nad wszystko.

Wyszedł i ruszył przez mroźną, ostrą noc do miejsca, które sobie wybrał i które teraz i zawsze będzie jego domem. Kiedy się zbliżał do strażnicy, spod okapu domu Richildis oderwał się chudy cień i ruszył w ślad za nim, trzymając się dobrze z boku, na wypadek, gdyby Cadfael się oglądał. Ale on nie obejrzał się ani razu. Właśnie odebrał lekcję, czym grozi dwuznaczna sytuacja, i w żadnym razie nie zamierzał tego powtórzyć.

Rozdział 6

Nazajutrz rano kapituła zapowiadała się tak samo nudno jak zwykle, kiedy brat Andrzej skończył swoje czytanie, a sprawy domu zostały załatwione. Jednak drzemiący za kolumną Cadfael na tyle był czujny, że nastawił uszu, kiedy brat Mateusz, szafarz, oświadczył, że dom gościnny jest wypełniony całkowicie i że potrzebne są miejsca w stajniach, dlatego koniecznie trzeba przenieść część koni i mułów należących do opactwa do innego pomieszczenia, by podróżujący mogli trzymać swe konie wewnątrz murów. Spóźnieni kupcy, korzystając z łagodnej jesieni po letnim oblężeniu i zamęcie, ruszyli w drogę, kierując się do domów na święta, a możni panowie, mający majątki na wsi. wracali do swych siedzib, by spędzić Boże Narodzenie z dala od obowiązków wojennych i napięć politycznych. Było oczywiste, że stajnie będą przepełnione, a na wielkim dziedzińcu panować będzie coraz większy ruch z powodu przyjazdów i wyjazdów.

— Jest również sprawa konia należącego do chowanego dzisiaj pana Gerwazego Bonela — powiedział brat Mateusz. — Nasz obowiązek, żeby zapewnić koniowi stajnię i obrok, ustał. choć wiem, że sprawa jest w zawieszeniu, dopóki kwestia śmierci tego człowieka i rozporządzenia jego majątkiem nie zostaną;) wyjaśnione. Jednak wdowa

po zmarłym z pewnością nie ma prawa do obroku i stajni dla tego konia. Jej zamężna córka ma dom w mieście i bez wątpienia będzie w stanie zająć się tym zwierzęciem, choć oczywiście my musimy je trzymać, dopóki pani Bonel tego nie załatwi, ale koń nie powinien zajmować miejsca w naszych głównych stajniach. Czy mam zgodę kapituły na przeniesienie go wraz z roboczymi końmi do naszej stajni na końskim targu?

Z pewnością nie miał na to zgody Cadfaela, który siedział zeszywniały z przerażenia, przeklinając raczej swój niefortunny wybór kryjówki niż praktyczne decyzje Mateusza. Ale jakim cudem mógł to przewidzieć? Bardzo rzadko trzeba było zmieniać Stodołę na stajnię, choć od czasu do czasu zdarzało się to podczas końskich targów i jarmarku Świętego Piotra. Jak mogłby dostać się teraz do Edwina, żeby w porę zabrać go stamtąd i uniknąć groźby odkrycia zbiega? W ciągu dnia miał obowiązki zakonne, które ograniczały jego swobodę poruszania się.

Dzięki temu zapewni się odpowiednią liczbę miejsc dla koni — zgodził się przeor Robert. — Dobrze byłoby od razu zrobić te przenosiny.

Wydam odpowiednie polecenia chłopcom stajennym. A czy ojciec wyraża także zgodę, żeby koń wdowy Bonel został umieszczony tam wraz z innymi końmi?

— Oczywiście — odparł Robert, który teraz, gdy wydawało się wątpliwe, by mógł zdobyć majątek Mallilie, nie był już tak bardzo zainteresowany losami rodziny Bonelów, choć jeszcze nie zamierzał poddać się bez walki. Nieoczekiwana i tajemnicza śmierć oraz jej konsekwencje były dla niego jak cierń w sercu i chętnie pozbyłby się nie tylko konia, ale wszystkich domowników Bonela, gdyby tylko zdołał to uczynić z zachowaniem wszelkich pozorów. Nie chciał, by morderstwo było kojarzone z jego zakonnym zgromadzeniem, nie chciał, by ludzie szeryfa prowadzili dochodzenie wśród jego gości, by cień niesławy padł na klasztor. — Trzeba będzie rozpatrzyć prawne komplikacje związane z ważnością umowy i zaczekać do chwili, kiedy nowy właściciel potwierdzi ją i uzupełni. Ale oczywiście nic nie zdołamy uczynić do pogrzebu pana Bonela. Konia jednak można stąd zabrać. Wątpię, czy wdowa w ogóle będzie z niego korzystała, ale to nie jest nasze zmartwienie.

Już żałuje, pomyślał Cadfael, że pod wpływem pierwszego odruchu współczucia obiecał pochować Bonela w transepcie. Na szczęście, poczucie godności nie pozwoli mu wycofać się z tego. Chwała Bogu, Richildis będzie miała przynajmniej pewnego rodzaju pociechę z uroczystego pogrzebu, gdyż cokolwiek Robert czyni, zawsze musi być w wielkim stylu. Gerwazy leżał wystawiony na widok publiczny w kaplicy pogrzebowej opactwa i miał tak spoczywać aż do zapadnięcia zmroku. Z pewnością będzie to dla niej pociechą i uspokoi ją. Czuła się jakby winna wobec zmarłego, tego był pewien. Ilekroć była samotna, z pewnością zadawała sobie dręczące pytania: Gdybym tylko... gdybym nie zgodziła się na małżeństwo z nim... Gdybym zadała sobie więcej trudu, żeby jakoś lepiej ułożyły się stosunki między nim i Edwinem... gdybym tylko... żyłby do dziś i cieszył się dobrym zdrowiem!

Cadfael nie słuchał jałowych dyskusji, dotyczących ewentualnego zakupu ziemi na poszerzenie cmentarza, i pogrążył się w rozważaniu własnego, bardziej pilnego dylematu. Było całkiem możliwe, że uda mu się wymyślić jakąś sprawę do załatwienia na Podzamczu, podczas gdy chłopcy stajenni będą umieszczać konie w nowym miejscu, gdyż bracia świeccy nie zechcą kwestionować tego, co robi. Zapewne uda mu się wyprowadzić Edwina w benedyktyńskim habicie z jego kryjówki, tak samo jak go tam wprowadził, pod warunkiem że dokładnie wyliczy czas tego manewru. Ale kiedy wyjdą, co dalej? Z pewnością nie mogą się skierować do bramy miejskiej. W kilku domach przy trakcie prowadzącym do Św. Idziego miał życzliwych sobie ludzi, którymi się opiekował, kiedy byli chorzy: oni lub ich dzieci. Gdyby poprosił, może udzieliliby schronienia młodemu chłopcu, choć niezbyt mu się podobał pomysł, żeby ich w to mieszać. Był też na końcu bocznej drogi odchodzącej od traktu szpital dla trędowatych, gdzie młodzi braciszczowie nieraz odbywali część swego nowicjatu, pielęgnując nieszczęśników. Z pewnością uda mu się jakoś ukryć ściganego chłopca.

Nagle z niedowierzaniem usłyszał swoje własne imię, co gwałtownie wyrwało go z tych rozmyślań. Po drugiej stronie kapitularda podniósł się w swojej stalli, oczywiście jak zawsze znajdujący się bardzo blisko przeora Roberta, brat Hieronim i z fałszywie pokorną miną zaczął coś potoczyście opowiadać. Świdrujące oczka miał do połowy przymknięte i właśnie z wielką troską i

przejęciem wymówił imię Cadfaela!

— ..nie twierdzą, ojczy, że w zachowaniu tak bardzo cenionego brata było coś niewłaściwego, lecz proszę o pomoc i przewodnictwo ze względu na jego duszę, gdyż znajduje się on w wielkim niebezpieczeństwie. Dowiedziałem się, że wiele lat temu, nim poczuł swoje błogosławione powołanie, brat Cadfael darzył świeckim uczuciem kobietę, która teraz nazywa się pani Bonel i jest gościem tego domu. Z powodu śmierci jej męża nawiązał z nią kontakt, nie z własnej chęci, och, nie! Nie mówię o winie, gdyż został wezwany, żeby udzielić pomocy umierającemu człowiekowi. Proszę tylko, by ojciec rozważył, jak trudnej próbie może być poddana szczerza pobożność tego brata, kiedy znów nieoczekiwanie przypomniał sobie ów dawny, należący do życia świeckiego związek!

Sądząc z wysoko uniesionej głowy przeora Roberta i wyciągniętej szyi, co umożliwiło mu patrzenie z jeszcze większej wysokości na znajdującego się w niebezpieczeństwie brata, istotnie zastanawiał się on nad tym. Czynił to również zdumiony i oburzony Cadfael, który nagle wszystko pojął. Nie docenił odwagi brata Hieronima i jego jadowitości. Z lubością musiał przycisnąć do dużej dziurki od klucza drzwi Richildis swoje wielkie, grube ucho, skoro tyle się dowiedział.

— Czy twierdzisz, bracie — spytał Robert z niedowierzaniem — że brat Cadfael prowadził zakazaną rozmowę z tą kobietą? Przy jakiej okazji? My sami wiemy dobrze, że był przy śmiertelnym łożu pana Bonela i robił, co w jego mocy, by w obecności żony ratować tego nieszczęsnego człowieka. Nie możemy mu stawiać zarzutów z tego powodu, gdyż jego obo wiązkiem było pójść tam, gdzie go potrzebowano.

Brat Cadfael, do którego jeszcze nikt się nie zwrócił, siedział w ponurym milczeniu i słuchał tej wymiany zdań, gdyż najwyraźniej atak ten nastąpił równie nieoczekiwanie dla Roberta, jak dla niego samego.

— Och, nikt z nas nie może tego kwestionować — zgodził się Hieronim uniżenie. — Jego chrześcijańskim obowiązkiem było udzielić pomocy i uczynił to. Ale, jak mi wiadomo, nasz brat ponownie odwiedził wdowę i rozmawiał z nią wczoraj wieczorem. Bez wątplenia po to, by pocieszyć i pobłogosławić zrozpaczoną kobietę. Jednak ileż niebezpieczeństw grozić może podczas takiego spotkania! Chyba,

ojcze, nie muszę tego mówić. Boże uchwaj, bym w ogóle pomyślał, że mężczyzna kiedyś zaręczony, który utracił swą narzeczoną na rzecz innego, mógł popaść w zazdrość w późnym wieku, po rezygnacji ze świeckiego życia, kiedy ponownie spotkał dawny obiekt swych uczuć. Nie, nad tym nawet nie musimy się zastanawiać. Ale czyż nie byłoby lepiej, gdyby nasz ukochany brat całkowicie został odsunięty nawet od pokusy wspomnień? Mówię to jako ktoś, komu leży na sercu wyłącznie jego duchowe zdrowie.

Mówisz, pomyślał Cadfael, zagryzając zęby, jak ktoś, kto nareszcie zdobył broń przeciw człowiekowi, którego z niewielkim skutkiem nienawidził od lat. I wybac mi, Boże, ale gdybym mógł w tej chwili skrócić ci twój chudy kark, uczyniłbym to z największą radością.

Podniósł się i wysunął ze swego miejsca na uboczu, żeby wszyscy go widzieli.

— Jestem tu, ojcze przeorze, proszę mnie przesłuchać z moich czynów wedle swojej woli. Brat Hieronim nazbyt się troszczy o moje powołanie, któremu nic nie zagraża.

Przeor Robert zbyt długo zamyślony patrzył na Cadfaela ze swej wysokości, żeby mu się to podobało. Bez wątpienia odparłby wszelkie zarzuty złego zachowania wśród swej trzody i ze względu na własną pozycję bronił jej przed światem, ale równie chętnie powitałby każdą możliwość poskromienia niezależności człowieka, który zawsze budził w nim niepokój, jak gdyby w praktycznej tolerancyjnej samowystarczalności Cadfaela wyczuwał ukrytą nutę kpiny i rozbawienia. Nie był przy tym głupcem i musiał spostrzec, że zostało mu podsunięte zakamuflowane podejrzenie, iż Cadfael, widząc swą ukochaną poślubioną innemu, pod wpływem zazdrości własnymi rękami postanowił usunąć rywala z tego świata. Któż lepiej od niego znał właściwości ziół i roślin albo proporcje, dzięki którym dany lek mógł mieć działanie zbawienne lub fatalne? Boże broń, żeby ktoś mógł o czymś takim pomyśleć, mówił z udanym przejęciem Hieronim, niby zwalczając to podejrzenie, ale w rzeczywistości zręcznie je umacniając. Wątpliwe, by Robert poważnie potraktował taką myśl, ale nie potępiłby za to Hieronima, oddanego mu bez reszty duszą i ciałem. Nie można było przecież całkowicie wykluczyć takiej sytuacji. Cadfael zrobił olejek z tojadu i wiedział, jakie ma zastosowanie. Przygotowywał go całkiem jawnie i miał w swej pieczy; potem zaś spiesznie posłano po

niego, by ratował człowieka bliskiego śmierci, można więc było założyć, że podał mu truciznę, a potem udawał, że ją zwalcza.

Przecież obserwowałem Aelfrica, kiedy szedł przez podwórzec, pomyślał Cadfael, i mogłem go zatrzymać na słówko, unieść niby z ciekawości pokrywę, żeby powąchać kuszący zapach potrawy, o której wiedziałem, dla kogo jest przeznaczona, i dodać jeszcze jedną własnoręcznie zrobioną przyprawę? Chwila nieuwagi i sprawa załatwiona!

Czy to prawda, bracie — spytał spokojnie Robert — że brat w czasach młodości, nim złożył śluby, bliżej znał panią Bonel?

Istotnie tak było — odparł śmiało Cadfael — jeśli przez słowo „bliżej” rozumie ojciec, że znaliśmy się dobrze i łączyło nas uczucie. Nim wzięłem Krzyż, byliśmy zaręczeni, choć nikt o tym nie wiedział. Było to przeszło czterdzieści lat temu i od tamtej pory jej nie widziałem. Wyszła za mąż podczas mej nieobecności, a ja wkrótce po powrocie przywdziałem habit. — Im mniej słów, tym lepiej, pomyślał.

Dlaczego nigdy nie powiedziałaś o tym ani słowa, kiedy przybyli do naszego domu?

Nie wiedziałem, kim jest pani Bonel, dopóki jej nie zobaczyłem. To nazwisko nic mi nie mówiło, wiedziałem tylko o jej pierwszym małżeństwie. Zostałem wezwany do tego domu, jak ojciec wie, i poszedłem nieświadom, kogo tam spotkam.

Z tym się zgadzam — przyznał Robert — w zachowaniu brata nie zauważyłem tam nic niewłaściwego.

Ja nie twierdzę, proszę ojca przeora — powiedział spieszenie Hieronim — że brat Cadfael uczynił coś godnego potępienia... — I po cichu dodał: — ...jak dotąd! — Nie posunął się jednak aż tak daleko, żeby to powiedzieć głośno. — Boję się tylko, żeby nie wpadł w sidła pokusy. Diabeł może zdradziecko działać nawet za pomocą chrześcijańskiego uczucia.

Przeor Robert wpatrywał się z namysłem w Cadfaela i jeśli nie wyraził głośno swego potępienia, to świadczyły o nim jego uniesione brwi i rozszerzone nozdrza. Nikt z jego zakonu nie miał prawa zwracać uwagi na kobiety, chyba tylko z racji religijnych posług albo jakiejś pilnej sprawy.

Próbując ratować życie chorego człowieka, z pewnością postępowałaś słusznie, bracie Cadfaelu. Ale czy prawdą jest, że

odwiedziłeś tę kobietę wczoraj wieczorem? Z jakiego powodu? Jeśli potrzebowała duchowej pociechy, to mogła jej szukać u księdza z parafii. Dwa dni temu miałeś prawo i uzasadniony powód, żeby tam pójść, wczoraj wieczorem jednak z całą pewnością takiego powodu nie było.

Poszedłem tam — odparł Cadfael cierpliwie, gdyż zniecierpliwienie byłoby bezcelowe, a nic nie mogło bardziej dokuczyć bratu Hieronimowi niż traktowanie go z lekceważącą wyrozumiałością — żeby zadać pewne pytanie mające związek ze śmiercią jej męża, ze sprawą, którą zarówno ojciec przeor, jak i ja oraz wszyscy tu obecni chcielibyśmy wyjaśnić najszybciej, jak to jest możliwe, tak by spokój znów zapanował w naszym zakonnym domu.

To sprawa szeryfa i jego ludzi — rzekł szorstko Robert — a nie twoja, bracie. Jak mi wiadomo, nie ma wątpliwości, kto jest winowajcą, a schwytanie chłopaka, który popełnił tak odrażający czyn, to tylko kwestia czasu. Wcale mi się nie podoba twoja wymówka, bracie Cadfaelu.

Z należnym posłuszeństwem chylę głowę przed osądem ojca — powiedział Cadfael — ale nie mogę potępić własnego. Myślę, że istnieją pewne wątpliwości i że prawdę niełatwo będzie odkryć. I to nie była wymówka, że poszedłem do pani Bonel. Miałem poważny powód; to przecież zrobione przeze mnie lekarstwo, mające koić cierpienie i przynosić ulgę, spowodowało śmierć, i ani nasz dom, ani ja, brat należący do niego, nie będziemy mieć spokoju, dopóki prawda nie zostanie ujawniona.

Mówiąc to, wykazujesz brak zaufania do tych, którzy są przedstawicielami prawa i do których należy obrona sprawiedliwości, co nie jest twoim obowiązkiem. Uważam to za postawę arogancką i bolejącą nad nią. — Przeor chciał przez to powiedzieć, że pragnie trzymać opactwo benedyktyńskie św. Piotra i Pawła z dala od przykrej sprawy, jaka się wydarzyła w jego murach, i że znajdzie sposoby, by położyć kres wątpliwościom Cadfaela, tak szkodliwym dla jego celów. — Moim zdaniem — ciągnął — brat Hieronim ma rację i jest naszym obowiązkiem nie dopuścić, byś ty, bracie, z powodu własnej lekkomyślności naraził się na duchowe niebezpieczeństwo. Nie będziesz się więcej spotykał z panią Bonel. Dopóki nie zostaną zdecydowane jej przyszłe losy i nie opuści domu, w którym się obecnie

znajduje, ograniczysz się tylko do terenu klasztornego i całą swą energię poświęcisz przydzielonej ci pracy i modlitwie wyłącznie w naszych murach.

Nie było na to rady. Ślubów posłuszeństwa, dobrowolnie złożonych, nie można było odrzucić, kiedy stawały się niewygodne. Cadfael pochylił głowę... pochylił to raczej niewłaściwe słowo, nastawił ją tak, jak to czyni nieduży, lecz bardzo silny byk, kiedy, szykując się do walki, zniża swój zbrojny w rogi łeb.

Będę przestrzegał powyższych zaleceń — obiecał ponuro.

Ale ty, młodzieńcze — powiedział kwadrans później do brata Marka w swojej chacie, przy drzwiach szczelnie zamkniętych, żeby nie przeniknęły na zewnątrz opary frustracji i buntu. nie tyle jego własne, co Marka — nie musisz tego rodzaju zaleceń przestrzegać.

Tak też sobie pomyślałem — odparł brat Marek, nabierając otuchy. — Ale bałem się, że brat tego nie powie.

Nie wciągałbym cię w moje grzechy. Boże, zachowaj — westchnął Cadfael — gdyby to nie było pilne. I może nie powinienem... Może należy zostawić go własnemu losowi, żeby sam się bronił; jeśli jednak wszystko sprzysięgło się przeciw niemu...

Właściciel drobnego przedmiotu — powiedział w zamyśleniu siedzący na ławie brat Marek — który nie był flaszeczką i którego nie znaleźliśmy, z tego, co mi wiadomo, to prawie dziecko, Ewangelie zaś nakazują opiekować się dziećmi.

Cadfael spojrzał na niego badawczo i serdecznie. Ten chłopak był o jakieś cztery lata starszy niż tamten i od śmierci matki, kiedy miał trzy lata, nikt o niego nie dbał, najwyżej miał jedzenie i kąpiel do spania. Tamten drugi był kochany, rozpieszczany i podziwiany od urodzenia, dopóki nie nadeszły te ostatnie, pełne konfliktów miesiące i nie zagroziło mu straszne niebezpieczeństwo.

Ten bystry, dzielny chłopak, Marku, zawierzył mi. Wziąłem go pod swoją opiekę i kieruję nim. Jednak gdyby musiał zdać się na samego siebie, sądzę, że dałby sobie radę.

Niech brat mi tylko powie, gdzie mam iść i co mam zrobić powiedział Marek, któremu już całkiem wrócił dobry humor

a uczynię to.

Ale dopiero po sumie — odparł Cadfael. — Nie możesz jej opuścić ani w żaden inny sposób lekceważyć swoich obowiązków. A gdyby były kłopoty, musisz zachować zimną krew i nic ryzykować bez potrzeby, słyszysz?

Słyszę — odparł brat Marek i uśmiechnął się.

Około dziesiątej tego ranka, w porze kiedy zaczęła się suma. Edwin miał już serdecznie dosyć swego posłuszeństwa i uległości. Nigdy jeszcze nie był tak długo bierny, od kiedy po raz pierwszy buntowniczo wy dostał się ze swojej kołyski i poraczował na podwórze, gdzie spod kół wozu zabrała go rozgniewana Richildis. Jednak winien był bratu Cadfaelowi cierpliwe czekanie, tak jak to obiecał, i tylko raz w najczarniejszym środku nocy zaryzykował wyjście na dwór, żeby rozprostować nogi i spenetrować rozległe końskie targowisko, cichy pusty pas Podzamcza i szeroki trakt, który prowadził do Londynu. Wrócił na swój strych, nim na wschodzie zaczęło dzień, usiadł na jakiejś porzuconej beczie, kopał w nią piętami i jadł Cadfaelowe jabłka, w głębi serca pragnąc, żeby coś się zaczęło dziać. Przez szpary wentylacyjne wpadało dość światła, tak że było całkiem jasno.

Jeżeli życzenia są modlitwą, jego została wysłuchana z niezwykłą szybkością. Przywykł do stukotu kopyt koni na Podzamczu i głosów przechodniów, tak więc nie zaniepokoiły go mono-sylabiczne rozmowy ludzi i leniwe stąpanie koni. Lecz oto nagle zostały otwarte podwójne dwuskrzydłowe wrota i głośno uderzyły o ściany, a stukot podków świadczył o tym, że prowadzone na wodzach konie idą po kamiennym podejździe, potem usłyszał głuchy odgłos ich kopyt na polepie wewnątrz stodoły.

Edwin wyprostował się gwałtownie, uważnie nasłuchując: jeden koń... dwa... jeszcze kilka; lekkie, sądząc po chodzie, niewielkie podkowy... chyba muły. I co najmniej dwóch stajennych, zapewne jednak trzech albo czterech. Zamarł, bojąc się ruszyć lub ugryźć kęs jabłka. Gdyby zamierzali przetrzymać konie tylko przez dzień, wszystko byłoby w porządku, wystarczyłoby, żeby zachował spokój i przesiedział ten czas w ukryciu.

Nad pustą przestrzenią w stajni była ciężka kłapa w powale, tak że na strych można było dostać się, nie wychodząc na dwór. Edwin ześliznął się z beczki, wyciągnął ostrożnie na podłodze i przysunął ucho do szpary w deskach.

Młody głos przemawiał łagodnie do opornego konia i Edwin słyszał, że ktoś klepie go ręką po szyi i grzbiecie.

— Spokojnie, mój śliczny! Piękny jesteś! Twój dawny właściciel dobrze się znał na koniach, trzeba mu to przyznać. Marnujesz się teraz bez ruchu.

— Wprowadź go do tego boksu — rozległ się szorstki głos — i pomóż mi potem przy mułach.

Słysząc było, jak się krzątają, rozprowadzając konie. Edwin wstał bezszelestnie i nałożył na swoje ubranie benedyktyński habit, bo gdyby na skutek fatalnego zbiegu okoliczności ktoś go zobaczył w pobliżu stajni, był to dla niego najlepszy kamuflaż. Wyglądało jednak na to, że wszystko ułoży się dobrze. Wrócił do szpary akurat w chwili, gdy usłyszał trzeci głos mówiący:

— Nałóż siana do drabinki nad żłobem. A jeśli tu na dole byłoby za mało paszy, to na górze jest jej pod dostatkiem.

A więc mieli wtargnąć do jego schronienia! Już słyszał chrobot stóp na szczeblach drabiny w dole. Edwin zerwał się, nie próbując zachować ciszy, przetoczył ciężką beczkę i ustawił mocno na kłapie, gdyż zasuwy były pod spodem powały. Hałas, jaki wywołał ktoś próbujący ruszyć oporne żelastwo, stłumił przetaczanie beczki, na której usiadł Edwin, marząc w duchu, żeby ważyć co najmniej trzy razy tyle co w rzeczywistości. Jednak bardzo trudno byłoby podnieść nawet tak niewielki ciężar nad swoją głową, i dlatego jego waga zupełnie wystarczyła. Kłapa trochę się pod nim zachwiała, ale nic więcej.

Mocno trzyma! — zawołał zagniewany głos z dołu. — Jakiś głupiec zasunął ją na górze.

Na górze nie ma zasuwy. Rusz łepetyną, człowieku, chyba nie całkiem jeszcze zgłupiałeś!

No to ktoś nasunął na nią coś ciężkiego. Powiadam ci, ani drgnie. — I na dowód tego rozległo się głośnie uderzenie w kłapę.

Och, złaź na dół, niech prawdziwy mężczyzna spróbuje swojej ręki — odezwał się z niezadowoleniem ochrypły głos. Potem słysząc było, że ktoś ciężki wchodzi po trzeszczących szczeblach drabiny. Edwin

wstrzymał oddech i starał się być jak najcieńszy, napinając każdy mięsień. Kłapa drgnęła, lecz nie uniosła się nawet o cal, a walczący z nią stajenny sapał i przeklinał.

A co, nie mówiłem ci, Will? — krzyknął z satysfakcją jego towarzysz.

Musimy wejść przez zewnętrzne drzwiczki. Całe szczęście, że zabrałem oba klucze. Wat, chodź ze mną, pomożesz mi podnieść to, co zablokowało kłapę, i widłami zrzucisz siano na dół.

Nie wiedział, że klucz nie był potrzebny, ponieważ drzwi były otwarte. Głos uciął, gdy człowiek zszedł z drabiny na ziemię, rozległy się kroki, wyszli na dwór. Dwaj wejdą na górę i po kilku chwilach odkryją go; nie było nawet czasu, żeby się zakopał głęboko w sianie. Inna sprawa, że nie byłoby to bezpieczne, ponieważ mieli przyjąć z widłami. Może jest ich tylko trzech? Dlaczego nie zaatakować jednego z nich? Edwin szybko przetoczył beczkę, żeby zablokowała drzwiczki, i szarpnął mocno kłapę. Otworzyła się tak łatwo, że omal nie upadł do tyłu, ale natychmiast się poderwał i szybko zsunął w dół po drabinie. Nie tracił czasu, żeby zamknąć kłapę, najważniejsze było zagrożenie na dole.

Było ich czterech, a nie trzech! Dwaj z nich nadal byli wśród koni, a choć jeden stał obrócony do niego plecami i widłami wrzucał siano do żłobu w odległym kącie stajni, drugi — szczupły, żyłasty, o bujnych włosach — znajdował się zaledwie o kilka stóp od drabiny i właśnie wychodził z jednego ze stanowisk.

Nie było czasu na zmianę planu i Edwin nawet się nie zawahał. Skoczył z góry na stajennego. Człowiek drgnął i podniósł głowę, by się przekonać, co jest źródłem nieoczekiwanego hałasu, kiedy spadł na niego jak czarna chmura i przewrócił go na ziemię. Niestety, przewaga, jaką Edwin miał dzięki habitowi, była krótkotrwała. Drugi stajenny obrócił się, słysząc krzyk swego towarzysza i zdumiał się na widok kogoś, kto wyglądał na benedyktyna, a kto zerwał się z podłogi, ściskając fałdy habitu w jednej ręce, a drugą chwytając widły, które wypuściła jego ofiara. Stajenny jeszcze nigdy w życiu nie widział, żeby tak zachowywał się zakonnik. Zebrał się na odwagę i ruszył za Uciekającym, ale zatrzymał się jak wryty, kiedy widły zostały skierowane w stronę jego piersi. W tym momencie ten, który Upadł, stanął już na nogi, znajdując się między uciekającym a otwartymi

szeroko wrotami.

Istniała jedna jedyna droga ucieczki, Edwin postanowił z niej skorzystać; z widłami w ręku cofnął się do najbliższego stanowiska. Dopiero wtedy spojrzął na znajdującego się tam konia, tego, nad którym tak ubolewał młody stajenny, że się marnuje, bo nie ma ruchu. Wysoki, bystry kasztan, z jaśniejszą grzywą i ogonem. i białą strzałką na czole, który tupał podniecony zamieszaniem nagle sięgnął, skubiąc wargami, do włosów Edwina i zarżał mu cichutko do ucha, potem odwrócił się od żłobu — miał przed sobą otwartą drogę. Edwin objął ramieniem jego szyję, z radością go rozpoznając.

— Rufus... och, Rufus!

Rzucił na ziemię widły, chwycił konia jedną ręką za długą grzywę i wskoczył mu na grzbiet. Nie miało najmniejszego znaczenia, że nie było siodła ani wodzy, przecież tyle razy jeździł na tym koniu na oklep, że nie potrafiłby tego zliczyć, w czasach, kiedy jeszcze nie utracił łask jego właściciela. Wbił pięty w boki Rufusa i ścisnął je kolanami, zachęcając do szaleńczej ucieczki na leb na szyję.

Choć stajenni mieli wielką ochotę schwytać Edwina, gdy się przekonali, że jest oszustem, a nie zakonnikiem, to nie odważyli się stanąć na drodze Rufusowi. Kiedy wyrwał się ze swego stanowiska jak wystrzelona z łuku strzała, odskoczyli od niego w takim pośpiechu, że starszy przewrócił się do tyłu na kupę siana, a potem upadł na polepę. Edwin przywarł mocno do drgającego grzbietu konia, palce wczepił w jasną grzywę i szeptał bezładne słowa podzięk i zachęty do jego płasko leżących uszu. Wypadli na targ koński, Edwin instynktownie kolanami i piętami skierował konia w przeciwną stronę od miasta i wzdłuż Podzamcza.

Ci dwaj, którzy weszli na strych tylnymi schodami, mieli trudności z otwarciem drzwiczek, nie mówiąc już o tym, że najpierw nie mogli zrozumieć, dlaczego nie są zamknięte na klucz. Kiedy usłyszeli łomot końskich kopyt, zbiegli na dół, żeby spojrzeć na drogę.

— Boże miłosierny! — jęknął Will z oczami okrągłymi ze zdumienia. — To jeden z naszych braci! Czemuż tak się spieszy?

W tej samej chwili podmuch wiatru zwiął Edwinowi kaptur na plecy, odsłaniając gęstwinę jasnych włosów i chłopięcą twarz.

— Widziałeś? On nie ma tonsury, to nie jest żaden z naszych braci! To ten chłopak, którego ścigają ludzie szeryfa. Któż by inny chował się

w naszej stajni?

Edwin był już jednak daleko, a żaden z koni w stajni nie mógłby dorównać Rufusowi, nie było tu konia równej klasy. Młody stajenny powiedział prawdę, Rufus, narowisty i oporny wskutek bezczynności, teraz korzystając ze swobody, pędził, ile tylko miał sił. Obecnie na drodze do wolności stała tylko jedna przeszkoda. Zbyt późno Edwin przypomniał sobie ostrzeżenie Cadfaela, żeby pod żadnym pozorem nie obierał drogi do Londynu, gdyż tam, gdzie się kończą podmiejskie okolice, z pewnością natrafiliby na poszukujący go patrol ze św. Idziego, który miał sprawdzać wszystkich na trakcie. Przypomniał sobie o tym dopiero wtedy, gdy w oddali na drodze zobaczył czterech jadących wolno konnych. Ludzie szeryfa właśnie się zmienili i ci po służbie wracali na zamek.

Nie zdołałby się przedrzeć przez ten zwarty szyk, a jego habit ani na chwilę nie zwiódłby ich, zważywszy na rozpaczliwą szybkość jeźdźca. Edwin zrobił jedyną możliwą rzecz. Używając łagodnego głosu i kolan, zawrócił swego niezadowolonego z tego manewru wierzchowca na drogę, którą przed chwilą pędzili, i skłonił go znów do wściekłego galopu. Natychmiast usłyszał za plecami okrzyki radości, wiedział, że go ściga oddział zdecydowanych na wszystko uzbrojonych ludzi, przekonanych, że gonią złoczyńcę.

Brat Marek spiesznie szedł po sumie przez koński targ, mając zamiar wejść na strych niepostrzeżenie, tak by nikt nie mógł potem przysiąc, że wszedł jeden zakonnik, a wyszło dwóch, lecz kiedy znalazł się blisko stajni, usłyszał krzyki i zamieszanie, zobaczył też, jak Edwin na swoim uskrzydłonym rumaku gna Wzdłuż Podzamcza z rozwianym kapturem i habitem, z głową przytuloną do końskiej grzywy. Nigdy przedtem nie widział Edwina Gurneya, ale nie miał wątpliwości, kto jest tym wściekle pędzącym desperatem; nie miał też wątpliwości, że jego misja była, niestety, spóźniona. Zwierzyna uciekła z kryjówki, choć jeszcze nie została schwytana. Brat Marek w niczym nie mógł teraz Edwinowi pomóc.

Will, starszy stajenny, człowiek odważny, spiesznie wyprowadził najlepszego z pozostałych koni, które miał pod swą pieczę, i szykował

go do pościgu, ledwie jednak znalazł się w siodle, kasztan znów nadleciał, tym razem w przeciwnym kierunku. Will spiał konia ostrogami, żeby odciąć mu drogę, lecz jego wierzchowcowi zabrakło odwagi, cofnął się i uskoczył w bok przed wyciągniętą szyją Rufusa, jego położonymi płasko uszami. Jeden ze stajennych rzucił widłami w kierunku pędzącego konia, ale Rufus odskoczył zręcznie w bok i, nie zmniejszając szybkości, pędził w kierunku miasta.

Will pogalopowałby za nim, choć niewielka była szansa, że dogoni ten nikiący w dali jasny ogon, ale właśnie usłyszał okrzyki jeźdźców, ścigających uciekiniera wzdłuż Podzamcza, z czego, prawdę mówiąc, ucieszył się, zostawiając im to zadanie. Ostatecznie to ich obowiązkiem było zajmować się przestępcami i niezależnie od tego, co uczynił ów fałszywy zakonnik, z pewnością ukradł konia należącego do wdowy Bonel, który był pod opieką opactwa. Najwyraźniej kradzież natychmiast została zgłoszona. Ruszył ścieżką naprzeciw galopującym strażnikom, dając im znak ręką, żeby się zatrzymali; pozostali stajenni też się zbliżyli, żeby opowiedzieć, jak się wszystko rozegrało.

Zebrała się spora grupa. Przechodnie nie mogli sobie darować tak wspaniałej okazji, wychodzili też ludzie z sąsiednich domów, żeby się przekonać, co znaczą te konne harce. W tym czasie podeszło również kilkoro dzieci, żeby się pogapić i posłuchać, co również opóźniło podjęcie pogoni. Matki zaczęły szukać swoich dzieci, w wyniku czego droga została zablokowana na dalsze kilka minut. Nie było jednak rozsądnego wytłumaczenia dla faktu, że koń pod dowódcą straży, w momencie kiedy mieli już ruszyć, zarżał przeraźliwie, szarpnął się gwałtownie do tyłu i omal nie zrzucił swego jeźdźca, który, nie spodziewając się czegoś takiego, musiał sporo czasu poświęcić na jego uspokojenie, nim wraz ze swoimi ludźmi ruszył za uciekinierem.

Brat Marek, wyciągając szyję, obserwował wraz z resztą gapiów, jak strażnicy odjeżdżają w stronę miasta, pewien, że kasztan na dobre zdążył im zniknąć z pola widzenia. Reszta należała do Edwina Gurneya. Marek wsunął dłonie w szerokie : rękawy, naciągnął głęboko na twarz kaptur i skierował się w stronę bramy wiodącej do opactwa, żeby przekazać Cadfaelowi bardzo niepewne wiadomości. Po drodze rzucił drugi kamyk, z tych dwóch, które podniósł przy stajni. W majątku swego wuja za nędzne utrzymanie musiał pracować już od czwartego roku życia, chodził za oraczem z małym woreczkiem

kamyków, rzucając je, by odstraszać ptactwo od wybierania ziaren. Dopiero po dwóch latach doszedł do wniosku, że jednak sprzyja głodnym ptakom i że nie ma zamiaru czynić im krzywdy; nadal jednak nie Stracił swoich uzdolnień i świetnie trafiał w cel.

I doszedłeś aż do mostu? — spytał zaniepokojony Cadfael. — Strażnicy przy moście nie widzieli go? I ludzie szeryfa stracili jego ślad?

Śladu, znaku, popiołu, przepadł jak kamień w wodę — stwierdził z radością brat Marek. — Nie wjechał do miasta, w każdym razie nie tą drogą. Moim zdaniem nie mógł wjechać w żadną z uliczek w pobliżu mostu, gdyż byłyby widoczny. Ja myślę, że musiał pojechać wzdłuż rzeki Gaye, tam gdzie nad jej brzegiem rosną sady, co dało mu pewną osłonę. Ale co potem uczynił, nie mam pojęcia. Jedno jest pewne, nie schwytali go. Będą szukać go u krewnych w mieście, ale nie znajdą. — Rozjaśniony spojrzał na zatroskanego Cadfaela i rzekł: — Brat przecież dowiedzie, że on nie popełnił nic złego. Czemu się brat martwi?

' Było czym się martwić, jeśli ktoś tak bez reszty zależał od zwycięstwa prawdy i dobrych układów z niebem brata Cadfaela, jednak wydarzenia tego ranka najwyraźniej nie zasmuciły brata Marka i to już był powód do wdzięczności.

Chodźmy na obiad — powiedział Cadfael — i nie przejmuj się niczym, co z taką wiarą jak twoja, łatwo ci przyjdzie. Jestem pewien, że jak rzucisz kamyk w jakiejś intencji, musi trafić do celu. A jaki jest twój cel? Biskupstwo?

Papież albo kardynał — odparł wesoło brat Marek. — Nic poniżej. No tak — rzekł poważnie Cadfael. — Poniżej biskupa zmarnowałbyś się.

Przez cały dzień ludzie szeryfa polowali w mieście na Edwina

Gurneya, gdzie ich zdaniem zamierzał szukać pomocy, skoro jakimś cudem udało mu się przejechać przez most. Kiedy te poszukiwania skończyły się niepowodzeniem, ruszyły patrole przeczesujące wszystkie główne drogi na półwyspie. Na pobliskim zakolu rzeki Severn Shrewsbury miało tylko dwa mosty, jeden prowadzący w stronę opactwa i Londynu, którym, jak sądzono, przejechał, i drugi w kierunku Walii, gdzie wachlarz dróg prowadził na zachód.

Byli przekonani, że uciekinier skieruje się w stronę Walii, gdyż w ten sposób najszybciej znalazłby się poza ich jurysdykcją, choć i tam jego przyszłość byłaby niepewna. Tak więc wszyscy byli zdumieni, kiedy oddział patrolujący brzeg rzeki po stronie opactwa, gdzie nikt nie spodziewał się znaleźć śladu uciekiniera, został zaczepiony przez bardzo podnieconą dziewczynkę, może jedenastoletnią, która przybiegła do nich przez pola i bez tchu spytała, czy to prawda, że człowiek, którego szukają, był w habicie zakonnym i jechał na kasztanowatym koniu z jasną grzywą i ogonem? Tak, widziała go, i to niedawno, kiedy ostrożnie wynurzył się z małego lasku i klusem odjechał na wschód, jak gdyby chciał przeciąć drugie zakole rzeki i przedostać się na trakt prowadzący do Londynu, omijając św. Idziego. Jej opowieść była wiarygodna, ponieważ ucieczkę rozpoczął właśnie w tym kierunku, ale zobaczył, że droga jest zablokowana na skraju miasta. Najwidoczniej udało mu się znaleźć kryjówkę i przez pewien czas odpocząć w nadziei, że pościg skieruje się w przeciwną stronę, a teraz poczuł się na tyle bezpieczny, że znów wyruszył w drogę. Dziewczynka powiedziała, że chyba zmierza do brodu pod Uffington.

Podziękowali jej serdecznie, posłali jednego człowieka do miasta, żeby zawiadomił, iż natrafili na świeży trop, i żeby jak najszybciej przysłano im posiłki, a sami ruszyli w stronę owego brodu. Alys zaś, obserwując ich, dopóki nie zniknęli jej z oczu, szybkim krokiem ruszyła w stronę traktu i mostu. Przecież nikt rozsądny nie będzie śledzić, dokąd idzie jedenastoletnia dziewczynka.

Dopiero za brodem pod Uffington ścigający po raz pierwszy dostrzegli uciekiniera, jadącego prawie stępą wąską drogą w kierunku Upton. Od chwili, kiedy się odwrócił i dostrzegł ich, zaczął uciekać z wielką szybkością; maść i wygląd konia nie ulegały wątpliwości, jedno tylko zdumiało ścigających, czemu jeździec zachował ukradziony habit, który był teraz raczej czymś obciążającym niż pomocnym, skoro o tym

wiedzieli wszyscy ludzie w okolicy.

Było już późne popołudnie i zaczynało się ściemniać. Pościg trwał od wielu godzin. Chłopak zdawał się znać każdą boczną ścieżkę, każdy zagajnik, udało mu się nawet zgubić ich kilka razy i skierować w niebezpieczne miejsca, tak że za którymś razem zjechali z drogi na grząskie łąki, gdzie jeden z nich, tęgi mężczyzna, wpadł w śmierdzące bagno, a potem na takie manowce, gdzie W ogóle trudno było znaleźć jakąkolwiek drogę, w rezultacie czego jeden z koni wbił sobie kamień w kopyto i okulał. Tak przejechali w ślad za nim przez Atcham, Cound i Cressage; kilka razy gubili go, aż wreszcie w lasach za Acton Rufus osłabł i zaczął się potykać. Wtedy wreszcie dopadli chłopaka, otoczyli go i ściągnęli za habit i kaptur na ziemię, związali mu ręce i mszcząc się za morderczą pogoń, mocno poturbowali, co przyjął z filozoficznym spokojem i w milczeniu. O jedno tylko poprosił, żeby ten szmat drogi, jaki ich dzielił od Shrewsbury, odbyli powoli ze względu na konia.

Zauważyli, że zrobił całkiem zręczną uzdę ze sznura, którym przepasany był jego habit. Zabrali mu ją i przywiązali go z tyłu do najbliższego ze swoich ludzi, w obawie, że nawet mimo unieruchomionych rąk może zeskoczyć na ziemię i zniknąć w zapadających ciemnościach. I tak po długiej podróży przywieźli swego więźnia z powrotem do Shrewsbury i późnym wieczorem pojawili się przed strażnicą przy bramie opactwa. Ukradzionego konia należało natychmiast oddać tam, skąd był wzięty, ponieważ zaś na razie było to jedyne przestępstwo, jakie zostało dowiedzione uciekinierowi, aż do następnego przesłuchania powinien był przebywać w więzieniu klasztornym, dopóki przedstawiciel prawa nie sformułuje poważniejszych zarzutów, dotyczących czynów popełnionych poza opactwem, a więc podlegających jurysdykcji szeryfa.

Przeor Robert, gdy został uprzejmie poinformowany, że schwytano zbiega i że musi on pozostać w więzieniu co najmniej przez noc, był w rozterce. Z jednej strony ulżyło mu, że pozbył się kłopotów związanych z kryminalną sprawą Bonela, tak że mógł zająć się wyłącznie prawnymi jej skutkami, z drugiej zaś denerwowało go, że będzie musiał zatrzymać przestępcę w opactwie. Wiedział wszakże, że ta niedogodność nie

potrwa długo. gdyż rano oskarżony o morderstwo chłopak zostanie aresztowany.

Trzymacie go teraz w strażnicy przy bramie? — spytał zbrojnych ludzi, którzy przyszli do niego z tą wiadomością.

Tak, ojcie. Dwóch braci strażników jest z nim i jeśli ojciec wyda odpowiedni rozkaz, będą go pilnować aż do jutra. kiedy szeryf zabierze go stąd pod zarzutem cięższego niż obecne przestępstwa. Czy ojciec zechciałby przyjść i sam go przesłuchać w sprawie konia? Może też być oskarżony o zaatakowanie stajennych, co jest poważnym zarzutem nawet bez kradzieży.

Przeor Robert nie był odporny na zwykłą ludzką ciekawość j miał ochotę spojrzeć na owego młodocianego potwora, który otruł swego ojczyma i przez pół hrabstwa wodził za nos ludzi szeryfa.

— Przyjdę — obiecał. — Kościół nie może odwrócić się od grzesznika, najwyżej może tylko potępić jego grzech.

W izbie furtiana schwytyany chłopiec, zgarbiony jakby w o-bronie przed światem, siedział bez ruchu przed upragnionym ogniem, nie wyglądał jednak wcale na przestraszonego, mimo skaleczeń, siniaków i wyraźnego zmęczenia. Strażnik opactwa i ludzie szeryfa otoczyli go i wpatrując się w niego, zadawali mu pytania, na które odpowiadał tylko wtedy, kiedy miał ochotę, i to bardzo lakonicznie. Kilku z nich było oblepionych błotem, kilku miało zadrapania i stłuczenia. Chłopiec od czasu do czasu spoglądał na nich, a jego usta zaciskały się, jakby chciał ukryć uśmiech, kiedy przypominał sobie tego, który zwał się z konia na łąkach niedaleko Cound. Zdarli z niego pożyczony habit i oddali pod opiekę furtiana; chłopiec wyglądał teraz szczupłej, był jasnowłosy, o jasnej karnacji i bystrych orzechowych oczach. Opata Roberta zaskoczyła jego młodość i miły wygląd, doprawdy diabeł umie przybrać urzekającą postać!

— Taki młody i taki zepsuty — powiedział dość głośno na progu izby, a choć słowa te nie były przeznaczone dla młodego więźnia, usłyszał je, gdyż na ogół każdy czternastolatek ma dobry słuch. — Tak więc, chłopcze — powiedział przeor, podchodząc bliżej — zakłóciłeś nasz spokój. Wiele masz na sumieniu i obawiam się, że jest już za późno na modlitwę, obyś miał czas naprawić wyrządzone zło. Lecz ja będę się modlić o to. Wiesz dobrze, ponieważ jesteś wystarczająco dorosły, iż morderstwo to grzech śmiertelny.

Chłopiec podniósł na niego wzrok i powiedział z największym spokojem:

Kiedy ja nie jestem mordercą.

Och, dziecko, nie zaprzeczaj temu, co powszechnie wiadomo. Równie dobrze możesz powiedzieć, że dziś rano nie ukradłeś konia z naszej stajni, kiedy czterech naszych służących i wielu innych ludzi było tego świadkami.

Ja nie ukradłem Rufusa — odparł szybko i stanowczo chłopak. — On należy do mnie. Był własnością mego ojczyma, którego jestem spadkobiercą, ponieważ jego umowa z opactwem nie została potwierdzona, tak więc jego wola, że będę po nim dziedziczył, nadal obowiązuje. Jak mógłbym ukraść coś, co do mnie należy? Od kogo?

Nieszczęsne dziecko — zaprotestował przeor, oburzony taką bezczelnością, a jeszcze bardziej rodzącym się podejrzeniem, że ten smarkacz mimo fatalnej sytuacji, w jakiej się znajduje, ośmiela się cieszyć nią. — Zastanów się nad tym, co mówisz! Powinieneś raczej pokutować, kiedy masz jeszcze po temu czas. Czyś dotąd nie zrozumiał, że morderca nie może dziedziczyć po swej ofercie?

Powiedziałem i raz jeszcze powtarzam, że nie jestem mordercą. Przysięgam na mą duszę, na ołtarz, na cokolwiek ojciec sobie życzy, że nigdy nie uczyniłem najmniejszej krzywdy memu ojczymowi. Dlatego Rufus jest mój. Albo raczej, kiedy jego wola zostanie zatwierdzona i mój suzeren wyrazi zgodę, jak to obiecał, Rufus i Mallilie do mnie będą należeć. Nie popełniłem zbrodni i nic, co ojciec może powiedzieć albo zrobić, nie zmusi mnie do przyznania się i nie sprawi, że stanę się winny popełnienia któregoś z tych czynów.

Ojciec przeor traci swój cenny czas — mruknął jeden z ludzi szeryfa — ten bezczelny smarkacz skończy na szubienicy

Jednak na oczach wyniosłego przeora nie ośmielił się wytargać bezczelnego smarkacza za uszy, jak miał to ochotę uczynić

Ojciec nie powinien więcej myśleć o nim, niech słudzy opactwa zamkną go w celi. Naprawdę nie warto zadawać sobie więcej trudu, bo on na to nie zasługuje. Prawo się nim zajmie.

— Przypilnujcie, żeby dostał jeść i żeby miał ciepłe, suche poślanie — powiedział Robert z pewnym współczuciem, pomny na to, że ten dzieciak cały dzień spędził w siodle, ukrywając się i uciekając. — A gdyby zmiękł i poprosił... Chłopcze, posłuchaj innie, pomyśl o swej

duszy. Czy chciałbyś, żeby przed snem przyszedł do ciebie jeden z naszych braci, porozmawiał z tobą i pomódlł się?

Chłopiec spojrział na niego z nagłym błyskiem w oku, co może oznaczało nadzieję na skrucę, ale nie było chyba szczere, gdyż odpowiedział z podejrzaną pokorą:

— Tak, bardzo byłbym wdzięczny, gdyby ojciec posłał kogoś po brata Cadfaela. — Przyszedł wreszcie czas, żeby pomyśleć o swojej własnej sytuacji, jak dotąd zrobił wszystko, co trzeba.

Spodziewał się, że to imię spowoduje zmarszczenie brwi przeora i tak się stało, ale Robert obiecał mu tę łaskę i teraz nie mógł się wycofać ani stawiać jakichś warunków. Z godnością zwrócił się do furtiana pilnującego drzwi:

— Niech brat poprosi brata Cadfaela, żeby tu zaraz do nas przyszedł. Może mu brat powiedzieć, że trzeba udzielić rady i pouczenia pewnemu więźniowi.

Furtian wyszedł. Zbliżała się już prawie pora spoczynku i większość braci zapewne była w cieplej izbie, ale Cadfaela tam nie znalazł, nie było tam też brata Marka. Zastał ich w chacie w ogrodzie, tym razem nie przyrządzali żadnych tajemniczych leków, tylko zasmuceni siedzieli na ławie i o czymś z niepokojem rozmawiali. Wieści o schwyтaniu zbiega jeszcze się nie rozeszły; za dnia wszyscy dowiedzieliby się o tym w ciągu paru minut. Wiadomo było oczywiście, co ludzie szeryfa robili przez cały dzień, ale mało kto wiedział o pomyślnym zakończeniu pościgu.

— Bracie Cadfaelu, jesteś potrzebny w straźnicy przy bramie — oświadczył furtian, stając w progu, a kiedy Cadfael spojrział na niego zdumiony, dodał: — Jest tam pewien chłopak, który chce, żebyś go podniósł na duchu, chociaż moim zdaniem, on bardzo dobrze panuje nad swoim duchem i nawet dał to do zrozumienia ojcu Robertowi. Po komplecie przyjechali ludzie szeryfa z więźniem. Tak, wreszcie złapali młodego Gurneya.

A więc tak to się zakończyło, po tych wszystkich wysiłkach, po modlitwach jego i Marka. Zasmucony Cadfael wstał z ławy, mówiąc:

— Już idę do niego, uczynię to z największą chęcią. Teraz losy bitwy zależą od nas, a czasu mało. Biedny dzieciak! Ale czemu go nie zabrali od razu do miasta? — zapytał zdziwiony, rad jednak, że dzięki temu będzie miał tę niezwykłą szansę krótkiego spotkania z chłopcem.

Jedyna rzecz, o jaką mogą go oskarżyć, i tego nikt nie zdoła zakwestionować, to kradzież konia, na którym dziś uciekł, i to z terenu, będącego pod naszą opieką; ta sprawa podlega jurysdykcji opactwa. Rano jednak zabiorą go z powodu morderstwa.

Brat Marek poszedł za nimi do strażnicy, bardzo przygnębiony i nie znajdując słów pocieszenia. W głębi serca czuł, że popełnia grzech, grzech rozpaczy; nie nad samym sobą, lecz nad kłamstwem i niesprawiedliwością, i przyszłością nieszczęsnego rodzaju ludzkiego. Nikt mu nie kazał iść, ale poszedł, duszą oddany sprawie, o której w rzeczywistości niewiele wiedział. z wyjątkiem tego, że oskarżony był bardzo młody i że Cadfael całkowicie mu wierzył, a to wystarczało.

Cadfael wszedł do izby furtiana z ciężkim sercem, nic byt jednak zrozpaczony; to był luksus, na który nie mógł sobie pozwolić. Powitała go cisza, wszyscy milczeli, Robert zaniechał swoich zacnych w intencjach, lecz karcących pouczeń, a przedstawiciele prawa zrezygnowali z wydobycia zeznań od upartego więźnia. Poza tym byli radzi, że wkrótce znajdzie się pod kluczem, a oni sami wrócą do zamku i porządnie się wyśpią. Krąg rosnących zbrojnych mężczyzn otaczał szczupłego chłopca w ubraniu z wiejskiego samodziła, mimo chłodnej nocy z gołą głową i bez opończy, który siedział skupiony, czujny na ławie pod ścianą, zaróżowiony od ciepła płonącego ognia. Jego piwne oczy spotkały wzrok brata Cadfaela i rozjaśniły się. Włosy miał jasnobrązowe, jak wysuszona dębina. Był szczupły, wysoki, jak na swój wiek. Choć wykończony, pokaleczony i brudny, spojrzenie miał skupione i czujne... bez wątpienia śmiał się w duchu.

Brat Cadfael długo na niego patrzył i dużo zrozumiał, wy-starczająco dużo, żeby na razie nie martwić się zbyt tym, czego jeszcze nie pojmował. Spojrzał wokół wyczekującego kręgu i wzrok najdłużej zatrzymał na twarzy przeora Roberta.

— Ojcie przeorze, jestem wdzięczny, że ojciec posłał po mnie i cieszy mnie nałożony na mnie obowiązek. Uczynię dla więźnia wszystko, co trzeba. Muszę jednak powiedzieć, że ci ludzie tutaj myślą się. Raport, jaki złożą, co do okoliczności, w których ten chłopiec został schwyty, nie ulega wątpiwości, ale radzę im, żeby zbadali, jak i gdzie spędził ranne godziny, kiedy, jak się twierdzi, uciekł ze stajni opactwa na koniu należącym do pani Bonel. Panowie — zwrócił się z niezwykłą powagą do zdumionych ludzi szeryfa — to nie Edwina

Gurneya złapaliście, lecz jego siostrzeńca, Edwy'ego Bellecote'a.

Rozdział 7

Więzienie opactwa to były dwie małe cele na tyłach strażnicy przy bramie, rzadko zajęte, bardzo czyste, z pryzkami nie gorszymi niż te, na których spali nowicjusze. Latem, podczas jarmarku Świętego Piotra, kiedy przybywało sporo ludzi, mogli tu przenocować pijani służący albo świeccy bracia, którym pozwalano odespać ich wybryki, a którzy niewielkie grzywny i kary przyjmowali bez sprzeciwu, uważając, że gra była warta świeczki. Od czasu do czasu również poważniejsze sprawy mogły tu kogoś sprowadzić, na przykład jakiegoś nie zrównoważonego zakonnika, który tak zaciekle nienawidził innego brata, iż wreszcie popełnił jakiś gwałtowny czyn, albo świeckiego służącego, który coś ukradł, czy też nowicjusza, który zbyt energicznie sprzeciwia) się nakazom reguły zakonnej. Doprawdy, sąd opactwa nie miał nadmiaru pracy.

W jednej z tych dwóch cel siedzieli obok siebie brat Cadfael i Edwy. W drzwiach była krata, ale z pewnością nikt nie zamierzał podsłuchiwać tego, o czym rozmawiali. Brat klucznik był już bardzo senny o tej porze i z zasady nie interesowało go, co było przyczyną uwięzienia kogoś. Raczej należało się liczyć z tym, że kiedy Cadfael zechce wyjść, będzie musiał walić głośno w drzwi, by go obudzić.

— Nie było tak źle — zaczął opowiadać Edwy, który oparł się wygodnie o ścianę po tym, jak pochłonał wielką porcję owsianki, dostarczoną mu przez życzliwego kucharza. — Kuzyn ojca mieszka w

poblizu Gayc, tuż za opactwem. Ma tam sad i szope, w której trzyma osła i dwukołowy wózek; jest ona na tyle duża, że można było w niej ukryć Rufusa. Syn tego kuzyna przyniósł nam wiadomość do miasta, wziąłem więc ojcowskiego konia i pojechałem do Edwina. Nikt oczywiście nie zwracał uwagi na taką kościstą srokatą szkapę jak nasz Jafet, jadąc przez most ani razu się nie obejrzałem i wcale się nie spieszyłem. Alys jechała ze mną z tyłu na podwójnym siodle i patrzyła, czy nie widać pogoni. Potem zamieniliśmy się na ubrania i konie i Edwin wyruszył...

Nie mów mi! — zaprotestował Cadfael.

Tak, lepiej, żeby brat naprawdę tego nie wiedział. Na pewno nie tą drogą, którą ja pojechałem. Długo trwało, nim mnie wypatrzyli — ciągnął Edwy z pogardą — nawet potem, jak im Alys pomogła. Ale kiedy już mnie zobaczyli, robiłem wszystko, żeby jak najdłużej mnie gonili i Edwin mógł jak najdalej odjechać. Potrafiłbym ich jeszcze dłużej wodzić za nos po różnych wertepach, ale Rufus był już bardzo zmęczony, więc dałem im się złapać. W końcu musiałem przecież to zrobić, potem przez kilka godzin byli wielce uradowani i wysłali przodem jednego ze swych ludzi, żeby odwołać pościg. Dzięki temu Edwin mógł spokojnie uciekać. A teraz proszę, niech brat mi powie, co ze mną robią, jak brat myśli?

Gdybyś nie był teraz w gestii opactwa — powiedział Cadfael otwarcie: — dobrze złupiliby ci skórę za to, że tak długo ich kołowałeś i zrobiłeś z nich idiotów. Sądzę, że przeor Robert też miałby na to ochotę, ale godność mu nie pozwala, poza tym podlegasz władzy świeckiej. Co prawda — dodał ze współczuciem, patrząc na sińce na szczęce i kości policzkowej Edwy'ego — spłaciłeś im część swego długu.

Chłopiec pogardliwie wzruszył ramionami.

— Nie mogę się skarżyć. Oni też mieli za swoje. Nie tylko ja oberwałem. Szkoda, że brat nie widział, jak ten sierżant z grubym brzuchem wpadł w bagno... i nie słyszał tego, co on mówił, kiedy się stamtąd wygramolił! Świetna to była zabawa, no i pomogłem uciec Edwinowi. Poza tym jeszcze nigdy nie miałem pod sobą tak wspaniałego konia, warto było. Nie mogą mnie oskarżyć o morderstwo ani o kradzież Rufusa czy nawet habitu, ponieważ tego ranka nawet się nie zbliżyłem do tej stajni i mam wielu świadków, którzy powiedzą, że

byłem w warsztacie i na podwórzu.

— Wątpię, czy złamałeś jakieś prawo — zgodził się Cadfael — ale wystawiłeś przedstawicieli prawa na pośmiewisko, a żaden człowiek sprawujący jakiś urząd czy mający autorytet tego nie lubi. Mogą cię przez pewien czas przetrzymać w zamku pod zarzutem, że pomogłeś uciec poszukiwanemu zbiegowi. Mogą nawet czymś ci zagrozić, w nadziei że ściągną tu Edwina, który zapewne pospieszyłby ci na ratunek.

Edwy żywo potrząsnął głową:

Nie powinien się tym przejmować, dobrze wie, że w końcu nie mają przeciw mnie poważnych zarzutów. A ja lepiej niż on potrafię znosić groźby. Edwin łatwo traci panowanie nad sobą. Jest teraz w lepszej sytuacji niż przedtem, ale daleka jeszcze przed nim droga. — Czy rzeczywiście tak pogodnie podchodził do tego. co go czeka, czy tylko udawał? Tego Cadfael nie wiedział, jednak z tych dwóch chłopców na pewno starszy o cztery miesiące był znacznie dojrzałszy, może dlatego, że już od kołyski czuł się odpowiedzialny za swego nieobliczalnego wujka. — Potrafię milczeć i czekać — powiedział spokojnie Edwy.

Ponieważ przeor Robert tak stanowczo zażądał, żeby szeryf jutro osobiście przybył tu po ciebie — rzekł z westchnieniem Cadfael — będę przy tym obecny i spróbuję ci jakoś pomóc. Przeor powierzył mi duchową opiekę nad tobą i nie zrezygnuję z tego. A teraz kładź się i wypocznij. Zostałem tu przysłany po to, żeby cię skłonić do poprawy życia, ale powiem ci, chłopcze, w zaufaniu, że twoje życie wcale nie potrzebuje większej poprawy niż moje, i myślę, że byłbym zarozumiałcem, gdybym się w nie wtrącał. Gdybyś jednak odmówił razem ze mną modlitwę wieczorną, myślę, że Bóg by jej wysłuchał.

Chętnie — odparł pogodnie Edwy i padł na kolana jak ufne dziecko, z pobożnie złożonymi rękami i zamkniętymi oczami. W trakcie modlitwy przez twarz jego przemknął cień śmiechu; może przypomniał sobie bardzo świecki język, jakim posługiwał się sierżant, kiedy ociekając czarną mazią, wynurzył się z bagna.

Cadfael był gotów przed prymą na wypadek, gdyby eskorta

więźnia zgłosiła się wcześniej. Przeor Robert, zły z powodu . komedii, jaka się rozegrała ubiegłego wieczoru, rychło pocieszył się tym, że miał pełne prawo żądać, by szeryf jak najszybciej uwolnił go od winowajcy, który — jak się okazało — był kimś bez znaczenia. To nie ten chłopiec, który ukradł benedyktyński habit i konia z benedyktyńskiej stajni, tylko po prostu złośliwy smarkacz, który włożył ów habit i uprowadził konia, przysparzając komicznych kłopotów naiwnym przedstawicielom prawa. Niech go sobie zabiorą, bardzo dobrze; jednak przeor uważał, że należało się sprawowanej przez niego godności — w tej sytuacji czuł się w pełni opatem — by szeryf albo jego zastępca osobiście przyszedł do niego i przeprosił za niedogodności, na jakie było narażone opactwo, i zabrał tego, który to spowodował. Robert chciał publicznie okazać, że od tej pory cała odpowiedzialność będzie spoczywać na władzy świeckiej i klasztor nie ma z tym nic wspólnego.

Brat Marek znajdował się w pobliżu Cadfaela, kiedy około wpół do dziewiątej rano przed drugą mszą wjechała eskorta po więźnia. Czterech uzbrojonych mężczyzn i wytworny, śniady, ! o smukłej budowie młody szlachcic na wysokim, dorodnym, pstrokatym koniu, pokrytym plamami różnej maści. Marek usłyszał, jak brat Cadfael na jego widok oddycha z ulgą, sam też poczuł przyływ nadziei.

Szeryf musiał pojechać na południe, żeby wziąć udział w królewskiej uczcie — powiedział z wielkim zadowoleniem Cadfael. — Bóg wreszcie spojrział na nas łaskawie. To nie jest Gilbert Prestcote, lecz jego zastępca, Hugh Beringar z Maesbury.

I tak udało mi się ułagodzić przeora — powiedział energicznie Beringar kwadrans później. — Obiecałem mu, że uwolnię opactwo od obecności naszego młodego junaka, dzięki czemu na mszę i kapitułę udał się raczej w dobrym nastroju, ciebie zaś, mój przyjacielu, uratowałem od towarzyszenia mu, twierdząc, że

muszę ci zadać kilka ważnych pytań, na które chcę usłyszeć twoją odpowiedź. — Zamknął drzwi strażnicy, z której wszyscy jego zbrojni zostali wyproszeni, gdyż chciał mieć pełną swobodę. i usiadł przy stole naprzeciw Cadfaela. — I odpowiesz mi, choć może niezupełnie tak, jak on to sobie wyobraża. A teraz, nim pójdziemy i wyjmemy tego małego

kraba z jego skorupy, opowiedz mi wszystko, co wiesz, o tej dziwnej sprawie. Pewien jestem, że wiesz o tym więcej niż ktokolwiek inny, choć mój sierżant przekazał mi swoją wersję wydarzeń. Nie powinno było dojść do takiego zakłócenia monotonii klasztornej, a ty nie powinieneś być w to zamieszany, i to po same uszy. Powiedz mi, jak było.

Teraz, gdy to Beringar pełnił najwyższą władzę, ponieważ Prestcote z racji swych obowiązków siedział, uczując przy stole swego władcy, Cadfael nie widział powodu, by zachowywać powściągliwość, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o jego własny udział. I wszystko, a właściwie prawie wszystko, opowiedział.

Przyszedł do ciebie i ty ukryłeś go — stwierdził zamyślony Beringar.

Tak było. I w podobnych okolicznościach uczyniłbym znów to samo.

Cadfaelu, równie dobrze jak ja musisz znać wagę zarzutów wobec tego chłopca. Kto inny prócz niego zyskałby na tym? Jednak znam cię tam, gdzie ty masz wątpliwości, na pewno ja również miałbym je.

Ja nie mam wątpliwości — stwierdził stanowczo Cadfael. — Chłopiec jest niewinny, w głowie mu nie powstała nawet myśl o morderstwie. Użycie zaś trucizny nie leży w jego naturze. Wypytałem ich dokładnie, kiedy obaj do mnie przyszli; żaden z nich nawet nie wiedział, z jakiej przyczyny ten człowiek zmarł, uwierzyli mi, kiedy powiedziałem, że połała się krew od zadanego ciosu. Narzędzie morderstwa podsunąłem temu dzieciakowi pod nos, a on nawet nie zbladł. Jemu przypomniało to tylko ten ostry zapach, jaki się unosił, kiedy w infirmerii bratu Rhysowi nacierano plecy.

Wierzę w to, co mówisz — rzekł Beringar — i brzmi to wiarygodnie, lecz nie jest żadnym dowodem. A jeśli obaj nie doceniliśmy przebiegłości tych młodzików tylko dlatego, że są młodzi?

To prawda — zgodził się Cadfael z krzywym uśmiechem — ty sam nie jesteś znów tak bardzo stary, i jeśli chodzi o przebiegłość, to jak mi wiadomo, możliwości twoje są nadal nieskończone. Ale uwierz mi, ci dwaj nie są z takiej samej gliny co ty. Ja znam ich, ty nie, prawda? Ja muszę wypełnić swój obowiązek wedle takich przesłanek, jakie mam. Ty z kolei musisz wypełnić swój obowiązek zgodnie z twoim stanem i funkcją. Nie kwestionuję tego. Ale w tym momencie, Hugh, nie wiem i nie mam możliwości dowiedzieć się, gdzie jest Edwin Gurney, gdyż w

takim wypadku przekonałbym go, żeby się oddał w twoje ręce i zaufał twojej prawości. Nie musisz mówić mi, że ten jego lojalny siostrzeniec, który odebrał za niego cięgi, dobrze wie, gdzie on przebywa, a w każdym razie wie, dokąd wyruszył.

Możesz go spytać o to, lecz on z pewnością ci nie powie. Inna sprawa, że takie wypytywanie nie jest w stylu twoim ani Prestcote'a.

Hugh bębnił palcami po stole i milczał chwilę zamyślony, wreszcie się odezwał:

Cadfaelu, muszę cię uprzedzić, że zorganizuję pościg za tym chłopcem i będę go ścigać aż do skutku, stosując wszelkie możliwe podstępny, tak więc miej baczenie na to, co będziesz robić.

Uczciwie postawiłeś sprawę — odparł po prostu Cadfael. — Ty i ja byliśmy już rywalami w stosowaniu podstępów, a skończyło się na tym, że zostaliśmy sprzymierzeńcami. Jeśli jednak chodzi o moją swobodę, to się przekonasz, że jest bardzo ograniczona. Czyżby przeor Robert nie powiedział ci? Muszę się ograniczyć do przebywania w murach opactwa. Nie wolno mi wychodzić na zewnątrz.

Ruchliwe czarne brwi Beringara uniosły się wysoko.

— Dobry Boże, cóż za grzech klasztorny popełniłeś? Coś uczynił, że ściągnąłeś na siebie taką karę?

Rozmawiałem zbyt długo z pewną wdową, ktoś nastawił uszu i dowiedział się, że wiele lat temu, kiedy byliśmy młodzi, znaliśmy się bardzo dobrze. — Była to rzecz, o której nie lubił mówić, ale nie miał powodu, żeby to ukrywać przed Beringarem. — Pytałeś mnie kiedyś, jak to się stało, że się nigdy nie ożeniłem, a ja ci odparłem, że kiedyś, nim się udałem do Ziemi Świętej, miałem taki zamiar.

Pamiętam! Wymieniłeś nawet jej imię. Powiedziałeś, że teraz musi mieć dzieci i wnuki... Czy tak jest naprawdę, Cadfaelu? Czy ta kobieta to twoja Richildis?

Ta kobieta to istotnie Richildis — odparł z powagą Cadfael. — Ale nie jest ona moja. Dwóch mężów przedtem miało do niej prawo, i to wszystko.

Muszę ją zobaczyć! Taka czarodziejka, która urzekła ciebie, warta jest poznania. Gdybyś był innym człowiekiem, powiedziałbym, że to mogłoby źle wpłynąć na przychyłność jej syna do ciebie, lecz znając cię, wiem, że każde ladaco w jego wieku, które popadłoby w kłopoty, zawsze miałoby w tobie oparcie. Jednak się z nią zobaczę, może

potrzebuje rady albo pomocy, gdyż powstał prawny galimatias, który wymaga rozplatania.

Jest jeszcze jedna rzecz, którą możesz zrobić, a która może dowieść tego, przy czym obstaję. Mówiłem ci już, że chłopiec powiada, iż wrzucił do rzeki bardzo małe, drewniane inkrustowane pudełeczko. — Cadfael opisał je dokładnie. — Gdyby udało się je znaleźć, potwierdziłoby jego wersję, w którą ja wierzę. Nie mogę teraz opuścić opactwa i porozmawiać z rybakami i wodniakami znad Severn i prosić ich, żeby szukali czegoś bardzo małego w znanych im miejscach, gdzie woda wyrzuca różne rzeczy. Ale ty, Hugh, możesz to zrobić. Warto ogłosić to w Shrewsbury i w dole rzeki. Gra warta świeczki.

Uczynię to z pewnością — obiecał Beringar. — Jest taki człowiek, który spełnia pewien smutny obowiązek, ilekroć jakiś nieszczęśnik utopi się w rzece, on wie dokładnie, w którym miejscu ciało zostanie wyrzucone na brzeg. Czy małe przedmioty podlegają tym samym prądom, doprawdy nie wiem, ale on będzie wiedział. Powiem, żeby zaczął poszukiwania. A teraz, skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, chodźmy i zobaczmy tego bliźniaczego urwisa. Ma szczęście, że go znasz, nie uwierzyliby mu, gdyby sam powiedział, że nie jest tym ściganym chłopcem. Czy naprawdę są tak bardzo do siebie podobni?

— Po prostu rodzinne podobieństwo, widać je, kiedy są razem. Kiedy są oddzielnie, można mieć wątpliwości. A twoi ludzie gonili jeźdźca na takim, a nie innym koniu, wobec tego byli pewni, kto go dosiada. Chodź, sam się przekonasz!

Kiedy szli razem do celi, w której czekał Edwy, Cadfael żywił jednak pewne obawy, co Beringar zrobi ze swoim więźniem, choć wiedział, że krzywda chłopca nie spotka. Niezależnie od tego, co sądził o jego niewinności lub winie, nie był człowiekiem, który by surowo ukarał niezachwianą solidarność Edwy'ego z jego krewniakiem.

— Wyjdź, Edwy, na światło dzienne — powiedział Beringar, trzymając szeroko otwarte drzwi celi — bo chcę na ciebie spojrzeć. Nie mogę mieć wątpliwości, który z was jest w moich rękach, w razie gdybyście jeszcze raz zamienili się rolami. — A kiedy Edwy posłusznie wstał i wyszedł na dziedziniec, rzuciwszy przedtem nerwowe spojrzenie w bok, czy aby na pewno obecny jest również brat Cadfael, zastępca szeryfa wziął go pod brodę i uważnie mu się przyjrzał. Skaleczenia były tego ranka fioletowe, ale orzechowe oczy jasne i

błyszczące. — Rozpoznam cię następnym razem — powiedział z przekonaniem Hugh. —

A teraz do rzeczy, kosztowałeś nas, młody człowieku, wiele czasu i kłopotów, mam dość tego. Chcę spytać cię tylko o jedno: gdzie jest Edwin Gurney?

Sformułowanie pytania i wyraz tej smagłej twarzy nie zostawiały wątpliwości, co się stanie, jeśli Beringar nie otrzyma odpowiedzi; mimo spokojnego tonu był bardzo stanowczy. Edwy zwilżył językiem wyschlę wargi i powiedział głosem pełnym szacunku i uległości, jakiego nigdy jeszcze u niego Cadfael nie słyszał:

— Sir, Edwin jest moim bliskim krewnym i przyjacielem i gdybym chciał powiedzieć, gdzie on jest, nie zadałbym sobie tyle trudu, żeby ułatwić mu ucieczkę. Z pewnością rozumiesz, iż nie mogę zdradzić go i nie uczynię tego.

Beringar niezwykle poważnie spojrzał na Cadfaela, w jego oczach błysnęła jednak mała iskierka.

— Dobrze, Edwy, prawdę mówiąc, nie oczekiwałem innej odpowiedzi. Nikt nie czyni źle, jeśli chce dotrzymać wiary. Ja chcę jednego, chcę wiedzieć, gdzie mogę cię znaleźć, ilekroć byłoby to konieczne, i muszę być pewny, że nigdy więcej nie podejmiesz żadnej wariackiej akcji ratowniczej.

Edwy wyobraził sobie od razu celę w zamku shrewsburskim i zeszytniał.

Daj mi słowo, że nie opuścisz domu i warsztatu swego ojca — powiedział Beringar — dopóki ci na to nie zezwolę, a teraz możesz wracać do swoich. Dlaczego mamy cię żywić na koszt publiczny podczas świąt Bożego Narodzenia, kiedy jestem pewien, że jeśli dasz mi słowo, będzie ono najlepszą rękojmią? Co ty na to?

Och, daję ci, panie, moje słowo — wyjąkał Edwy zdumiony i uradowany. — Nie opuszczę warsztatu, dopóki mi, panie, nie zezwolisz. I dziękuję ci!

Dobrze! Biorę twoje słowo, tak jak ty możesz wziąć moje. Moim zadaniem, Edwy, nie jest za wszelką cenę skazać twego wujka albo jakiegoś innego człowieka pod zarzutem morderstwa, lecz odkryć, kto naprawdę popełnił tę zbrodnię, i uczynię to. A teraz chodź, zabiorę cię sam do domu, muszę porozmawiać z twoimi rodzicami.

Beringar wyruszył o dziesiątej. Edwy jechał razem z nim na jego srokatym koniu, który miał dość siły, żeby nieść swego szczupłego pana i chłopca; towarzyszyła im uzbrojona eskorta w szyku po dwóch. W samym środku mszy, kiedy Cadfael powinien był całkowicie oddać się modlitwie, przypomniał sobie z niepokojem, że udałoby mu się uzyskać jeszcze dwa ustępstwa, gdyby pomyślał o tym w porę. Martin Bellecote z pewnością był teraz bez konia, opactwo chętnie pozbyłoby się Rufusa, a Richildis z zadowoleniem widziałaby go u swego zięcia, gdyż w ten sposób opactwo nie musiałoby utrzymywać konia. Druga sprawa była znacznie ważniejsza. Poprzedniego dnia postanowił szukać nad brzegiem stawu buteleczki z trucizną, a zamiast tego stał się więźniem zamkniętym wśród murów opactwa. Dlaczego nie przypomniał sobie, żeby poprosić Beringara o podjęcie tego drobnego, lecz ważnego wątku śledztwa, a wspomniawszy tylko o tym, żeby wodniacy szukali relikwiarza z gruszkowego drewna? Teraz było już za późno i nie mógł podążyć za Beringarem, żeby naprawić swój błąd. Zły na siebie, warknął nawet na brata Marka, kiedy młody zakonnik spytał go o poranne wypadki. Nie zniechęcony Marek po obiedzie poszedł za nim do jego sanktuarium w ogrodzie.

Stary ze mnie głupiec — odezwał się nadal zmartwiony Cadfael. — Straciłem okazję, żeby ktoś za mnie coś zrobił, tam gdzie ja teraz nie mogę przebywać. Ale to nie twoja wina i przykro mi, że w ogóle o tym ci mówię.

Jeśli jest coś, co brat chciałby zrobić poza murami — powiedział roztropnie Marek — dlaczego nie miałbym i dzisiaj pomóc, tak jak wczoraj?

Racja, ale ja cię już dosyć wykorzystywałem. Gdybym miał trochę więcej rozsądku, zrobiliby to przedstawiciele prawa i tak byłoby znacznie lepiej. Choć nie jest to wcale niebezpieczne albo godne potępienia — dodał, nabierając otuchy — jest to znów poszukiwanie tylko małej buteleczki...

Przedtem — powiedział z namysłem Marek — szukaliśmy czegoś, co nie miało być butelką. Szkoda, że tego nie znaleźliśmy.

To prawda, ale tym razem to powinna być butelka, jeśli pomyślny omen, że zamiast Prestcote'a przybył Beringar, ma coś znaczyć. I

powiem ci, gdzie należy szukać.

Tak też zrobił, podkreślając, jak duże znaczenie ma fakt, że w pogodny dzień mimo lekkiego mrozu otwarte było południowe okno.

Idę już — powiedział brat Marek. — Niech brat spokojnie utnie sobie małą drzemkę, moje oczy są młodsze niż oczy brata.

Pamiętaj, by wziąć ze sobą kawałek jakiegoś materiału, a jeżeli znajdziesz buteleczkę, owiń ją luźno i staraj się jej nie dotykać. Muszę wiedzieć, jak olejek wypłynął i zasechł.

Brat Marek wrócił dopiero po południu, kiedy zaczynało zmierzchać. Do niesporów było jeszcze pół godziny, o tej porze jednak dalsze poszukiwanie tak małego przedmiotu na stromym trawiastym zboczu byłoby bezcelowe. Zimą dnie zaczynały się tak późno i kończyły tak szybko, jak życie uciekające po sześćdziesiątce.

Cadfael wziął brata Marka za słowo i przespał się po południu. Nigdzie nie mógł pójść, w chacie też nie miał nic do roboty. Przebudził się nagle, gdy pojawił się brat Marek i stanął przed nim uśmiechnięty.

— Niech brat nie śpi! Mam coś dla brata! — Powiedział to tonem dziecka, które chce wręczyć prezent ojcu na urodziny. — Udało mi się!

Coś starannie owiniętego w białe płótno zostało położone na podółku Cadfaela. Brat Marek delikatnie rozłożył fałdy tkaniny i ukazał zawartość gestem cichego triumfu. Oto leżała przed nim buteleczka z zielonkawego szkła, z jednej strony miała inne zabarwienie, ponieważ była pokryta żółtobrazowym osadem płynu, którego dość gęsta resztką przelewała się wolno w środku.

— Zapal lampkę! — zawołał Cadfael, biorąc płótno w obie dłonie, żeby je podnieść do oczu.

Brat Marek pracowicie zaczął pocierać krzesiwo o hubkę i wreszcie iskra zapaliła knot małej lampki oliwnej w glinianej miseczce, co jednak niewiele poprawiło widoczność. Zatyczką był mały kawałek drewna, owinięty kawałkiem wełny. Cadfael powąchał materiał po stronie pokrytej nalotem. Mróz panujący

na zewnątrz oziębził ciecz i zapach był słaby, jednak Cadfael rozpoznał go od razu. Na zewnętrznej stronie buteleczki widniała długa wąska smuga wyschniętego olejku.

Czy o to chodziło? Czy przyniosłem to, co brat chciał? — Młody zakonnik kręcił się po izbie zadowolony i niepewny.

Chłopcze, znalazłeś to! Ta buteleczka zawierała w sobie wyrok śmierci i spójrz, można ją schować w dłoni. Kiedy ją znalazłeś, leżała na boku? Zebrał się tam olejek i wysechł w środku? I na zewnątrz też... Została zakorkowana i spiesznie wyrzucona przez kogoś, kto miał ją przy sobie, a jeśli nawet nie ma na swoim ubraniu śladów po niej, to ta długa oleista smuga z cieknącej szyjki jest bardzo zdradziecka. A teraz siadaj i opowiedz, gdzie i jak ją znalazłeś, gdyż wiele od tego zależy. I czy umiałbyś ponownie znaleźć to miejsce?

Umiałbym, bo je zaznaczyłem. — Zarumieniony z radości, że się dobrze spisał, brat Marek usiadł obok Cadfaela. — Jak brat wie, przed każdym stojącym tam domem jest wąski pas ogrodu schodzący prawie do wody, w dole, nad brzegiem stawu, jest tylko wąska ścieżka. Trochę się bałem, bo nie miałem powodu, żeby iść przez te ogrody, a poza tym są one wąskie i strome. Nie byłoby trudno wyrzucić coś odpowiednio ciężkiego z domu wprost nad brzeg wody i dalej... nawet dla kobiety czy spieszącego się mężczyzny. Poszedłem więc najpierw ścieżką, tym odcinkiem, który jest w pobliżu okna kuchennego, otwartego, jak brat powiedział, tego właśnie dnia. Ale nie tam ją znalazłem.

Nie tam?

Nie, dalej. Teraz wokół stawu jest pas lodu, ale w środku woda nie zamarza. Znalazłem buteleczkę, kiedy już wracałem; po tym jak przeszukałem wszystkie krzewy i całą trawę wokoło, pomyślałem sobie, że trzeba spojrzeć na drugą stronę ścieżki, tę po stronie wody. I znalazłem ją, do połowy była w lodzie, który ją mocno chwycił. Wbiłem witekę leszczynową w ziemię na Wprost tego miejsca, a dziura, jaką nią wywierciłem, przetrwa aż do odwilży. Myślę, że buteleczka została wrzucona do stawu na tyle blisko, że nie mógł jej zabrać prąd wody z młyńa, a ponieważ był w niej korek, mogła pływać i gdy chwycił mróz, zepchnięta bliżej brzegu uwięzła w lodzie. Jednak, bracie Cadfaelu, nikt nie mógł jej wyrzucić przez kuchenne okno, gdyż była zbyt daleko od ścieżki.

Jesteś tego pewien? Czy ta odległość wydaje ci się zbyt duża?

Nie odległość, lecz kierunek. Leżała zbyt daleko na prawo, a tam jest pas gęstych zarośli. Gdyby ktoś wyrzucił ją z kuchennego okna, nie mogłaby leżeć tam, gdzie ją znalazłem. Jednak z okna drugiej izby

można było to zrobić. Czy brat pamięta, że tamto okno też było otwarte? W tej izbie, gdzie oni jedli obiad?

Cadfael przypomniał sobie scenę w domu, kiedy wyszła mu naprzeciw zrozpaczona Richildis i prowadziła go do sypialni. przeszli wtedy obok stołu w wielkim nieładzie, na którym stały trzy drewniane tace. Tak było, tak było! Okiennice były otwarte. gdyż do izby wpadało południowe słońce. Z tej to izby dotknięty do żywego Edwin wybiegł przez kuchnię, gdzie, jak sądzono, popełnił zbrodnię, a następnie pozbył się dowodu. Jednak ani przez chwilę nie był on sam w tej wewnętrznej izbie; po prostu w swej spiesznej ucieczce zniknął z pola widzenia domowników.

Czy wiesz, Marku, co to znaczy? Z tego, co mówisz. wynika, że buteleczka albo była wyrzucona przez okno w wewnętrznej izbie, albo ktoś idący ścieżką wrzucił ją do stawu. Żadnej z tych rzeczy Edwin nie mógł zrobić. Mógł, jak oni przypuszczają, zatrzymać się na chwilę w kuchni, ale z pewnością nie poszedł ścieżką nad stawem przed pójściem w stronę mostu, gdyż w takim razie Aelfric by go dogonił. Nie, wyprzedziłby go albo spotkał przy bramie! Także potem nie miał okazji w żadnym momencie pozbyć się tam buteleczki. Okropnie przygnębiony ukrył się i dopiero Edwy go znalazł; od tej pory ukrywali się razem, aż przyszli do mnie. Ten mały przedmiot świadczy o tym. że Edwin jest tak samo niewinny jak ty lub ja.

Lecz nie dowodzi, kto jest winowajcą — powiedział Marek.

Nie dowodzi. Jeśli jednak buteleczka była wyrzucona przez okno tej wewnętrznej izby, to zostało to uczynione długo po śmierci Bonela, ponieważ wątpię, by ktoś przebywał choć przez chwilę sam aż do przyjścia i odejścia sierżanta. I jeśli winowajca nosił ją przy sobie przez cały ten czas, tak źle zakorkowaną jak jest teraz, to ślady tego muszą być na jego ubraniu. Mógł ścierać płamę, lecz ten olejek nie daje się łatwo usunąć. A kto teraz może sobie pozwolić na wyrzucenie kaftana czy płaszcza? No tak, ślady będzie można jeszcze znaleźć.

A jeśli to był ktoś inny, nie domownik, kto popełnił ten czyn i wyrzucił buteleczkę na ścieżce? Przedtem brat się zastanawiał nad kucharzem i pomocnikami kuchennymi...

Powiedziałem tylko, że to nie jest niemożliwe. Ale czy tak było? Idący ścieżką człowiek mógł tak rzucić buteleczkę, żeby ją uniósł prąd i zatoneła w stawie, a jeśli by nawet nie zatoneła — przecież mógł nie

mieć czasu, żeby się upewnić, że tak się stało! — trafiłaby do strumienia i do rzeki. Ale, jak się sam przekonałeś, upadła blisko i czekała, żebyśmy ją znaleźli.

Co teraz musimy zrobić? — spytał ochoczo Marek.

Musimy iść na nieszpory, mój synu, bo w przeciwnym razie spóźnimy się. A jutro musimy zabrać ciebie i ten dowód do Beringara w Shrewsbury.

Ludzi świeckich na nieszporach bywało zwykle niewiele, ale zawsze ktoś był. Tego wieczoru przyszedł Martin Bellecote, żeby serdecznie podziękować Bogu, a potem Cadfaelowi, za szczęśliwy powrót syna. Kiedy nabożeństwo się skończyło, czekał w krążganku na pojawienie się zakonników. Na spotkanie Cadfaela wyszedł przy południowych drzwiach.

To bratu zawdzięczam, że chłopak jest w domu — powiedział — a nie siedzi w lochu zamkowym z racji swoich przewin.

Nie, nie mnie, gdyż ja nie mógłbym go zwolnić. To Hugh Beringar sprawił, że mógł wrócić do domu. I pamiętaj, niezależnie od tego, co się może jeszcze zdarzyć, na Beringarze można polegać; to uczciwy, mądry człowiek, który nie toleruje niesprawiedliwości. Ale jeśli się ma z nim do czynienia, zawsze należy mówić prawdę.

Bellecote uśmiechnął się niepewnie.

Prawdę tak, ale nie całą, nawet jemu, choć istotnie okazał się bardzo szlachetny wobec mojego chłopaka. Jednak dopóki ten drugi nie będzie tak bezpieczny jak Edwy, nie powiem, gdzie jest. Lecz bratu...

Nie — przerwał mu szybko Cadfael — nic nie mów, wkrótce, mam nadzieję, nie będzie musiał się ukrywać. Ale teraz jeszcze nie pora. Czy wszystko w porządku w twojej rodzinie? A Edwy dobrze się sprawuje?

Bardzo dobrze. Cała ta awantura skończyła się na kilku zadrapaniach i sińcach. Ale z jego własnej winy. Na pewien czas schował rogi. Jeszcze nigdy nie był tak spokojny i przyznam, że wyszło mu to na dobre. Pracuje teraz z wielkim zapałem, większym niż zazwyczaj. Nie chodzi o to, że mamy nadmiar pracy, bo święta blisko, lecz brak mi Edwina, a Meurig wyjechał, żeby Boże Narodzenie spędzić ze swymi krewnymi, tak że mam czym zająć tego mojego łobuziaka.

A więc Meurig wyjechał do rodziny?

Zawsze wyjeżdża na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Niedaleko

granicy ma krewnych i wuja. Wróci pod koniec grudnia. Meurig jest bardzo przywiązany do swej rodziny.

Tak, powiedział to tego dnia, kiedy Cadfael po raz pierwszy go spotkał: „To rodzina mojej matki, trzymam się z nimi. Mój ojciec nie był Walijczykiem”. Oczywiście rzecz, że chciał wrócić do domu na święta.

Niech w sercach naszych zapanuje pokój z powodu narodzin Pana! — powiedział Cadfael przejęty radością, której powodem było odnalezienie małej buteleczki, leżącej teraz na półce w jego chacie.

Amen, bracie! A ja i moi domownicy dziękujemy ci za pomoc. Gdybyś ty jej kiedykolwiek potrzebował, zawsze możesz na nas liczyć.

Martin Bellecote wrócił do swego warsztatu, rad ze spełnionego obowiązku, a brat Cadfael i Marek, którzy poszli na wieczerzę, mieli dopiero spełnić pewien obowiązek.

Wczesnym rankiem pójdę do miasta — szepnął brat Marek Cadfaelowi do ucha, gdy po wieczerzy siedzieli obaj w kącie kapitułarza, słuchając kulawej łaciny brata Franciszka, który czytał jakąś lekturę. — Jak opuszczę prymę, to najwyżej zostanę ukarany, i cóż z tego?

Nie opuścisz — odszepnął brat Cadfael. — Najpierw zjesz obiad, potem masz wolny czas na własną pracę, a będzie to naprawdę odpowiedzialna praca. Nie pozwolę ci lekceważyć żadnego przepisu naszej reguły.

Czegoś takiego nigdy byś nie zrobił, bracie Cadfaelu! — szepnął Marek, a jego szczerą nieśmiałą twarz rozjaśniła się uśmiechem, zupełnie takim jak Edwina czy Edwy'ego.

Mógłbyś to uczynić tylko w sprawie życia albo śmierci. I to mnie by obciążało! Ty nie jesteś mną i nie powinieneś naśladować moich błędów. Wszystko jedno, czy to będzie po obiedzie czy przed — dodał pocieszająco. — Spytasz o Hugh Beringara — nikogo innego, zapamiętaj sobie, nikomu tak nie ufam jak jemu. Poproś go, żeby poszedł z tobą, i pokaż, gdzie znalazłeś buteleczkę, a jestem pewien, że Edwin wkrótce będzie mógł wrócić do swojej rodziny.

Niestety, ich plany obróciły się wniwecz. Następnego dnia podczas kapituły wszystko się zmieniło.

Kiedy załatwiono drobniejsze sprawy, wstał brat Ryszard, zastępca przeora, i oświadczył, że musi powiedzieć o czymś bardzo ważnym.

— Brat szafarz dostał wiadomość z naszej owczarni pod Rhydycroesau, koło Oswestry. Świeckiemu bratu Barnabie padło coś na piersi i ma gorączkę, tak więc brat Szymon sam musi się zająć całym stadem. A co gorsza, wątpliwe jest, czy potrafiłby skutecznie wyleczyć chorego brata, dlatego prosi, jeśli to możliwe, o przybycie kogoś posiadającego odpowiednią wiedzę, żeby mu pomógł.

Zawsze uważałem — powiedział przeor Robert, marszcząc brwi — że dwóch braci w Rhydycroesau to za mało. Na tamtejszych wzgórzach mamy dwieście owiec, a miejsce to jest bardzo odległe. Ale jak udało się bratu Szymonowi przesłać tę wiadomość, skoro tylko on jeden został, żeby doglądać wszystkiego?

Skorzystał z pomyślnego zbiegu okoliczności, że nasz zarządca sprawuje teraz pieczę nad majątkiem Mallilie. To chyba zaledwie kilka mil od Rhydycroesau. Brat Szymon pojechał tam konno i poprosił, żeby przekazać nam tę wiadomość, i natychmiast został wysłany chłopak stajenny. Nie stracimy czasu, jeśli dziś wyślemy pomoc.

Słyszając o Mallilie, przeor nastawił uszu. Również Cadfael został wyrwany ze swych rozmyślań, gdyż miało to tak bliski związek z problemami, nad którymi się zastanawiał. Tak więc Mallilie znajdowało się zaledwie o kilka mil od owczarni opactwa w Rhydycroesau! Nigdy nie zastanawiał się nad tym, że położenie tego majątku może mieć jakieś znaczenie, i to nagłe olśnienie wywołało lawinę myśli.

Tak, oczywiście musimy to zrobić — odparł Robert i prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że wysłanie w tej misji najbardziej uzdolnionego w opactwie zielarza i aptekarza odsunęłoby go nie tylko od wszelkich kontaktów z wdową Bonel, ale uniemożliwiłoby ustawiczne mieszanie się w nieszczęsne wypadki, które przyczyniły się do jej wdowieństwa. Przeor odwrócił swoją srebrzystą dumną głowę i spojrzał prosto na brata Cadfaela. czego na ogół wolał nie robić. Podobne myśli przemknęły przez głowę Cadfaela. Nic lepszego sam nie mógłby wymyślić. Teraz Marek jemu zostawi załatwienie sprawy i pozostanie tutaj bez winy.

Bracie Cadfaelu, to będzie twoim obowiązkiem, ponieważ obeznany jesteś z medycyną. Czy możesz od razu odpowiednio

przygotować się do odwiedzin u naszego chorego brata? — Mogę i zrobić to — odparł brat Cadfael ochoczo, tak że przez chwilę przeor Robert zaczął wątpić, czy naprawdę postąpił roztropnie. Dlaczego ten człowiek był tak zadowolony, mając

przed sobą długą zimową jazdę konną, a w perspektywie pracę zarówno lekarza, jak i pasterza? Czemu tak uporczywie pakował tutaj swój nos w sprawy rodziny Bonelów? Jednak odległość

dawała odpowiednią gwarancję, z Rhydycroesau nie będzie mógł się w nic wtrącać.

— Sądzę, że nie potrwa to bardzo długo. My tutaj będziemy się modlić za zdrowie i pomyślność brata Barnaby. Będziesz mógł, bracie, w razie potrzeby przesłać nam wiadomość przez chłopców stajennych z Mallilie. A czy twój młody pomocnik

Marek potrafi zająć się podczas twojej nieobecności pomniejszymi dolegliwościami? W razie poważnej choroby wezwiemy medyka.

Brat Marek jest zdolny i oddany swej pracy — odparł Cadfael niemal z ojcowską dumą. — I całkowicie można mu zaufać; gdyby bowiem uważał, że potrzebna mu jest rada kogoś bardziej doświadczonego, poprosi o nią z całą skromnością. Zaopatrzone jest dobrze we wszystkie leki, które o tej porze roku są najbardziej potrzebne. Zrobiliśmy zapasy na wszelkie zimowe dolegliwości.

To dobrze. Wobec tego możesz opuścić kapitułę i przygotować się do podróży. Weź dobrego muła ze stajni i zapas żywności na drogę, pamiętaj, by zabrać leki na chorobę, jaka najwyraźniej dokucza bratu Barnabie. Jeśli jest ktoś w infirmerii, kogo powinienes przed swym wyjazdem odwiedzić, zrób to. Przyślemy ci brata Marka, żebyś udzielił mu rad przed wyjazdem.

Brat Cadfael wyszedł z kapitułarza, zostawiając braciom rozważanie codziennych spraw. Bóg jednak patrzy na nas, pomyślał, wchodząc z radością do swej chaty i biorąc z półek potrzebne leki na gardło, piersi, głowę, maść do nacierania pleców, gęsi tłuszcz i mocne zioła. Reszta to ciepło, opieka i dobre odżywianie. Mieli w Rhydycroesau kury i własną, dobrą mleczną krowę, karmioną przez całą zimę. Ostatnia rzecz, jaką miał zrobić, to zanieść do Shrewsbury małą owiniętą w płótno flaszeczkę.

Nagle do chaty wpadł zdyszany brat Marek, odesłany do Cadfaela z prowadzonej przez brata Pawła lekcji łaciny.

Powiadają, że brat wyjeżdża, a ja mam brata tu zastąpić. Och, Cadfaelu, jakże ja sobie dam radę bez ciebie? A co z Beringarem i tym dowodem, jaki mamy dla niego?

Zostaw to teraz mnie — powiedział Cadfael. — Do Rhydycroesau muszę jechać przez miasto i załatwię to sam. Pamiętaj tylko o tym, czego się ode mnie nauczyłeś, a ja przez cały czas będę tu obecny duchem. Kiedy będziesz mieć wątpliwości, wyobraź sobie, że jestem przy tobie, a znajdziesz odpowiedź. — W jednym ręku trzymał słoiczek z maścią, drugą poklepał z roztargnioną czułością młodego zakonnika po jego gładkiej tonsurze, otoczonej gęstymi sztywnymi włosami koloru słomy. — Jadę na krótko, brat Barnaba szybko stanie na nogi. I posłuchaj, drogie dziecko: jak się dowiedziałem, majątek Mallilie jest niedaleko od miejsca, gdzie będę przebywać, i wydaje mi się, że odpowiedź na to, czego chcemy się dowiedzieć, może się znajdować tam, a nie tu.

Tak brat sądzi? — spytał z nadzieją w głosie Marek, zapominając o swoich obawach.

Tak sądzę i mam pewną myśl... może tylko przebłysk myśli, która mi przyszła do głowy podczas kapituły... A teraz weź się do roboty! Idź i znajdź mi w stajniach dobrego muła. i przypilnuj, żeby w jukach były wszystkie moje rzeczy. Nim wyjadę, muszę jeszcze pójść do infirmerii.

Brat Rhys siedział na swoim uprzywilejowanym miejscu w fotelu przed kominkiem, zadowolony, na pół drzemiać, ale gotów szybko otworzyć oczy, jeśli coś się wokół niego działo. Z radością przyjął gościa i rozjaśnił się, jakby nawet ożywiony, kiedy Cadfael powiedział mu, że jedzie na północny zachód, do owczarni w Rhydycroesau.

Przecież to rodzinne strony brata! Czy mam przekazać komuś pozdrowienia? Z pewnością są tam krewni brata, chyba trzy pokolenia.

Pewno, że są! — Brat Rhys ukazał bezzębne dziąsła w rozmarzonym uśmiechu. — Gdyby się bratu udało spotkać mego kuzyna Cynfritha ap Rhysa albo jego brata Owaina, proszę im przekazać moje błogosławieństwo. O, dużo jest moich w tamtych stronach. Spytaj o siostrzenicę Angharad, córkę mojej siostry Marared — najmłodszej siostry, tej, która wyszła za mąż za Ifora ap Morgana.

Chyba Ifor już zmarł, jeśli jednak żyje, to pozdrów go ode mnie i powiedz, że o nim pamiętam. Ta dziewczyna powinna przyjść tu i odwiedzić mnie, teraz kiedy jej chłopak pracuje w mieście. Pamiętam ją jako malutką dziewczynkę, nie większą niż kwiatusek, a jaka ładna była...

Angharad to ta dziewczyna, która jako służąca poszła do pracy u Bonela w Mallilie? — spytał Cadfael spokojnie, lecz z naciskiem.

Tak, to ona, szkoda, że to zrobiła! Ci Saksonowie byli tam od wielu lat. Z czasem można się przyzwyczaić do rodzin cudzoziemców. Ale oni nigdy nie wrastają w nasze życie. Mallilie to cierń wbity w Cynllaith. Głęboko wbity, nie wyrwany, choć to się może zdarzyć jeszcze któregoś dnia. Prawie wcale nie dotyka ziemi Saksonów, i tylko pazurami...

Taka jest prawda! — powiedział Cadfael. — A więc mówiąc uczciwie, Mallilie, choć było w rękach Anglików od trzech pokoleń, leży właściwie w Walii?

Jest tak walijskie jak nasza święta góra Snowdon — odparł brat Rhys z dawnym patriotycznym zapałem. — I całe sąsiedztwo to Walijszczy, i większość dzierżawców. Urodziłem się na zachód od tego majątku, niedaleko kościoła w Llansilin, który znajduje się w środku okręgu Cynllaith. To ziemia walijska od początku świata!

Ziemia walijska! Prawdy tej nie zmieni fakt, że kiedyś, za panowania Wilhelma Rudego, jeden z Bonelów wysforował się naprzód, dostał dużo akrów i otrzymał tę własność pod patronatem earla Chester. Czemu przedtem nigdy nie przyszło mi do głowy, pomyślał Cadfael, żeby spytać, gdzie leży ten nieszczęsny majątek?

Czy Cynllaith mianowało walijskich sędziów mających postępować zgodnie z kodeksem Hywela Dda¹, a nie normańskiej Anglii?

Właśnie tak było. Porządny sąd okręgu, taki jak w Walii! Bonelowie w swoim czasie rozsądzały spory graniczne oraz inne według takiego prawa, jakie im najlepiej pasowało do ich celów, walijskie albo

¹ * Hywel Dda (zm. 950!) — władca południowej Walii, uważany za twórcę jednolitego kodeksu prawnego Walii średniowiecznej, cennego źródła historycznego. Jednak rządy jego są na poły legendarne, (przyp. tłum.)

angielskie, co za różnica, liczyło się tylko jedno, żeby na tym zyskać. Jednak ludzie tamtejsi przede wszystkim opierali się na swoim walijskim kodeksie i świadectwie sąsiadów, bo uważali to za właściwy sposób załatwiania sporów. Sprawiedliwy sposób! — dodał brat Rhys z przejęciem i pokiwał głową do Cadfaela. — Ale po co ta cała rozmowa o sprawiedliwości bracie? Czy sam chcesz wszcząć proces? — I zachichotał na samą myśl o tym, ukazując wilgotne różowe dziąsła.

Nie — odparł Cadfael, wstając — ale wydaje mi się, że ktoś, kogo znam, zamierza to uczynić.

Kiedy wyszedł z infirmerii bardzo zamyślony, na wielkim podwórzu nagle ukazało się zimowe słońce i uderzyło go prosto w oczy, oślepiając na chwilę. A największym paradoksem w tym wszystkim było to, że w tym momencie oślepienia nareszcie wyraźnie ujrzał swoją drogę.

Rozdział 8

Wielką miał ochotę zjechać w bok od rzeki Wyle, żeby porozmawiać z Martinem Bellecote'em i na własne oczy przekonać się, czy jego rodzina nie jest prześladowana. Ale nie uczynił tego, częściowo gdyż miał ważniejszą sprawę do załatwienia, częściowo zaś dlatego, że nie chciał zwracać niczyjej uwagi na ten dom i jego mieszkańców. Hugh Beringar był wyjątkowym człowiekiem, samodzielnie myślącym, kierującym się wyłącznie sprawiedliwością, jednak ludzie szeryfa byli całkiem innego pokroju, ślepo słuchali Gilberta Prestcote'a, co rozumiało, ponieważ był on oficjalnym przedstawicielem władzy króla Stefana w tej części kraju, a sprawiedliwość Prestcote'a była surowa, krótkowzroczna, zmierzająca do szybkich i bezkonfliktowych rozwiązań. Prestcote mógł przebywać w odległym Westminsterze, Beringar mógł być formalnie odpowiedzialny za wszystko, ale sierżanci oraz ich ludzie postępowali zawsze wedle utartego schematu, szukając najbardziej oczywistego sprawcy przestępstwa. Jeśli warsztat Bellecote'a byłby pod obserwacją, Cadfael nie chciał dawać żadnych podstaw do podejrzeń. Jeśli nie był,

tym lepiej, posłuchano rozkazów Hugh.

Tak więc Cadfael jechał statecznie na mule wzdłuż rzeki Wyle i koło podwórza Bellecote'a, nawet nie spoglądając w tamtym kierunku, a potem przez miasto. Jego droga prowadziła na północny zachód przez most wiodący w kierunku Walii, po czym wspiął się na wzgórze do High Cross, skąd droga schodziła lekko w dół, by po chwili wspiąć się do bramy zamkowej.

Załoga króla Stefana, która tu objęła służbę latem po oblężeniu, nie miała właściwie żadnych kłopotów, choć była oczywiście czujna. Cadfael na podjeździe zsiadł z muła, którego zaprowadził groblą w cień bramy. Strażnik czekał na niego spokojnie.

Dzień dobry bratu! O co chodzi?

Chciałbym zamienić parę słów z Hugh Beringarem z Maesbury — odparł zakonnik. — Proszę mu powiedzieć, że brat Cadfael o to prosi, a jestem pewien, że poświęci mi trochę czasu.

Niestety, Hugh Beringar jest nieobecny w zamku i wróci dopiero o zmroku, gdyż pojechał czegoś szukać w dolnym biegu rzeki z Madogiem, Poszukiwaczem Topielców.

Ta wiadomość z jednej strony ucieszyła Cadfaela, z drugiej zaś zmartwiła. Byłoby jednak lepiej, gdyby buteleczkę zostawił Markowi, który złożyłby drugą wizytę, kiedy ta pierwsza okazała się bezowocna. Znalazł się w sytuacji, którą powinien był przewidzieć. Hugh nie tracił czasu, żeby rozpocząć poszukiwanie relikwiarza Edwina i, co ważniejsze, sam postanowił wziąć w tym udział, nie zdając się na podwładnych. Dłużej jednak nie mógł zwlekać; brat Barnaba leżał chory i jego, Cadfaela, zadaniem było zaopiekować się nim jak najspieszniej. Jeszcze chwilę zastanawiał się, czy powierzyć cenny dowód strażnikowi, czy też go zatrzymać, dopóki nie będzie mógł osobiście wręczyć go Berin-garowi. Ostatecznie Edwin był nadal gdzieś na wolności i nic groziło mu bezpośrednio niebezpieczeństwo.

— Jeśli brat przyszedł w sprawie tego otrucia — powiedział strażnik, chcąc mu się przysłużyć — to może porozmawiać z sierżantem, który teraz pełni służbę. Słyszałem, że dziwne rzeczy działy się w opactwie. Będziecie tam radzi, kiedy znów zapanuje spokój i ten łobuz zostanie pojmany. Niech brat wejdzie do środka, przywiąże muła i pošle kogoś, żeby zawiadomił Williama Wardena, że brat tu jest.

No cóż, w każdym razie nic złego nie wyniknie, jeśli się przekona, jak działa zastępca Beringara. Cadfael czekał w kamiennym przedsionku strażnicy, nie wyjął jednak ze swej sakwy buteleczki, wahając się z podjęciem decyzji. Ale już na pierwszy rzut oka, kiedy sierżant wszedł, wiedział, że pozostanie ona, w ukryciu. Był to ten sam człowiek, który pierwszy przybył na '!; wezwanie przeora do domu Bonela, brodaty, muskularny, z orlim nosem, bardzo zarozumiały i pozbawiony wątpliwości, kiedy wpadł na pewny, jak mu się zdawało, trop. On też od razu rozpoznał Cadfaela; duże białe zęby błysnęły w pogardliwym uśmiechu.

To znów brat? Pewno brat ma nowe dowody, które świadczą, że ten smarkacz Gurney jest niewinny? Chciałby brat, żebyśmy mieli świadka, który na własne oczy widział, jak on to robi? Brat przyszedł tu pewno po to, żeby nam znów sypnąć piaskiem w oczy, a winowajca ucieka sobie do Walii, co?

Przyszedłem zapytać, czy nie wyszło na jaw coś nowego — odparł nie całkiem zgodnie z prawdą Cadfael — co dotyczy tego, o czym powiadomiłem Hugh Beringara.

Nic nie wyszło na jaw i nie wyjdzie. A więc to brat skłonił go, by podjął to bezcelowe poszukiwanie w dole rzeki! Powinienem być się domyśleć! Sprytny młody hultaj opowiada nieprawdopodobną bajeczkę, a brat w to wierzy i na dodatek wprowadza w błąd ważniejszych od siebie. Co za nonsens, skłonić ludzi, żeby w takie zimno wiosłowali tam i z powrotem po rzece i szukali relikwiarza, którego nigdy nie było! Brat wiele ma na sumieniu!

Z pewnością mam — zgodził się spokojnie Cadfael. — Wszyscy wiele mamy na sumieniu, wy także, sierżancie. Ale szukanie prawdy i sprawiedliwe postępowanie jest obowiązkiem Beringara, tak samo jak waszym, sierżancie, i moim. A ja staram się czynić to jak najlepiej, bo się powstrzymuję od chwytania tego, co się nawinie pod rękę i co jest najłatwiejsze, i nie zamykam oczu na wszystko inne po to, by oszczędzić sobie wysiłku i mieć święty spokój. Niestety, wydaje mi się, że niepotrzebnie trudziłem was, sierżancie. Ale proszę powiadomić Hugh Beringara, że byłem tu i pytałem o niego.

Spojrzał bacznie na sierżanta, wątpiąc jednak, czy nawet ta prośba zostanie spełniona. Nie, nie można było zostawić tak poważnego dowodu, który wskazywał, że śledztwo poszło w złym kierunku,

człowiekowi tak pewnemu swej nieomyślności, że potrafiłyby nagiąć fakty i okoliczności, byle tylko potwierdziły jego zdanie. Nie ma rady, butelecarka musi jechać do Rhydycroesau i czekać do czasu, kiedy brat Barnaba wróci do zdrowia i znów zajmie się swoimi owcami.

— Wiem, że brat ma dobre intencje — powiedział z nieoczekiwaną wielkodusznością William — ale zamknięty w klasztorze daleki jest od takich spraw jak ta. Lepiej niech brat zostawi je tym, którzy mają doświadczenie.

Cadfael wyszedł bez dalszej dyskusji, wsiadł na muła i wrócił przez miasto do stóp wzgórza, gdzie ulica skręcała w prawo i prowadziła do zachodniego mostu. Ostatecznie nic straconego. Beringar poszedł podsunętym sobie śladem. On sam teraz musiał zastanowić się nad podróżą, która go czekała, i dopóki nic wyleczy brata Barnaby, odłożyć na bok sprawy Richildis i jej syna.

Trakt wiodący z Shrewsbury do Oswestry, jedna / głównych dróg tego regionu, był całkiem dobrze utrzymany. Zrobili go dawno temu Rzymianie, kiedy panowali nad Brytanią; ten sam trakt biegł na południowy wschód do Londynu, gdzie król Stefan zamierzał obchodzić Boże Narodzenie ze swymi wasalami, a kardynał Alberic z Ostii jako legat papieski przewodniczyć miał naradzie nad reformą Kościoła, zapewne ku niezadowoleniu opata Heriberta. Wiodąca w przeciwną stronę droga była szeroka i prosta, gdzieniegdzie tylko porośnięta trawą. Biegła przez dostatni rolniczy kraj i lasy do Oswestry, dokąd było nie więcej niż osiemnaście mil. Cadfael odbył tę drogę dość szybko, na tyle spokojnie, żeby nic zmęczyć zbytnio muła. Od miasta do owczarni były cztery mile. Kiedy tak jechał w gasnącym świetle dnia, widział przed sobą wznoszące się błękitne, szlachetne wzgórza Walii i wielki grzbiet Berwyn, wtapiający się w zamglone niebo.

Do małej pustej stodoły w zagłębieniu między wzgórzami dotarł przed zapadnięciem zmroku. Nicco dalej znajdowała się

niska, solidnie zbudowana chata, w której mieszkali obaj bracia, a za nią obszerne stajnie i obory, gdzie stado mogło znaleźć schronienie przed mrozem i śniegiem; jeszcze dalej na łagodnie zbieżną się szare kamienne murki, dzielące poszczególne pastwiska, na których

wciąż pasły się owce. Te najmocniejsze były jeszcze wysoko na wzgórzach, gdyż jak dotąd początek zimy był raczej łagodny, a gdyby zabrakło trawy i rżysk, dożywiano by je korzonkami i ziarnem. Pies brata Szymona zaczął szczekać, wyczuwając bardziej niż słysząc odgłos podków, które w ogóle nie sprawiały hałasu na porosłej murawą wąskiej drodze.

Kiedy Cadfael zsiadł z muła przy drzwiach chaty, wyszedł mu naprzeciw Szymon, witając go z radością. Był to chudy, żylasty, zaniedbany człowiek, mający około czterdziestki, bezradny jak dziecko, ilekroć pojawiały się kłopoty nie mające nic wspólnego z owcami. Owce znał jak matka zna swoje dzieci, a choroba brata. Barnaby zupełnie wytrąciła go z równowagi. Uścisnął mocno ręce Cadfaela i potrząsał nimi długo, wdzięczny, że już nie będzie musiał sam zajmować się pacjentem.

On jest ciężko chory, Cadfaelu, rzezi mu okropnie w płucach, kiedy oddycha, przypomina to chrzęst liści, kiedy się idzie przez las jesienią. Staralem się go wyleczyć, dając mu na poty, ale...

Teraz ja się wszystkim zajmę — pocieszył go Cadfael i wszedł do ciemnej pachnącej drewnem chaty. W środku było na szczęście sucho i ciepło; płonący ogień zawsze jest najlepszą tarczą przed złą pogodą. Umeblowanie izby było proste, ale wystarczające. W drugiej izbie leżał na swoim pościeli brat Barnaba, ni to śpiąc, ni to czuwając, i oddychał przy tym tak, jak to opisał przedtem brat Szymon, rżąc przy każdym oddechu, czoło miał gorące i suche, oczy na pół otwarte, nieobecne. Był to wielki, mocno zbudowany mężczyzna, mający w sobie niespożyte zapasy energii, które teraz trzeba było uruchomić.

Idź, bracie, do swojej roboty — powiedział Cadfael, w nogach łóżka rozwiązując swą podróżną sakwę — i zostaw mnie.

Czy mógłbym w czymś pomóc? — spytał Szymon niespokojnie.

Nastaw garnek wody na ogniu i naszykuj jeszcze jeden ciepły koc, to wszystko. Resztę sam znajdę.

Na szczęście brat Szymon go posłuchał, od razu pewien, że potrafi dokonać niezwykłych rzeczy. A brat Cadfael bez pośpiechu dokonywał ich, kurując brata Barnabę przez cały wieczór przy jednej świecy, którą brat Szymon przyniósł, gdy się ściemniło. Gorący kamień owinięty we flanelę na stopy chorego, długie, energiczne nacieranie klatki piersiowej, szyi i pleców aż do pasa tłuszczem gęsim zmieszany z

gorczycą oraz innymi rozgrzewającymi ziołami, zimne okłady na rozpalone czoło i napój z grzanego wina z dodatkiem korzeni, ogórecznika oraz innych przeciwgorączkowych składników. Napój podziałał, ułatwiając oddychanie i kojąc ból w mięśniach. Pacjent spał niespokojnie, ale w środku nocy zaczął się pocić, pot płynął obficie, aż pościel była mokra. Kiedy najgorsze minęło, dwaj troskliwi pielęgniarze unieśli pacjenta, wyciągnęli spod niego prześcieradło i podłożyli świeże, owinęli go szczelnie w drugie i ciepło okryli.

— Idź spać — powiedział zadowolony Cadfael do Szymona. — Barnabie się polepszyło. O świcie obudzi się bardzo głodny.

Co do tego pomylił się o wiele godzin, gdyż brat Barnaba, kiedy zapadł w głęboki spokojny sen, obudził się dopiero następnego dnia w południe; wzrok miał jasny, oddychał spokojnie, lecz był słaby jak nowo narodzone jagnię.

— Nie martw się tym — powiedział wesoło Cadfael. — Nawet gdybyś już chodził, nie wypuścilibyśmy cię na dwór przez parę dni albo i dłużej. Masz mnóstwo czasu na próżnowanie. My dwaj doskonale sobie poradzimy z twoim stadem.

Brat Barnaba, kiedy się lepiej poczuł, rad był, że może go wziąć za słowo i cieszył się rekonwalescencją. Z początku jadł niewiele, ponieważ na skutek gorączki stracił smak, ale potem, gdy mu wrócił, apetyt przekształcił się w wilczy głód.

— Najlepszy znak, jaki można mieć — powiedział Cadfael — to kiedy człowiek je chętnie i z przyjemnością, gdyż jest to oznaka powrotu do zdrowia.

I wyszli, zostawiając pacjenta, by znów spał, z takim samym zapalem, jak jadł, i poszli do owiec, kur i krowy, słowem do wszelkich zwierząt w owczarni.

— Lekka zima jak dotąd — stwierdził brat Szymon, spoglądając z zadowoleniem na swoje długonogie, mocne, górskie owce. Owce, tak samo walijskie jak brat Cadfael, patrzyły na południowy zachód, gdzie w oddali majaczyła rozległa grań Berwyn; miały długie, dumne pyski, ostre uszy i mądre, żółte

oczy, które każdego potrafiły przeniknąć. — Nadal mają dużo paszy do skubania — mówił dalej — bo trawa jeszcze teraz rośnie, a po łąkach zostały dobre rżyska. Mamy też nać buraczaną, to całkiem dobra pasza. Jak przyjdzie pora strzyżenia, będą miały lepsze runo niż

w poprzednich latach, chyba że zima będzie surowa.

Ze szczytu wzgórza ponad kamiennymi murkami pastwisk Cadfael spojrział na południowy zachód, gdzie długi grzbiet opa-dał w kierunku niziny pomiędzy wzgórzami.

— Majątek Mallilie jest chyba gdzieś w tamtym kierunku?

— Tak. Trzy mile stąd, łatwą drogą, dom mieszkalny wciśnięty jest między wzgórza, a pola leżą na południowym wschodzie. Jak na te strony, mają dobrą ziemię. I najważniejsze, że był tam nasz zarządca, kiedy należało przesłać wiadomość do opactwa. Czy brat ma tam coś do załatwienia?

— Kiedy Barnaba wróci do zdrowia i nie będę tu potrzebny przez cały dzień, pojadę tam, muszę coś sprawdzić. — Odwrócił się i spojrział znów na wschód. — Nawet stąd musi być dobra mila albo i więcej do starej granicznej grobli. Nigdy tu przedtem nie byłem, bo nie jestem owczarzem. Pochodzę z Gwynedd, z dalekiego krańca okręgu Conwy. Ale nawet te wzgórza są dla mnie swojskie.

Majątek Gerwazego Bonela musi leżeć gdzieś dalej, sięgając w głąb walijskiej ziemi, nawet dalej niż te wysoko leżące pastwiska. W Walii benedyktyni mieli niewielkie posiadłości, ludzie tutejsi woleli swoje własne, prastare, celtyckie chrześcijaństwo. samotnych pustelników-świątłych i małe skupiska celtyckich mnichów od energicznych, zapatrzonych w Rzym zgromadzeń. Na południu świeccy normańscy awanturnicy zapuszczali się daleko. lecz tutaj Mallilie musiało, jak to powiedział brat Rhys, tkwić jak samotny cień mocno wbity w ciało Walii.

Niedługo to przejażdżka do Mallilie — powiedział brat Szymon, bardzo chcąc okazać się pomocny. — Nasz tutejszy koń, choć nieco stary, jest silny i na ogół niewiele ma do roboty. Obejdę się bez niego, jeśli brat chciałby tam jutro pojechać.

Najpierw zobaczymy, jak brat Barnaba będzie się jutro czuł — odparł Cadfael.

A brat Barnaba czuł się coraz lepiej, ponieważ gorączka całkowicie go opuściła. Przed wieczorem miał już dosyć leżenia w łóżku, wstał i na trzęsących się nogach próbował chodzić po izbie. Wrodzona siła i dzielne serce były mu teraz najbardziej przydatne, łykał jednak

posłusznie to, co w niego wmuszał Cadfael, i zgodził się, by mu jeszcze raz nasmarować piersi i szyję maścią.

— Niech brat już się o mnie nie troszczy — powiedział — wkrótce będę zdrow jak ryba. I gdybym nie mógł pójść na wzgórze za dzień lub dwa — choć na pewno bym mógł, gdyby mi brat tylko pozwolił — to będę doglądać domu i krowy.

Następnego dnia rano wstał, żeby razem z nimi odmówić prymę, i nie chciał wrócić do łóżka, dopiero kiedy na niego nakrzyczeli, zgodził się siedzieć spokojnie przy ogniu i najwyżej upiec chleb i zrobić obiad.

— No to ja pojedę — rzekł Cadfael — jeśli ty, Szymonie, dasz sobie beze mnie radę. Jak wyruszę od razu, to zdążę za dnia tam i z powrotem i wrócę na wieczorny obrządek.

Brat Szymon odprowadził go do rozstajnych dróg i pokazał kierunek. Kiedy minie wioskę Croesau Bach i skęci w prawo, to zobaczy, jak wzgórze przed nim się rozstapia; jadąc prosto przez te rozpadlinę, dotrze do Mallilie, za którym droga idzie ciągle na zachód do Llansilin, głównej siedziby okręgu Cynllaith. Poranek był nieco mglisty, ale słońce przebijało się coraz wyraźniej, wilgotną darń srebrzył topniejący już szron. Zdecydował się jechać konno, gdyż muł zmęczył się jazdą na północ i musiał wypocząć. Koń, zwykły gniadosz, miał łagodne usposobienie i dzielne serce, był też chętny do wysiłku. Przyjemnie było jechać samotnie po elastycznej darni w piękny zimowy poranek, wśród wzgórz, które tak bardzo przypominały młodość, nie mając żadnych obowiązków, nie rozmawiając z nikim, chyba że czasem pozdrowiał jakąś kobietę rąbiącą na swoim podwórku drzazgi na rozpałkę albo człowieka pędzącego owce na pastwisko, i nawet to sprawiało mu wielką radość, gdyż przekonał się, że całkiem odruchowo wita spotkanych po walijsku. Gospodarstwa były tu rozrzucone i było ich mało, aż wreszcie, kiedy przejechał przez Croesau, droga zaczęła opadać w dół, ziemia tu była bardziej żyzna, a granice uprawnych pól wskazywały, że znalazł się na terenie należącym do Mallilie. Po prawej stronie wyskoczył płynący wartko strumień i towarzyszył mu aż do tej rozpadliny, gdzie zbiega wzgórze po obu stronach zbliżały się coraz bardziej do siebie. Po przejechaniu mili napotkał małą rzeczkę; nad jej brzegami rozciągały się płaskie równinne łąki, a za nimi ciemne wąskie pasma zoranej ziemi. W wyższych partiach wzgórz rosły drzewa, zwrócona na południowy wschód dolina skąpana była w porannym

słońcu, zabudowania majątku były dobrze osłonięte, słowem, trafnie wybrane miejsce. W głębi wąwozu, cofnięty głęboko w fałd zbrocza po jego prawej stronie i otoczony półkolem lasu, wznosił się okazały dwór.

Otaczała go palisada z bali, masywna i wysoka, ale dom stał na wzniesieniu i nad nią górował. Zbudowany z miejscowych kamieni, szarych jak granit, miał wielki długi dach z łupku, lśniący w słońcu niby rybia łuska, gdyż szron zmieniał się w rosę. Kiedy Cadfael przejechał przez rzekę mostem z grubych desek i znalazł się w otwartej bramie palisady, miał przed sobą dwór w całej jego okazałości, wysokie kamienne schody prowadziły do głównych drzwi mieszkalnej, wyższej części po lewej stronie. Na poziomie ziemi były trzy bramy na tyle szerokie, by mogły przez nie wjeżdżać wiejskie wozy, najwyraźniej prowadziły one do sklepionego podziemia, gdzie trzymano zapasy na wypadek oblężenia. Sądząc po oknach w szczytowej ścianie, była tam mała izba nad kuchnią. Duże okna holu i paradyzowej izby były obłożone kamieniami. Wokół wewnętrznej części palisady znajdowały się duże przybudówki, stajnie i spichrze. Normañscy panowie, samo-zwańczy spadkobiercy, benedyktyńskie opactwa, wszyscy oni mogli tylko pozazdrościć takiego majątku. Richildis istotnie wyszła za mąż ponad swój stan.

Do Cadfaela bez słowa podszedł stajenny, żeby wziąć od niego wodze, uważając, że nie należy zadawać pytań człowiekowi w benedyktyńskim habitcie. Ruch na podwórzu był niewielki, ale ci nieliczni krzatali się sprawnie, a dom, choć imponujący, zapewne nie potrzebował zbyt dużej obsługi. Służba tutejsza to z pewnością ludzie Bonela, którzy nadal pracują pod nowym zarządcą, i z pewnością miejscowi, a więc Walijszczy, jak ta służąca, która rozgrzewała łóżko swemu panu i urodziła mu nie chcianego syna. I tak się zdarza! W tamtych czasach Bonel mógł być nawet przystojnym mężczyzną i zapewne dać jej przyjemność, jak również dziecko, w końcu oboje zatrzymał u siebie, co prawda tylko jako tolerowanych służących, a nie członków swojej rodziny. Był on człowiekiem, który nie wziąłby więcej, niż mu się prawnie należało, ale ani na jotę nie zrezygnowałby z niczego, co wpadło w jego sieć; człowiekiem, który przekazał własność pańszczyźnianą, do której nikt nie rościł pretensji, biednemu młodszemu synowi wolnej rodziny, w zamian za zwyczajową służbę, a potem, mając za sobą prawo, stwierdził, że ów dzierżawca jest mu

poddany w wyniku zaległych należności, i wobec tego, zgodnie z tym samym prawem, jego potomstwo będzie też niewolne.

W tym prawnym sporze o nadgraniczną ziemię Cadfael czuł się sercem i duszą całkowicie Walijszym, nie mógł jednak zaprzeczyć, że Anglik równie uparcie trzymał się swego prawa, przekonany, że w pełni jest usprawiedliwiony. Nie był on człowiekiem złym, po prostu był synem owych czasów i tego miejsca, a przyczyną jego śmierci było morderstwo.

Bogiem a prawdą Cadfael nie miał w tym domu nic innego do roboty, jak tylko obserwować, no i właśnie to czynił. Po chwili jednak wszedł przez zewnętrzne schody do środka i ruszył korytarzem prowadzącym do holu. Chłopiec wychodzący z kuchni skłonił mu się i minął go, uważając za kogoś z domowników, kto dobrze zna drogę. Cadfael przeszedł przez hol, wysoki z mocnym

i belkowaniem, i skierował się do paradnej izby. Zapewne to do niej Bonel zamówił boazerię u Martina Bellecote'a i dzięki tej transakcji po raz pierwszy ujrzał i zakochał się w Richildis Gurney, córce uczciwego, skromnego kupca Vaughana.

Cadfael na własne oczy przekonał się, że Martin dobrze wywiązał się z powierzonego mu zadania. Paradna izba była węższa niż hol, za nią znajdowała się mała kaplica i garderoba. Pachniało tu dębowymi płytami, które lśniły srebrzyście w świetle padającym przez duże okno. Edwin miał w Martinie dobrego brata i dobrego majstra. Nie powinien się martwić, gdyby nie dostał tego raczej iluzorycznego spadku.

— Bardzo przepraszam, bracie! — rozległ się czyjś pełen szacunku głos za jego plecami. — Nikt mi nie powiedział, że przybył wysłannik ze Shrewsbury.

Cadfael odwrócił się gwałtownie i ujrzał przed sobą zarządcę przysłanego do Mallilie przez opactwo, świeckiego człowieka, prawnika, na tyle młodego, by słuchał swoich pracodawców, i na tyle dojrzałego, by dobrze wykonywać swoje obowiązki.

To ja powinienem przeprosić — odparł Cadfael — że tak bezceremonialnie wszedłem tu; prawdę mówiąc, nie mam żadnej sprawy do załatwienia, ale będąc w sąsiedztwie, ciekaw byłem, jak wygląda nasz nowy dwór.

Jeśli naprawdę jest nasz — powiedział zarządca ze smutkiem. — Obecnie wydaje się to wątpliwe, choć jest to bez różnicy, jeśli chodzi o

powierzone mi zadanie; dbam o wszystko z największą starannością, niezależnie od tego, jaki będzie ostateczny wynik. Majątek prowadzony był dobrze i przynosił zyski. Jeśli jednak brat nie został przysłany, żeby u nas zostać na stałe, to gdzie się zatrzymał? Dopóki Mallilie jest w naszym ręku, możemy bratu dać mieszkanie, o ile zechciałby tu zostać.

To niemożliwe, przysłano mnie ze Shrewsbury, żebym się zajął chorym bratem, pasterzem w owczarni koło Rhydycroesau, i dopóki nie wyzdrowieje, muszę za niego wykonywać jego obowiązki.

Czy pacjentowi brata polepszyło się?

Tak bardzo, że mogłem kilka godzin poświęcić na przybycie tu i zobaczenie, jaka to posiadłość może nam się wymknąć z rąk. Ale czy istnieje jakiś ważny powód, żeby nasze prawo własności było zagrożone? Coś więcej niż to, że w odpowiednim czasie umowa nie została opatrzona pieczęcią?

Pełen wątpliwości zarządca zmarszczył brwi i zagryzł wargę.

— Sytuacja jest trudna, jeśli bowiem świecki spadkobierca i opactwo stracą swoje roszczenia, przyszłość tego majątku jest sprawą otwartą. Earl Chester jako suzeren może nim rozporządzać wedle swej woli, a w czasach tak pełnych zamętu jak obecnie, wątpię, czy chciałby go zostawić w rękach zakonników.

Oczywiście możemy się do niego zwrócić, ale dopiero, gdy Shrewsbury będzie miało opata z wszelkimi pełnomocnictwami. Na razie, dopóki nie będzie wiążącej decyzji prawnej, możemy tylko uprawiać ziemię. Czy brat zechciałby zjeść ze mną obiad. Albo choć napić się wina?

Cadfael podziękował za posiłek, było jeszcze za wcześnie, a on chciał w pełni wykorzystać pozostałe godziny światła dziennego. Ale na wino zgodził się z ochotą. Usiedli razem w wyłożonej boazerią paradnej izbie. Dzban i dwa rogi przyniósł im chłopak o ciemnej karnacji, Walijczyk.

Czy macie jakieś kłopoty z sąsiadami po waszej zachodniej stronie? — spytał Cadfael.

Żadnych. Przez pięćdziesiąt lat przywykli do Bonelów i nie było złej krwi po obu stronach. Co prawda kontakty miałem tylko z naszymi walijskimi dzierżawcami. Brat wie najlepiej, że ludzie po obu stronach granicy są bardzo blisko ze sobą związani, zarówno Anglicy, jak i Walijczycy; większość ich ma krewnych po drugiej stronie.

— Jeden z naszych najstarszych braci — rzekł Cadfael —

pochodzi z tych właśnie okolic, z wioski między Mallilie a Llansilin. Opowiedział mi o swoich krewniakach, kiedy usłyszał, że się wybieram do Rhydycroesau. Jeśli znajdę ich, to z przyjemnością przekażę im jego pozdrowienia. Wymienił nazwiska dwóch kuzynów: Cynfritha i Owaina ap Rhysa. Może spotkaliście, pa nie, któregoś z nich? I brata przez małżeństwo, niejakiego Ifora ap Morgana... choć musiało już wiele lat upłynąć, kiedy miał z którymś z nich jakiś kontakt. Sądzę, że ten Ifor ap Morgan od dawna nie żyje. Miałby teraz pewno tyle lat co Rhys, a niewielu z nas dożywa takiego wieku.

— Cynfrith ap Rhys... — powtórzył zarządca. — Słyszałem o nim, ma zagrodę o jakieś półtorej mili stąd na zachód. Ifor ap Morgan... nie, o nim nic nie wiem. Jeśli jednak żyje, ten chłopak, który nam usługiwał, będzie wiedzieć, bo sam pochodzi z Llan-silin. Proszę go spytać, kiedy brat będzie wyjeżdżał, ale trzeba się do niego zwrócić po walijsku, mimo że całkiem dobrze zna angielski. Mówiąc po walijsku, brat się więcej od niego dowie... a i on będzie bardziej skory do mówienia — dodał z chytrym uśmieszkiem — jeśli ja nie będę przy tym obecny. Nie są do nas źle usposobieni, ale trzymają się razem i zdumiewa mnie zawsze, jak nie rozumieją angielskiego, kiedy im to odpowiada, żeby się odciąć od obcego.

Spróbuję tego i dzięki za dobrą radę — powiedział Cadfael.

Zatem niech brat mi wybaczy, że nie odprowadzę go do bramy i nie będę mu tam życzył szczęśliwej drogi. Brat sam najlepiej sobie poradzi.

Cadfael zrozumiał aluzję i pożegnał się od razu w paradnej izbie, następnie przeszedł przez hol i korytarz i znalazł się koło kuchni, w której znany mu już chłopiec, zaczerwieniony od żaru bijącego z pieca, wyciągał właśnie upieczony chleb i miał postawić go z boku na glinianym podwyższeniu, żeby tam wystygł. Gdy dźwignął swój ciężar, spojrzął na Cadfaela i w oczach jego pojawił się nie strach ani brak zaufania, lecz ostrożność dzikiego stworzenia, reagującego na wszystko, co je otacza, ciekawego i gotowego do okazania przyjaźni, ale też gotowego do ucieczki.

— Niech Bóg ma cię w swej opiece! — odezwał się do niego Cadfael po walijsku. — Jeśli już upiekłeś wszystek chleb, zrób dobry chrześcijański uczynek, pójdz ze mną do bramy i pokaż drogę do obojścia Cynfritha ap Rhysa albo jego brata Owaina.

Kiedy chłopiec usłyszał te słowa wypowiedziane w jego własnym

języku, oczy jego natychmiast się rozjaśniły.

Jesteście zakonnikiem z opactwa w Shrewsbury?

Zakonnikiem.

Ale Walijczykiem?

Tak samo Walijczykiem jak ty, chłopcze, ale nie z tych stron.

Urodziłem się w dolinie Conwy koło Trefriw.

A czego brat chce od Cynfritha ap Rhysa? — spytał wprost chłopiec.

Teraz wiem, że jestem w Walii, pomyślał Cadfael. Angielski sługa, gdyby w ogóle chciał się dowiedzieć o czyichś zamiarach, kluczyłby uniżony i pokorny, w obawie, że zostanie wytargany za uszy, ale ten Walijczyk wyłożył kawę na ławę.

— W naszym opactwie — powiedział Cadfael uprzejmie — mamy starego brata, który w tych stronach znany był jako Rhys ap Griffith i jest krewnym synów innego Rhysa. Kiedy wyjeżdżałem ze Shrewsbury, obiecałem mu, że przekażę jego pozdrowienia krewnym, i zamierzam to uczynić, jeśli zdołam ich znaleźć. Ale skoro już o tym mówimy, jest jeszcze jedno nazwisko, które mi podał, a ty być może przynajmniej potrafisz powiedzieć mi, czy ten człowiek żyje czy zmarł, jest już bowiem chyba bardzo stary. Rhys miał siostrę Marared, która wyszła za mąż za niejakiego Ifora ap Morgana, mieli oni córkę Angharad, choć mi powiedziano, że zmarła wiele lat temu. Jeśli jednak Ifor nadal żyje, jemu również chciałbym przekazać pozdrowienia.

Pod wpływem gradu tych walijskich nazwisk chłopiec całkiem roztajał w uśmiechach.

— Ifor ap Morgan jeszcze żyje. Mieszka niedaleko stąd, koło Llansilin. Wyjdę z bratem i pokażę mu drogę.

Lekko zbiegł po kamiennych schodach, wyprzedzając Cadfaela, który szedł, prowadząc konia, i spojrzał we wskazanym przez chłopca kierunku, na zachód, między drzewami.

— Do domu Cynfritha ap Rhysa jest tylko pół mili, leży blisko drogi, po prawej stronie, a wokół podwórza jest płot z wiklinowej plecionki. W małym ogrodzeniu trzyma białe kozy.

Do Ifora ap Morgana jest dalej. Brat musi trzymać się tej samej drogi, minąć wzgórze, wtedy ukaże się dolina, trzeba skrócić w prawo na ścieżkę, która prowadzi brodem przez rzekę. Po pół mili, kiedy brat znów spojrzy w prawo, wśród drzew zobaczy małą drewnianą chatę,

tam właśnie mieszka Ifor. Bardzo jest już stary, ale mieszka nadal samotnie.

Cadfael podziękował mu i wsiadł na konia.

— A co do tego drugiego brata, Owaina — paplał wesoło chłopiec, chętny teraz opowiedzieć wszystko, co mogłoby być użyteczne dla Cadfaela — jeśli brat będzie w naszych stronach jeszcze ze dwa dni, pojutrze będzie mógł go spotkać w Llansilin, gdzie się odbywa sąd naszego okręgu, ponieważ on ma sprawę, która została odroczonea podczas ostatniego posiedzenia. Sędziowie rozważali wniesione skargi dotyczące ziemi i pojutrze mają wydać wyrok. Nie chcą, żeby zła krew zatruwała ludziom Boże Narodzenie. Obejście Owaina jest daleko za miastem, ale brat z pewnością znajdzie go w kościele w Llansilin, bo jeden z sąsiadów przesunął jego kamień graniczny, tak przynajmniej twierdzi.

Chłopiec nie zdawał sobie sprawy, jak ważne rzeczy powiedział Cadfaelowi. Na jedno pytanie, być może najbardziej istotne ze wszystkich, uzyskał odpowiedź, wcale o to nawet nie prosząc.

Cynfrith ap Rhys — tylu było tych spokrewnionych Rhysów, że w niektórych przypadkach trzeba było wymienić aż trzy pokolenia wstecz, żeby ich rozróżnić — został łatwo odnaleziony i ucieszył się nawet z tego, że spędzi trochę czasu z benedyktyńskim mnichem, gdyż ten mówił po walijsku. Serdecznie zaprosił Cadfaela do domu, co on przyjął z radością. Dom to była jedna izba i mała kuchnia, domena samotnego człowieka, i nie było tu nikogo prócz Cynfritha oraz jego kóz i kur. Sam Cynfrith był ciemnowłosym, teraz siwiejącym mężczyzną, z łysiną na czubku głowy, kościstym, o bystrych błyszczących oczach, otoczonych siatką drobnych zmarszczek świadczących o jego wesołym usposobieniu, często spotykanych u ludzi spędzających wiele czasu na świeżym powietrzu. Był co najmniej o dwadzieścia lat młodszy od swego krewniaka ze Shrewsbury. Poczęstował Cadfaela chlebem, serem owczym i pomarszczonymi słodkimi jabłkami.

Kochany staruszek, a więc jeszcze żyje! Często o nim myślałem. Jest krewnym pierwszego stopnia mojej matki, nic moim, ale swego

czasu znałem go dobrze. Chyba ma już pod osiemdziesiątkę. I nadal żyje wygodnie w swoim klasztorze? Poślę mu butelczynę dobrego napitku, jeśli brat będzie tak uprzejmy i weźmie ją dla niego. Sam go destyluję, przyda mu się w czasie zimy, parę kropli świetnie robi na serce, a i pamięci nie szkodzi. No, no i pomyśleć tylko, że nadal wszystkich nas wspomina! Mój brat? Och, z pewnością przekażę pozdrowienia Owai-nowi, jak tylko go zobaczę. Ma dobrą żonę i dorosłych synów, niech brat powie starszukowi, że starszy, Elia, ma się na wiosnę żenić. Pojutrze zobaczę się z moim bratem w Llansilin podczas zebrania sądu naszego okręgu.

Tak też powiedziano mi w Mallilie — rzekł Cadfael. — Życzę mu powodzenia w jego sprawie.

On oskarża Hy wela Fychana, który mieszka obok niego, że przeniósł jeden z granicznych kamieni; pewno tak było, ale też Owain swego czasu zrobił to samo Hywelowi. Takie są u nas obyczaje... Nie muszę bratu o tym mówić, brat jest swój człowiek. Obaj wysłuchają orzeczenia sądu i będą mu posłuszni. Zawsze tak jest aż do następnego razu, i to bez złości. A w Boże Narodzenie będą razem pić.

— Tak wszyscy powinniśmy załatwiać nasze sprawy — powiedział sentencjonalnie Cadfael.

Pożegnał się dość szybko, jednak nie na tyle szybko, żeby sprawić przykrość swemu gospodarzowi, zgodnie z prawdą mówiąc, że jeszcze ma coś do załatwienia, a dzień jest krótki. W dobrym nastroju ruszył w drogę wzdłuż małej rzeczki. Niewielką flaszkę mocnego, w domu destylowanego trunku umieścił w swej podróżnej sakwie; był zadowolony, że tę drugą, z trującą zawartością, zostawił w owczarni.

Przejechał przez wąwóz, zobaczył przed sobą dolinę rzeki Cynllaith i wąską ścieżkę biegnącą wśród wysokich traw aż do małego dopływu, który przecinała. Po niecałej mili las okrył zbocze, w gęstym letnim listowiu trudno byłoby wśród drzew wypatrzeć niską drewnianą chatę, teraz za ogołoconymi gałęziami dom wyglądał jak zadowolona kokosz w kojcu. Murawa podchodziła prawie pod ogrodzenie, rozciągała się również z jednej jego strony, drzewa zaś tworzyły jakby półkolistą kurtynę. Cadfael skierował się w stronę domu i skręcił w bok, gdyż od wjazdu nie było drzwi. Koło strony szczytowej na długiej linie spokojnie pał się koń; równic wysoki i brzydki choć przy tym tak samo zręczny jak ten, którego on sam dosiadał, być może tylko o parę

lat starszy. Cadfael ściągnął wodze i chwilę uważnie mu się przyglądał, potem wjechał w ostrą trawę.

Z pewnością istniało wiele koni, które odpowiadały opisowi, jaki znał Cadfael; kościsty stary srokacz. To był z pewnością ten sam: uderzająco czarny w białe plamy. Chyba jednak nie wszystkie tak samo umaszczone mają to samo imię?

Cadfael poluzował wodze i wolno podjechał do spokojnie pasącego się konia, który wcale nie zwracał na niego uwagi, poza jednym jedynym spojrzeniem. Cmoknął na niego i cicho zawołał:

— Jafet!

Na znajomy dźwięk srokacz zastrzygł długimi uszami i podniósł przyjazny, choć brzydki łeb, wyciągając pytająco pysk i ruszając chrapami, kiedy zaś stwierdził, że nie ma się czego bać, podszedł szybko i z zaufaniem do wyciągniętej ręki Cadfaela, który zaczął go głaskać po wysokim czole i wyciągniętej szyi.

— Jafet, Jafet, stary przyjacielu, co tu robisz?

Choć koń stał bez ruchu, rozległ się szelest suchych liści. Cadfael podniósł szybko głowę i spojrzał w kierunku węgła domu. Stał tam czcigodny starzec, siwowłosy, z siwą brodą, jednak brwi miał nadal czarne i gęste jak krzew kolcolistu, oczy zaś tak mocno niebieskie jak zimowe niebo nad ich głowami. Ubrany był w wieśniaczy samodział, ale jego sposób bycia i postawa sprawiały, że wyglądał, jakby nosił purpurę.

— Sądzę — odezwał się pierwszy Cadfael, jedną ręką nadal głaszcząc szyję Jafeta — że ty jesteś Ifor ap Morgan. Ja jestem Cadfael, swego czasu nazywałem się Cadfael ap Meilyr ap Dafydd z Trefriwu. Mam dla ciebie pozdrowienia, przesyła je Rhys ap Griffith, brat twojej żony, który teraz jest bratem Rhysem w opactwie Shrewsbury.

Głos, który się dobył z wąskich wyschłych warg, był głęboki i zdumiewająco dźwięczny.

Czy jesteś pewien, bracie, że te pozdrowienia nie są przeznaczone dla mego gościa?

Nie dla niego, lecz dla ciebie — odparł Cadfael. — Choć teraz są dla was obu. Ale przede wszystkim, proszę cię, schowaj to zwierzę, bo jeśli ja je rozpoznałem na podstawie zwykłego opisu, inni też to potrafią.

Stary człowiek spojrzał na niego przeciągłym błękitnym spoj-

rzeniem.

— Wejź do domu — powiedział i odwrócił się, żeby pójść przodem.

Jednak Cadfael, nie tracąc czasu, sam zaprowadził Jafeta za dom i skrócił jego linę, a potem poszedł za starcem.

W mrocznym wnętrzu, pachnącym dymem i drewnem, stary człowiek czekał na niego, jedną rękę położywszy opiekuńczo na ramieniu Edwina, który stał koło niego wyprostowany, tak samo spokojnie patrząc jasnymi oczami jak Ifor ap Morgan i tak samo jak on wysoko trzymając głowę.

Edwin powiedział mi — rzekł Ifor — że jesteś przyjacielem. Jego przyjaciele są tu witani z radością.

Brat Cadfael był dla mnie bardzo dobry — odezwał się Edwin — i dla mego siostrzeńca Edwy'ego również, wiemy to od Meuriga. Miałem szczęście do przyjaciół, ale jak brat mnie tu znalazł?

Wcale ciebie nie szukając — powiedział Cadfael. — Tak naprawdę to zadałem sobie sporo trudu, żeby nie wiedzieć, dokąd się udałeś, i zapewniam, że nie przyjechałem w te strony, żeby cię znaleźć.

Odwiedziłem Ifora ap Morgana na prośbę tego starego brata, u którego byłeś z Meurigiem w naszej infirmerii. Brat twojej żony, przyjacielu, Rhys ap Griffith, nadal żyje w naszym klasztorze i jak na swój wiek, jest czerstwym staruszkim, a kiedy usłyszał, że jadę w te strony, prosił mnie, bym przekazał jego krewniakom pozdrowienia i modlitwy. Nie zapomniał o swoich, choć od bardzo dawna jest wśród nas i wątpię, by tu kiedyś mógł przybyć. Byłem u Cynfritha ap Rhysa i te same słowa mu przekazałem dla jego brata Owaina, a jeśli został jeszcze ktoś z jego generacji albo ktoś, kto go nadal pamięta, proszę, bądź tak dobry, i jeśli nadarzy się po temu okazja, przekaż im te słowa, że pamięta o swej rodzinie i swej ziemi, i o wszystkich, którzy się stąd wywodzą.

Tak uczynię — obiecał Ifor, a twarz jego rozjaśnił nagle ciepły uśmiech. — Zawsze był lojalnym krewniakiem i lubił moje dziecko i wszystkich młodych w naszym klanie, bo nie miał własnych. Wcześniej owdowiał, gdyby to się nie stało, do tej pory byłby z nami. Niech brat na chwilę spocznie i opowie mi, jak się wiedzie Rhysowi, i przekaże mu również moje błogosławieństwo, za co będę bardzo wdzięczny.

Meurig mógł był ci opowiedzieć to wszystko, co ja wiem — rzekł Cadfael, sadowiac się obok niego na ławie przy prostym stole — kiedy

przyprowadził ci Edwina, żeby tu się ukrył. Nie ma go z wami?

Mój wnuk udał się w objazd wszystkich krewnych i sąsiadów — wyjaśnił starzec — teraz bowiem rzadko bywa w domu.

Przypuszczam, że za kilka dni wróci. Owszem, wspomniał mi, że odwiedził staruszka z tym oto chłopcem. Był tu jednak najwyżej godzinę i ruszył znów w drogę. Jak wróci, będzie dość czasu, żeby porozmawiać.

Cadfael pomyślał, że musi jak najbardziej skrócić tu swój pobyt, bo choć dotąd nie przyszło mu nawet do głowy, by przedstawiciele prawa zadali sobie trud śledzenia go po wyjeździe ze Shrewsbury, to bardzo zaniepokoił go fakt, że on sam tak łatwo odkrył Edwina w tym domu. Dotąd wcale nie chciał wysledzić chłopca, ale nawet Hugh Beringar, nie mówiąc o jego podkomendnych, mógł być innego zdania i ukradkiem posłać jego śladem psa gończego. Nie wypadało jednak natychmiast po przekazaniu pozdrowień odjechać, gdyż starca najwyraźniej bardzo ucieszyło, że mógł odświeżyć dawne wspomnienia. Opowiadał z przejęciem o czasach, kiedy wraz z nim była jego żona i śliczna córeczka. Teraz zaś nie miał nic, prócz jedyne go wnuka oraz własnej dumy i niezależności.

Ucieczka i pobyt na tym odludziu najwyraźniej wywarły duży wpływ na Edwina. Usunął się na bok, by nie przeszkadzać starszym, o nic nie prosił, nie zadawał pytań dotyczących jego własnej trudnej sytuacji. Bez słowa wyszedł, przyniósł kubki i dzban miodu, potem obsłużył ich sprawnie i bezszelestnie i znów milczał, aż Ifor się odwrócił i długim ramieniem przyciągnął go do stołu.

— Młodzieńcze, na pewno chcesz o wicie rzeczy spytać brata Cadfaela i wiele masz mu do powiedzenia.

Chłopiec oczywiście nie całkiem zapomniał języka w gębie i zachęcony zaczął mówić jak zawsze dużo i z przejęciem. Najpierw spytał o Edwy'ego, z troską, której nigdy jawnie nie okazałby swemu rówieśnikowi, i rad był, słysząc, że cały jego szaleńczy rajd skończył się lepiej, niż ktokolwiek przypuszczał.

— A więc Hugh Beringar był taki dobry i szlachetny? I wy słuchał brata, i szukał mego relikwiarza? O, gdybyż mógł go znaleźć!... Z ciężkim sercem zostawiłem Edwy'ego, żeby grał moją rolę, ale on i tak by to zrobił. A potem okólną drogą pojechałem na Jafecie tam, gdzie się czasem bawiliśmy, do lasku

nad rzeczka, i Meurig spotkał się ze mną, i dał mi specjalny znak, żebym go okazał tutaj jego dziadkowi i powiedział, jak znaleźć to miejsce. A następnego dnia zgodnie z obietnicą przyjechał tu.

— A co postanowiłeś zrobić, gdyby prawda nigdy nie wyszła na jaw? Gdybyś nie mógł wrócić do domu? Choć, Boże, uchwaj, żeby tak się to skończyło! Wierzę z całego serca, że tak się nie stanie.

Twarz chłopca była poważna, lecz spokojna; wiele rozmyślał w tym nowym schronieniu i wiele też czasu spędzał ze swym szlachetnym opiekunem, i w rezultacie jakby się stali do siebie podobni.

— Jestem silny, jeśli będzie trzeba, mogę pracować w Walii, mogę zarobić na swoje utrzymanie, nawet gdybym tu musiał przebywać jako cudzoziemiec. Inni ludzie też musieli opuszczać swoje domy z powodu niesłuszných oskarżeń i dawali sobie radę w świecie, jeśli oni to potrafili, potrafię również i ja. Ale chciałbym wrócić; nie chcę zostawiać matki, kiedy jest teraz sama, a jej sprawy są tak bardzo powikłane. Nic chciałbym też, by mówiono o mnie jako o człowieku, który otrul swego ojczyma i uciekł, podczas kiedy ja nie zrobiłem mu najmniejszej krzywdy, nawet mu jej nie życzyłem.

— Na pewno tak nie będzie — powiedział stanowczo Cadfael. — Jeszcze kilka dni będziesz się tu ukrywać. Zaufaj Bogu, wierzę, że dojdziemy prawdy i będziesz mógł jawnie wrócić do domu z odkrytym czołem.

— Brat w to wierzy, czy tylko tak mówi, żeby mnie pocieszyć?

— Wierzę w to. Twoje serce nie potrzebuje pocieszenia fałszywymi słowami otuchy. Nie okłamywałbym cię nawet w dobrej intencji. — A jednak były kłamstwa lub co najmniej nie wypowiedziane prawdy, które w tym domu ciążyły mu na sercu, i lepiej byłoby, żeby się pożegnał i odjechał, a mijający czas i bliski zmierzch były dobrą wymówką. — Muszę wracać do Rhydycroesau — powiedział, wstając od stołu. — Zostawiłem tam brata Szymona całkiem samego z całą robotą; brat Barnaba jest jeszcze słaby, ledwie się trzyma nogach. Chyba wam nie mówiłem o tym, że zostałem posłany, żeby wyleczyć chorego, wyręczyć go w pracy, nim całkiem wróci do zdrowia?

Czy brat tu przyjedzie znów, jak będą jakieś nowiny? — spytał Edwin, a choć głos jego był spokojny, to w oczach malował się niepokój.

Przyjadę, gdy tylko będą jakieś wieści.

Brat spędzi w Rhydycroesau jeszcze kilka dni? — spytał Ifor ap Morgan. — Jeśli tak, to mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy.

Szedł w stronę drzwi, żeby wyprowadzić gościa, z dłonią na ramieniu Edwina, kiedy nagle zatrzymał się i znieruchomiał, drugą wyciągniętą ręką z rozcapierzonymi palcami dał im znak, żeby także się zatrzymali, zapanowała cisza. Wiek nie przytępił mu słuchu, on pierwszy usłyszał stłumione głosy. Stłumione nic odległością, gdyż były blisko, lecz celowo. Zaszleściła wyschła trawa. Wśród drzew zarżał pytająco jeden z przywiązanych koni. dając znak, że inne konie się zbliżają.

— To nie są Walijczycy! — szepnął Ifor. — To Anglicy: Edwin, idź do sąsiedniej izby!

Chłopiec bez słowa posłuchał go, ale natychmiast wrócił i stanął w drzwiach.

— Jest ich dwóch... na dworze, za oknem. W skórzniach, są uzbrojeni...

Głosy się przybliżyły do drzwi wejściowych, szepty stały się głośniejsze, pewne siebie. Nieoczekiwani goście najwyraźniej przestali się ukrywać.

Jest tutaj ten srokacz... nie ma wątpliwości co do tego!

A czy nie mówiłem wam? Powiedziałem, jak znajdziemy konia, to znajdziemy też chłopaka.

Ktoś się roześmiał cicho, z zadowoleniem. Potem nagle rozległo się walenie pięścią w drzwi i ten sam głos zawołał głośno i rozkazująco:

— W imieniu prawa, otworzyć!

I natychmiast drzwi zostały wyważone silnym pchnięciem do środka, aż uderzyły w ścianę, i w progu ukazał się tęgi brodaty sierżant ze Shrewsbury, a za nim dwóch zbrojnych ludzi. Brat Cadfael i William Warden patrzyli na siebie z odległości dwóch stóp; to nieoczekiwane spotkanie sprawiło, że jeden zeszywniał, a drugi uśmiechnął się.

— Miłe spotkanie, bracie Cadfaelu! Przykro mi, że nie mam nakazu aresztowania ciebie, ale mnie chodzi o tego chłopaka za plecami

brata. Szukam Edwina Gurneya, a ty nim jesteś, chłopcze, prawda?

Edwin zrobił krok naprzód, blady jak jego koszula, oczy miał szeroko otwarte, ale brodę wysunął śmiało do przodu i patrzył prosto przed siebie. Wiele nauczył się w ciągu dni spędzonych tutaj.

Tak, nazywam się Edwin Gurney — oświadczył spokojnie.

A więc aresztuję cię jako podejrzanego o zamordowanie za pomocą trucizny Gerwazego Bonela i jestem tu po to, by zabrać cię do więzienia w Shrewsbury, gdzie odpowiesz na to oskarżenie.

Rozdział 9

Ifor ap Morgan odetchnął głęboko i wyprostowany jak struna stanął naprzeciw nieoczekiwanego gościa.

— Człowieku — rzekł niskim dźwięcznym głosem — jestem panem tego domu, a ty, jak dotąd, nie przedstawiłeś mi się. Bywają goście, których zapraszam, są też tacy, których witam z radością, choć ich nie oczekiwałem. Ciebie nie znam i nie zapraszałem, i nie witam cię z radością. Bądź tak uprzejmy i przedstaw się, jeśli masz jakiś interes do mnie albo do kogoś z obecnych pod moim dachem. W przeciwnym razie opuść mój dom.

Nie można powiedzieć, by sierżant zmieszał się, gdyż przed wszystkimi upokorzeniami chronił go urząd, ale przynajmniej tym razem pohamował wrodzone sobie butne zachowanie.

Rozumiem, że jesteś Ifor ap Morgan, ja zaś jestem sierżant William Warden, służący pod rozkazami Gilberta Prestcote'a, szeryfa Shropshire, i ścigam Edwina Gurneya, podejrzanego o morderstwo. Moim zadaniem jest dostarczyć go za wszelką cenę do Shrewsbury, gdzie zostało wniesione przeciw niemu oskarżenie, i uczynię to, do czego jestem zobowiązany. Ty również, jako starszy tego regionu, jesteś zobowiązany przestrzegać prawa.

Ale nie prawa angielskiego — odparł krótko Ifor.

Ale jednak prawa! Morderstwo jest morderstwem, niezależnie od tego, czyje jest prawo. Morderstwo za pomocą trucizny, starcze!

Brat Cadfael tylko raz spojrział na Edwina, który skamieniały, błąd jak ściana, uczynił niepewny gest ręką, żeby ramieniem serdecznie objąć starego człowieka, ale zbyt był przerażony i przejęty, żeby to zrobić. Wyręczył go w tym Cadfael, łagodnie kładąc dłoń na chudym przegubie dłoni Ifora. Niezależnie od tego, co zostało powiedziane, tamci na pewno zabiorą chłopca ze sobą. Było ich trzech, dwóch pilnowało domu z tyłu, któż zdołałby ich powstrzymać? Jednak sierżant, pewny siebie i arogancki człowiek, który mógłby się mścić za poprzednie sztuczki Edwina, będzie musiał też dbać o własną skórę, ponieważ podlega tej miary zastępcy szeryfa co Beringar, który z pewnością każe skrupulatnie przestrzegać przepisów dotyczących postępowania z więźniami. Lepiej więc nie zadzierać z Wardenem, gdyż pewna doza spokoju i rozsądku może tylko wyjść na dobre Edwinowi.

— Sierzancie, znacie mnie i wiecie, że w moim przekonaniu ten chłopiec jest niewinny. Ja was również znam i wiem, że posłuszni rozkazom musicie wykonać swój obowiązek, i my nie będziemy w tym przeszkadzać. Ale proszę, powiedzcie mi, czy to Hugh Beringar przysłał was tu, w ślad za mną? Gdyż pewien jestem, że nikt mnie nie śledził, kiedy wyjechałem ze Shrewsbury. Co was sprowadziło do tego właśnie domu?

Sierzant najwyraźniej chciał się pochwalić swoją przebiegłością.

— Nie, nie zamierzaliśmy jechać za bratem. Kiedy nas brat opuścił, byliśmy pewni, że brat wraca do opactwa. Ale jak Hugh Beringar wrócił z pustymi rękami z tej nieprzemyślanej wyprawy w dół rzeki i usłyszał, że brat pytał o niego, pojechał do opactwa, do brata, i tam dowiedział się, że brat wyruszył na północ, do Rhydycroesau. Ja przypomniałem sobie wtedy, że niedaleko stamtąd jest majątek Bonela i postanowiłem pojechać tam z moimi ludźmi, żeby się dowiedzieć, o co bratu chodziło. Zarządca bez wahania udzielił odpowiedzi nam, ludziom szeryfa w Shrewsbury, którzy pytali o brata Cadfaela. Czemuż miałby odmówić? Albo jego służący? Powiedzieli nam, że brat pytał, jak trafić do dwóch domów po tej stronie wzgórz, no i w tym drugim z nich spotkaliśmy brata.

Tak więc nikt świadomie nie udzielił informacji o uciekinierze, co było pocieszającą wiadomością dla Ifora ap Morgana, który czułby się zawstydzony i dotknięty na honorze, gdyby któryś z Walińczyków zdradził gościa przebywającego w jego domu.

A więc to nie Hugh Beringar posłał was w ślad za mną? „Postanowiłem jechać”, powiedziałaś. Czym Beringar jest teraz zajęty, że przejąłeś jego obowiązki?

Znow się wybrał w dół rzeki, chodzi o te głupie poszukiwania. Madog, Poszukiwacz Topielców, przysłał po niego dziś rano, prosząc, żeby przybył do Atcham, a on jeszcze raz wyjechał, znowu pełen nadziei, choć i tak nic z tego nie będzie. Skorzystałem więc z okazji, żeby się kierować własnym przeczuciem. Ale się zdziwi, kiedy wieczorem wróci z niczym po całym dniu mitręgi i przekona się, że przyprowadziłem mu jego więźnia.

Zabrzmiało to pocieszająco, ponieważ najwyraźniej oczekiwał nagrody za swoją zdobycz i uszczęśliwiony odniesionym sukcesem, może nie będzie się mścił na chłopcu, źle go traktując.

Edwinie — powiedział Cadfael — czy posłuchasz mnie teraz?

Posłucham — odparł chłopiec.

Idź spokojnie z tymi ludźmi i nie sprawiaj im kłopotu. Wiesz, że nie uczyniłeś nic złego, dlatego nie możesz być uznany za winnego, i przy tym musisz obstawać. Kiedy zostaniesz oddany w ręce Beringara, odpowiadaj szczerze, ilekroć będzie cię pytał o coś, i mów mu całą prawdę. Obiecuję ci, że długo nie będziesz siedzieć w więzieniu. — A w głębi duszy pomyślał: Boże miłosierny, pomóż mi, żeby tak się stało! — Jeśli chłopiec da słowo, że z własnej woli pójdzie z wami — zwrócił się do sierżanta — i nie będzie próbował uciec, nie ma potrzeby go wiązać. Długa droga przed wami i będziecie musieli szybko jechać, żeby dotrzeć do miasta przed zmrokiem.

Może robić z rękami, co chce, jego sprawa — stwierdził obojętnie Warden — przecież ci dwaj ludzie na dworze to świetni łucznicy. Gdyby próbował nam uciec, nie zrobi nawet kilku jardów.

Nie będę tego próbować — powiedział stanowczo Edwin. — Daję wam na to moje słowo! Jestem gotów. — Podszedł do Ifora ap Morgana i z szacunkiem zgiął przed nim kolano. — Dziadku, dziękuję ci za całą twoją dobroć. Ja wiem, że tak naprawdę nie jestem z tego rodu, ale bardzo bym chciał, żeby tak było! Czy zechcesz mnie

pocałować?

Starzec wziął go w ramiona i pochylił się, żeby ucałować go w policzek.

— Jedź z Bogiem! I wróć tu jako człowiek wolny!

Edwin wziął z kąta swoje siodło i wodze i w asyście dwóch zbrojnych wyszedł na dwór z podniesioną głową. Po kilku minutach Ifor i Cadfael, którzy zostali w chacie, zobaczyli przez otwarte drzwi, jak się sformował mały oddział i wyruszył z sierżantem na czele; po obu stronach chłopca jechali blisko dwaj łucznicy. Zrobiło się już chłodno, choć do zmierzchu było jeszcze daleko. Do Shrewsbury dojadą z pewnością dobrze po zmroku; ciężka droga przed chłopcem, a na jej końcu kamienna ceta w zamku Shrewsbury. Daj Boże, żeby nie na długo. Dwa, trzy dni, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Dobrze, ale dla kogo?

— Co mam powiedzieć memu wnukowi Meurigowi — odezwał się starzec ze smutkiem — kiedy wróci i przekona się, że zabrano jego gościa?

Cadfael zamknął drzwi, kiedy zniknęła mu z oczu kasztanowa głowa Edwina i jego szczupła postać. Wyrośnięty jak na swój wiek, między dwoma krzepkimi strażnikami chłopiec wyglądał bardzo młodo i bezbrinnie.

— Powiedz Meurigowi — rzekł po chwili namysłu — że nie musi bać się o Edwina; prawda wreszcie wyjdzie na jaw i ta prawda go uwolni.

Miał teraz przed sobą dzień nieróbstwa, ponieważ zaś nic już nie mógł uczynić dla Edwina, doszedł do wniosku, że ten dzień oczekiwania w pełni wykorzysta dla siebie. Bratu Barnabie, teraz już rześkiemu rekonwalescentowi, wytłumaczył, że musi jeszcze stronić od ciężkiej pracy i przez pewien czas wygrzewać się w ciepłe. Brata Szymona namówił na całodzienny wypoczynek, bo przecież i tak nazajutrz mieli zostać sami. Poza tym mogli razem odprawić wszystkie główne nabożeństwaienne, tak jakby byli w rodzinnym opactwie św. Piotra. Cierpliwe recytowanie odpowiednich formuł można było z pewnością uważać za modlitwę.

Tego dnia miał wiele czasu na rozmyślania, kiedy rozsypywał ziarno dla kur, doił krowę, obrządzał starego gniadosza i przeprowadzał owce na nowe, wyżej położone pastwisko. Edwin zapewne znajdował się w tej chwili w więzieniu po długim i dociekliwym przesłuchaniu przez Beringara. Czy Martin Bellecote usłyszał już, że chłopiec został pojmany? Czy Edwy dowiedział się, że jego starania, by odwrócić uwagę pogoni, na nic się nie zdały? A Richildis... Czy Beringar uważał za swój obowiązek osobiście ją powiadomić o schwyтaniu syna? Z pewnością zrobiłby to wielce uprzejmie i delikatnie, co jednak nie złagodziłoby jej zrozumiałego cierpienia i strachu.

Najbardziej jednak Cadfael martwił się starym Iforem ap Morganem, który został całkiem sam po krótkim pobycie Edwina. Chłopak okazał mu tyle szacunku i zaufania, a jego niezwykła odwaga i bunt przeciw Gerwazemu Bonelowi przypomniały mu jego własną młodość.

Jutro — powiedział Cadfael podczas wiczerzy, kiedy siedzieli przy żelaznym koszu, w którym trzaskały żywiczne drwa, dając snujący się, błękitny dym tak aromatyczny, jak w jego chacie w Shrewsbury — muszę wyruszyć bardzo wcześnie. — Sąd okręgu miał rozpocząć obrady, jak tylko zrobi się jasno, po to, by wszyscy obecni mogli dotrzeć do swych domów przed zapadnięciem zmroku. — Postaram się tak wrócić, żeby wieczorem zagnać owce do owczarni. Tym razem nie zapytaliście mnie, dokąd się wybieram.

Nie, bracie — odparł łagodnie Szymon. — Widzieliśmy, że jesteś czymś mocno zafrasowany, i nie chcieliśmy ci przeszkadzać naszymi pyтанiami. Jak będziesz chciał, to nam powiesz, co wiedzieć powinniśmy.

Była to jednak długa historia, której oni tutaj w swej samotni i we własnym spokojnym świecie nie znali nawet początków. Lepiej więc było nic nie mówić.

Wstał przed świtem i osiodłał konia, obierając ten sam szlak, którym jechał dwa dni temu, aż do brodu, gdzie skręcił w bok, żeby przeciąć dopływ i skierować się do domu Ifora. Tym razem nie uczynił tego, lecz wjechał w dolinę rzeki Cynllaith, którą potem przekroczył przez drewniany most. Stąd było nieco ponad milę do Llansilin. Słońce już wzeszło: nieco przymglone, lecz jasne. Wieś była całkiem przebudzona, pełna ludzi zebranych wokół drewnianego kościoła.

Każdy dom w okolicy musiał udzielić noclegu przyjaciołom i krewnym z innych zakątków okręgu, gdyż tego dnia było tu dziesięć razy więcej przyjezdnych niż mieszkańców wioski. Cadfael zaprowadził konia do zagrody obok cmentarza, gdzie było kamienne koryto z wodą do pojenia koni i trawiasta łąka, a sam przyłączył się do powolnej procesji ludzi wchodzących do kościoła. W swym benedyktyńskim nabicie na drodze rzucał się w oczy, gdyż rzadko pojawiali się zakonnicy z jego zgromadzenia, ale Cadfael był pewien, że wewnątrz uda mu się schować w odległym kącie. Nie chciał, by zbyt wcześnie zwrócono na niego uwagę.

Rad był, że Ifora ap Morgana nie ma wśród starszyzny, która przybyła na posiedzenie sądu, żeby brać udział w sądeniu, co było obowiązkiem ludzi w podeszłym wieku, którzy znali swych sąsiadów i dzieje wszelkich dotyczących ziemi sporów. Świadectwo tych zaprzyjaźnionych i szanowanych starców bywało nieraz lepsze niż uczone argumenty zawodowych prawników, choć i tych również tu nie brakowało. Cynfritha ap Rhysa zobaczył dopiero wtedy, kiedy zespół trzech sędziów zajął swe miejsce na ławie i wywołana została pierwsza sprawa. Wówczas, gdy poproszono, by z jednej strony stanął powód wraz ze swymi poręczycielami, Cadfael rozpoznał Cynfritha wśród poręczycieli jego brata. Owain, choć młodszy, był do niego bardzo podobny. Za plecami pozwanego Hywela Fychana, żylastego, ciemnowłosego mężczyzny o wojowniczym wyglądem, stało kilku jego świadków.

Przewodniczący sędzia wydał orzeczenie ławy: sędziowie na miejscu dokładnie obejrżeli obydwie dzierżawy i zrobili pomiary, żeby je porównać ze starymi planami. Ich zdaniem Hywel Fychan istotnie przesunął narożny kamień graniczny w taki sposób, żeby przywłaszczyć sobie kilka jardów ziemi sąsiada. Doszli jednak również do wniosku, że Owain ap Rhys, w sposób bardziej dyskretny, najwyraźniej wtedy, gdy stwierdził naruszenie swej granicy, odplacił pięknym za nadobne, przenosząc na całej długości dzielące ich ogrodzenie o jakiś jard, czym wynagrodził sobie swoją stratę. Dlatego ława nakazała, żeby zarówno kamień, jak i ogrodzenie zostały przywrócone na poprzednie miejsca, i na obie strony nałożyła niewielką grzywnę. Potem, jak to było do przewidzenia, Owain i Hywel uścisnęli sobie całkiem przyjaźnie dłonie, przyjmując wyrok; a później zapewne razem przepiją resztę pieniędzy

przeznaczonych na grzywnę. W następnym zaś roku cała zabawa znów się powtórzy. Cadfael dobrze znał te narodowe rozrywki.

Były jeszcze dwa spory graniczne, które wymagały oględzin przez sąd spornych terenów: jeden załatwiono polubownie, drugie orzeczenie zostało przyjęte z wyraźnym niezadowoleniem przez tych, którzy przegrali, ale mimo to zgodzili się z wyrokiem. Oprócz tego pewna wdowa żądała kawałka ziemi od krewnych męża i wygrała sprawę dzięki świadectwu aż siedmiu sąsiadów. Ranek szybko mijał, a Cadfael, który często spoglądał przez ramię w stronę drzwi, zaczynał się obawiać, że całkiem pomylił się w swych przewidywaniach. Co się stanie, jeśli źle zinterpretował pewne fakty? W takim razie trzeba będzie wszystko zacząć od nowa i Edwin znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie, a jego jedynym ratunkiem będzie Hugh Beringar, którego władza skończy się z chwilą powrotu Gilberta Prestcote' a z uroczystości bożonarodzeniowych spędzonych z królem.

Kiedy wdzięczna wdowa, zarumieniona i szczęśliwa, odeszła ze swymi świadkami, drzwi kościoła szeroko się otworzyły. Światło dzienne wlało się do zatłoczonego kościoła, gdy do nawy weszli jacyś ludzie. Cadfael spojrzął w tamtą stronę, jak zresztą wielu zebranych, i zobaczył, że przez nawę idzie Meurig wraz z siedmioma starcami i zatrzymuje się przed ławą sędziowską.

Meurig miał na sobie ten sam kaftan i spodnie, w jakich Cadfael zawsze go widywał, bez wątplenia było to jego najlepsze odzienie, które włożył na posiedzenie sądu, tak samo jak je wkładał, kiedy miał się udać do opactwa w Shrewsbury. Drugie ubranie, jakie miał, nosił zapewne do pracy. A płócienna sakwa wisząca na skórzanych rzemykach u pasa była tą samą, którą Cadfael widział u niego w infirmerii, kiedy z wielką troskliwością, bez żadnego wyrachowania nacierał plecy i stawy starego człowieka, by złagodzić jego cierpienia. Takie sakwy dużo kosztują i mogą wytrzymać wiele lat. Wątpliwe nawet było, czy kiedykolwiek będzie miał jakąś inną.

Całkiem zwykły młodzieniec, dobrze zbudowany, śniady, niczyj syn ani brat, co nie było wtedy dziwne. Stał w środku nawy, szeroko rozstawiwszy nogi, ze spuszczonej po obu stronach rękami, zaciśniętymi dłońmi, jak gdyby w każdej trzymał broń, choć w takim miejscu, podwójnie świętym jako sąd i kościół, z pewnością miał przy sobie najwyżej nóż myśliwski. Był ogolony i wykąpany, a rozproszone

światło w nawie ukazywało wyraziście każdy rys jego twarzy i płonące ogniem oczy. Wyglądał wzruszająco młodo, a jednocześnie bardzo poważnie.

Za pozwoleniem wysokiego sądu — powiedział dźwięcznym głosem. — Mam sprawę, która musi być bez zwłoki rozpatrzona.

Właśnie mieliśmy ogłosić zakończenie tego posiedzenia — odparł spokojnie przewodniczący sędzia. — Jesteśmy jednak po to, by służyć. Przedstaw się więc, młodzieńcze, i powiedz, o co ci chodzi.

Jestem Meurig, syn Angharad, córki Ifora ap Morgana, znanego wszystkim obecnym tu mężczyznom. Przez tę samą Angharad jestem synem Gerwazego Bonela, który za życia miał w swym posiadaniu majątek Mallilie. Jestem tu, by zgłosić swoje roszczenie do tego majątku z racji mego urodzenia, jako syn i jedyny potomek Gerwazego Bonela. Jestem tu, by przedstawić świadectwo, iż ta ziemia jest ziemią walijską i podlega prawu walijskiemu, a ja jestem jedynym synem tego człowieka i jedynym dzieckiem, jakie kiedykolwiek spłodził. Tak więc zgodnie z walijskim prawem zgłaszam swoje roszczenia do Mallilie, gdyż według tego prawa syn jest synem, niezależnie od tego, czy został zrodzony z małżeństwa czy nie, pod warunkiem że jego ojciec go uznał. — Odetchnął głęboko, a napięte rysy jego twarzy zaostriły się jeszcze bardziej. — Czy sąd mnie wysłucha?

Dreszcz i pomruk, jakie przepłynęły przez kościół, spowodowały, że ciemne drewniane ściany jakby zadrżały. Trzej sędziowie na ławie byli wyraźnie poruszeni i zdumieni, ale zachowali niezwykły spokój.

Musimy wysłuchać i wysłuchamy każdego, kto się stawia z pilną sprawą — powiedział przewodniczący — ale musi się on liczyć z tym, że zostanie odroczone po to, by ją rozpatrzeć w normalnym trybie. A teraz mów.

A więc, po pierwsze, jeśli chodzi o ziemie należące do Mallilie, obecni tu ze mną czterej szanowani mężowie, znani wszystkim, posiadają ziemie graniczące z tym majątkiem, a ich granice otaczają dziewięć dziesiątych ziem tego majątku. Tylko jedna dziesiąta dotyczy ziemi angielskiej. I jak wszystkim wiadomo, całość leży po walijskiej stronie grobli. Proszę więc o wysłuchanie moich świadków.

Zaczął najstarszy:

Majątek Mallilie znajduje się na terenie Walii i dlatego sprawy dotyczące go za mojego życia sądzone były przez walijskie prawo

dwukrotnie, mimo że był on w rękach angielskich. To prawda, że inne sprawy były też rozpatrywane przez sądy angielskie, ale Gerwazy Bonel sam dwukrotnie wołał stawić się w tym sądzie i być sądzony przez walijskie prawo. Twierdzę, że walijskie prawo nigdy nie straciło swej mocy wobec żadnej własności ziemi z okręgu Cynllaith.

I my też jesteśmy tego zdania — powiedział drugi starzec.

Czy takie jest zdanie was wszystkich? — spytał sędzia.

Tak.

— Czy jest obecny ktoś, kto chce zgłosić sprzeciw?

Nie było nikogo takiego, natomiast wielu zebranych potwierdziło to, a jeden z nich przypomniał, że niedawno miał spór z Bonelem o zagubione bydło i jego sprawa była rozpatrzona w tym właśnie sądzie, przez ławę, na której zasiadał jeden z obecnych tu sędziów, co bez wątplenia ów sędzia sobie przypomina. — Ława sędziowska przyjmuje zeznanie złożone przez sąsiadów — powiedział przewodniczący, po naradzie ze swymi kolegami, co ograniczyło się do ich kiwnięcia głową. — Nie ma wątpliwości, że ziemia owa znajduje się w Walii i każdy powód zgłaszający do niej swoje roszczenia, może zwrócić się do walijskiego prawa, jeśli tego pragnie. Proszę mówić dalej!

— Jest jeszcze jedna niezwykle ważna sprawa — powiedział Meurig, zwilżając wargi wyschłe z napięcia. — Oświadczam, że jestem synem Gerwazego Bonela, jego jedynym synem, jego jedynym dzieckiem. Proszę tych, którzy mnie znają od urodzenia, aby zaświadczyli o moim pochodzeniu, i każdego, kto zna prawdę, niech przemówi, by mnie poprzeć.

Tym razem wielu zebranych w kościele wstało, by potwierdzić oświadczenie starców: Meurig, syn Angharad, córki Ifora ap Morgana, urodził się w majątku Mallilie, gdzie jego matka była służącą, i wszyscy jeszcze przed jego urodzeniem wiedzieli, że była w ciąży ze swym panem. Nie było to nigdy tajemnicą, a Bonel trzymał chłopca w swym domu i utrzymywał go.

— Jest jednak pewna trudność — powiedział sędzia przewodniczący. — Nie wystarczy, że powszechna opinia przekona na jest, że jakiś mężczyzna jest ojcem, gdyż opinia powszechna może się mylić. Nawet przyjęcie obowiązku łożenia na dziecko nie jest samo w sobie dowodem uznania go za swoje. Musi zostać dowiedzione, że ojciec osobiście to stwierdził. Wymagają tego krewni,

by przyznać młodzieńcowi pełne prawa, nim będzie mógł dziedziczyć jakąkolwiek własność.

— To nic trudnego — powiedział dumnie Meurig i wyciąg nął z za pazuchy kaftana zwinięty pergamin. — Jeśli wysoki sąd zechce przeczytać ten dokument, przekona się, że w tej umowie terminatorskiej, zawartej, kiedy zaczynałem pracę w rzemiośle, Gerwazy Bonel sam nazwał mnie swym synem i opatrzył ją swą pieczęcią.

Wystąpił naprzód i podał pergamin skrybie sędziów, który rozwinął go i uważnie przeczytał.

— Jest, jak on mówi. To umowa między Martinem Bellecote'em, mistrzem stolarskim ze Shrewsbury, a Gerwazym Bonelem, która stwierdza, że młody człowiek, imieniem Meurig, zostanie wyuczony rzemiosła stolarza i snycerza. Wniesiona będzie za to zapłata i otrzymywać on będzie niewielką sumę na swoje utrzymanie. Pieczęć jest w porządku, a młodzieniec został określony słowami „mój syn”. Nie ma żadnych wątpliwości w tej sprawie. Był uznany.

Meurig odetchnął głęboko i czekał w milczeniu. Sędziowie obradowali cicho i z powagą.

Zgadza się wszyscy — powiedział wreszcie przewodniczący — ten dowód jest niepodważalny, iż jesteś tym, za kogo uchodzisz, i masz prawo żądać tej ziemi. Wiadomo jednak, iż zawarto prawomocne porozumienie w sprawie przekazania opactwu w Shrewsbury tego majątku, i na tej podstawie, przed tragiczną śmiercią twego ojca, opactwo przysłało do Mallilie swego zarządcę. W tych okolicznościach żądanie syna winno być poważnie umotywowane, a wobec komplikacji, przedstawione na drodze prawnej. Trzeba również brać pod uwagę angielskiego suzerena, jak też roszczenia, które może wysunąć opactwo; przecież Bonel jasno wyraził swą wolę w tej nie dokończonyj umowie. Będziesz musiał, młodzieńcze, wszcząć formalny proces, by otrzymać ten majątek, dlatego radzimy ci, byś natychmiast zwrócił się do prawników.

Z należytych szacunkiem — powiedział Meurig, który jeszcze bardziej poblądł, ręce po bokach miał spuszczone, dłonie zaciśnięte, jakby już trzymał w nich tę swoją upragnioną ziemię — jest takie zastrzeżenie w prawie walijskim, dzięki któremu mogę objąć moją

własność już teraz, nim sprawa zostanie rozstrzygnięta. Tylko syn może to uczynić, lecz ja jestem synem zmarłego. Domagam się tego zgodnie z prawem dadanhudd, z prawem odkrycia ogniska rodowego mego ojca. Niech sąd da mi na to zezwolenie, a ja pójdę wraz z tymi starszymi, którzy potwierdzają moje roszczenie, i wejdę do domu, który zgodnie z prawem należy do mnie.

Brat Cadfael tak bardzo był pochłonięty tym pełnym pasji wystąpieniem, że omal nie przepuścił odpowiedniego momentu. Jego walijskie serce było po stronie tego wielkiego umiłowania ziemi, którą Meurig powinien był otrzymać, dzięki ojcowskiej krwi płynącej w jego żyłach, czego jednak nie uznawało normańsko-angielskie prawo, gdyż urodził się z mieszanego związku. Jakże zdawał się w tym momencie szlachetny, a siła jego argumentacji porwała sędziów, wszystkich obecnych, nawet Cadfaela.

— Zdaniem sądu twoje roszczenie jest uzasadnione — stwierdził z wielką powagą przewodniczący sądu — i nie można ci odmówić prawa wejścia do tego domu. Ze względu na formalności musimy to przedstawić temu zebraniu, gdyż przedtem sąd nie został o tym powiadomiony. Jeśli jest tu obecny ktoś, kto zgłasza sprzeciw, niech wystąpi i przemówi.

— Ja jestem tym, kto ma coś do powiedzenia, nim będzie wydane to zezwolenie — powiedział Cadfael, z wielkim wysiłkiem wyrywając się ze stanu jakiegoś zauroczenia. — Istnieje pewna przeszkoda.

Wszyscy się obrócili, żeby spojrzeć na niego. Sędziowie przysunęli się do siebie, wypatrując tego, który zabrał głos, Cadfael bowiem nie był wyższy niż większość jego współziomków, a jego tonsura wśród wielu łysiejących głów wcale go nie wyróżniała. Meurig też obrócił się gwałtownie, twarz jego nagle zmartwiała i pobladła. Ten głos był jak cios zadany nożem, lecz go nie rozpoznał, przez chwilę zbyt był oślepiiony, żeby zauważyć falisty ruch, jaki wywołał przeciskający się przez tłum Cadfael.

— Czy jesteś z zakonu benedyktynów w Shrewsbury? — spytał zdumiony sędzia przewodniczący, kiedy ujrzał przed sobą krzepką postać w habicie, która zatrzymała się w nawie. — Czy chcesz przemawiać tu w imieniu swego opactwa?

— Nie — odparł Cadfael. Stał nie dalej niż o dwa jardy od Meuriga, który teraz rozpoznał go aż nadto dobrze. — Nie, jestem tu,

by przemówić w imieniu Gerwazego Bonela.

Przez krótką chwilę Meurig próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał.

Nie rozumiem cię, bracie — rzekł cierpliwie sędzia. — Wyjaśnij, co masz na myśli. Mówiłeś o jakiejś przeszkodzie.

Jestem Walijszym — zaczął mówić Cadfael. — Szanuję prawo walijskie, które powiada, że syn jest zawsze synem, czy to z małżeństwa, czy spoza niego, i ma takie same prawa, choć prawo angielskie może go nazwać bękartem. Tak, syn urodzony poza małżeństwem może dziedziczyć, lecz nie syn, który zamordował swego ojca, tak jak uczynił to ten człowiek.

Oczekiwał wielkiego poruszenia, ale zamiast tego zapanowała cisza jak makiem zasiał. Trzej sędziowie siedzieli sztywni i wzrok mieli taki, jakby nagle skamienieli, wydawało się, że wszyscy w kościele przestali oddychać. A kiedy po chwili otrząsnęli się z tego i obrócili prawie ukradkiem, z lękiem, żeby spojrzeć na Meuriga, z twarzy jego zniknęła przeraźliwa bladeść. odzyskał panowanie nad sobą, choć musiało go to wiele kosztować. Jego czoło i kości policzkowe błyszczały od potu, a mięśnie szyi były napięte jak cięciwa łuku, był już jednak całkowicie spokojny i mógł spojrzeć swemu oskarżycielowi prosto w twarz, nawet udało mu się odwrócić od niego i spojrzeć z godnością i spokojem na sędziów; był to wymowny protest przeciw oskarżeniu zasługującemu tylko na milczącą pogardę. Pewno wielu tu się znajdzie takich, pomyślał ze smutkiem Cadfael, przekonanych, że jestem wysłannikiem opactwa, które chce przeszkodzić albo chociaż opóźnić przekazanie Mallilie prawowitemu właścicielowi. I to za wszelką cenę, nawet oskarżając przyzwoitego człowieka o morderstwo.

To bardzo ciężki zarzut — powiedział przewodniczący sądu, zmarszczywszy czoło. — Jeśli mówisz to poważnie, musisz tego dowieść albo wycofać oskarżenie.

Tak też uczynię. Nazywam się Cadfael, jestem zakonnikiem ze Shrewsbury, zielarzem, i to ja przyrządziłem olejek, którym został otruty Gerwazy Bonel. Chodzi tu o mój honor. Leki mające koić cierpienie i leczyć, nie mogą służyć zabijaniu. Zostałem wezwany, żeby ratować tego umierającego człowieka, i jestem tu po to, żeby domagać się dla niego sprawiedliwości. A teraz opowiem wam, jak ta śmierć została zadana.

Bardzo dokładnie opisał przebieg zdarzeń, wyliczył wszystkich wtedy obecnych i stwierdził, że tylko jedna osoba spośród nich, pasierb Bonela, miała wszelkie powody, by zyskać na jego śmierci.

— Meurig, jak sądziliśmy wtedy, nie miał nic do zyskania, ale wy i ja widzimy teraz, jak wielka stawka w rzeczywistości wchodziła dla niego w grę. Umowa z moim opactwem nie została ostatecznie załatwiona, a zgodnie z walijskim prawem, czego my nie wiedzieliśmy, mogła być odwołana. Pozwólcie mi opowiedzieć jego dzieje tak, jak ja to widzę. Od kiedy dorósł, dobrze zdawał sobie sprawę, że zgodnie z walijskim prawem jego pozycja jako spadkobiercy jest niepodważalna jak każdego syna, kiedy po śmierci ojca zgłosi swe roszczenia do spadku. Nawet testament, który Gerwazy Bonel zrobił po swoim drugim ożenku i uczynił w nim pasierba swoim spadkobiercą, nie zaniepokoił

Meuriga, gdyż taki zapis nie mógł obalić jego praw jako syna z krwi i kości Bonela. Jednak sytuacja się zmieniła, kiedy jego ojciec przekazał swój majątek opactwu w Shrewsbury w zamian za dom, wyżywienie i spokojne życie aż do śmierci, zgodnie z obowiązującymi zwyczajami przy podjęciu decyzji o wycofaniu się z czynnego życia. Jestem przekonany, że gdyby ta umowa została opatrzona pieczęciami natychmiast po spisaniu, wszystko zakończyłoby się raz na zawsze, a ów człowiek musiałby się pogodzić ze swoją stratą i nigdy nie stałby się mordercą. Jednak mój opat został wezwany do Londynu i przekonany, że ktoś inny będzie mianowany na jego miejsce, nie załatwił sprawy do końca. To odroczenie na nowo obudziło nadzieję Meuriga, który zaczął rozpaczliwie szukać sposobu, żeby w przyszłości nie dopuścić do podpisania umowy. Pamiętajcie bowiem o tym, że gdyby opactwo załatwiło ostatecznie wszystkie formalności, jego roszczenia z prawnego punktu widzenia byłyby beznadziejne. W jaki więc sposób Meurig mógł pokonać opactwo Shrewsbury? Posiada ono dość wpływów, żeby mieć pewność, iż każdy proces odbędzie się przed sądem angielskim, a zgodnie z angielskim prawem, co przyznaję z żalem, takie dzieci jak Meurig są wszystkiego pozbawione i nie mogą dziedziczyć. Przez przypadek i dzięki swemu dobremu uczynkowi dowiedział się, gdzie znaleźć zabójczy środek, i uległ pokusie, żeby go zastosować. Wielka to szkoda, gdyż z natury nie był mordercą. Ale teraz oto stoi tu jako winowajca i nie może wejść w posiadanie owocu

swej zbrodni.

Przewodniczący sędzia przechylił się z ciężkim, głośnym westchnieniem na oparcie ławy i spojrzął na Meuriga, który słuchał Cadfaela z kamienną twarzą.

Słyszałeś i zrozumiałeś, o co jesteś oskarżony. Czy chcesz od razu coś odpowiedzieć?

Nie mam nic do powiedzenia — odparł stanowczo. — To są tylko słowa. Nie ma żadnych dowodów. Tak, byłem w tamtym domu wtedy i, jak ten brat powiedział, była tam również żona mego ojca, jej syn i dwoje służących. I to wszystko. Tak, przypadkowo byłem w infirmerii, ale nic nie wiem o tym olejku, o którym on mówi. Gdzież nie łącząca mnie z tym czynem? Bez żadnego dowodu mógłbym to wszystko zarzucić każdej z osób, która była obecna wtedy w tym domu, ale tego nie uczynię. Ludzie szeryfa od początku są pewni, że to zrobił pasierb mego ojca. Nie twierdzą, że to prawda. Twierdzą tylko, że nie ma dowodu, żeby mnie bardziej obciążać niż kogoś innego.

Owszem, jest taki dowód — powiedział Cadfael. — Niewielki dowód, dlatego obciążający, gdyż świadczy o tym, że sprawca nie działał pod wpływem impulsu lub w przystępie gniewu, którego się potem żałuje. Ktokolwiek bowiem wziął porcję mego olejku z tojadu z naszej infirmerii, musiał przynieść ze sobą buteleczkę, żeby go przelać. A potem ukrywał tę buteleczkę, dopóki był obserwowany, i pozbył się jej najszybciej, jak tylko mógł. A miejsce, w którym ją porzucił, świadczy o tym, iż nie mógł uczynić tego Edwin Gurney, pasierb Bonela. Inne osoby z domowników Bonela tak, ale nie ten chłopiec, wiadomo bowiem, co zrobił potem. Wybiegł z domu, pobiegł przez most i do miasta, są na to świadkowie.

— Jak dotąd nie mamy nic prócz słów, i to podłych słów — odezwał się Meurig, zyskując na odwadze. — Ta buteleczka nie została znaleziona, gdyż dowiedzielibyśmy się o tym od ludzi szeryfa. Jest to bajka zmyślona tylko na użytek tego sądu.

Oczywiście nie wiedział o znalezieniu buteleczki; nie wiedział o tym nawet Edwin ani Hugh Beringar, tylko Cadfael i brat Marek. Dzięki Bogu, że to on ją znalazł, zaznaczył miejsce, gdyż nie mógł być podejrzewany przez kogokolwiek, że jest przekupionym świadkiem.

Cadfael sięgnął do swej sakwy, wyciągnął buteleczkę z ciemnozielonego szkła i wyjął ją ostrożnie z kawałka płótna, w j aki

była owinięta.

— Owszem, została znaleziona. Oto ona! I w wyciągniętej ręce podsunął ją pod przerażoną twarz Meuriga, który błyskawicznie opanował moment załamania i przerażenia. Będący tego bezpośrednim świadkiem Cadfael nie miał już cienia wątpliwości. I poczuł wielkie współczucie, gdyż go polubił. — Zostało to znalezione — powiedział Cadfael, zwracając się do ławy sędziowskiej — nie przeze mnie, lecz przez młodego nowicjusza, który bardzo mało wie o całej sprawie i nic nie zyskałby na kłamstwie. Buteleczka leżała w lodzie na zamrzniętym stawie, pod oknem wewnętrznej izby w domu Bonela, w której Edwin Gurney ani przez chwilę nie był sam i nie mógł wyrzucić jej przez okno — miejsce jest dokładnie zaznaczone. Sprawdźcie to, jeśli chcecie. Ale ostrożnie, gdyż wyschłe ślady olejku są po jednej zewnętrznej stronie buteleczki i jeszcze widoczny jest na niej osad ziół.

Meurig obserwował, jak ten straszny przedmiot w kawałku płótna podają sobie kolejno trzej sędziowie, ale odezwał się bardzo spokojnie:

— Nawet jeśli tę buteleczkę brać pod uwagę — nie ma tu bowiem tego, który ją znalazł, i nie wiemy, co miałby na ten temat do powiedzenia — było nas wtedy czworo i każda z osób prze bywających w domu przez resztę dnia mogła wchodzić do wewnętrznej izby i wychodzić z niej, kiedy chciała. Owszem, wtedy ja pierwszy wyszedłem, gdyż musiałem wrócić do warsztatu mego majstra w mieście. Tamci zostali, bo byli mieszkańcami tego domu.

Mimo wszystko proces się zaczął i Meurig, choć tak świetnie się trzymał, nie mógł zapanować nad nutą niepewności w głosie. Zdawał sobie z tego sprawę i był przestraszony, obawiał się nie o siebie, lecz o ziemię, na której się urodził i którą tak bardzo ukochał. Cadfael jeszcze nigdy dotąd nie przeżywał tego rodzaju rozterki duchowej i dłużej nie mógł tego znieść. Najwyższy czas skończyć z tym. Musiał też pamiętać, że Edwin był uwięziony, o czym Meurig dotąd nie miał pojęcia; z jednej strony wiadomość ta mogła go umocnić w jego postawie, z drugiej mogła go wzruszyć i zaskoczyć. Ani razu bowiem podczas długiego przesłuchania po śmierci Bonela Meurig nie próbował skierować podejrzania na Edwina, o którego winie sierżant był przekonany.

— Wyjmijcie korek — prawie rozkazująco powiedział Cadfael do trzech sędziów. — Zwróćcie, proszę, uwagę na zapach jest nadal na tyle mocny, że można go rozpoznać. Musicie uwierzyć mi na słowo, że ten

olejek był przyczyną śmierci Bonela. Widzicie, jak spłynął po buteleczce, która została spiesznie zakorkowana po dokonaniu tego czynu, wszystko bowiem było wtedy robione w pośpiechu. Jednak ktoś nosił tę buteleczkę przy sobie przez cały ten czas, kiedy ludzie szeryfa przybyli i potem odeszli. Musiała zostawić tłustą plamę, niełatwą do usunięcia.

i do tego mocny zapach... tak widzę, że wyczuliście ten zapach. — Odwrócił się do Meuriga, wskazując na jego sakwę z surowe go płótna, która wisiała mu u pasa. — Pamiętam dobrze, iż tego dnia nosiłeś ją. Niech sędziowie sami, mając tę buteleczkę w rękach, przekonają się, czy znajdowała się w sakwie godzinę, dwie czy więcej i zostawiła po sobie ślad i zapach. Podejdz, Meurigu, odepnij sakwę i podaj ją sędziom.

Meurig rzeczywiście spuścił rękę, żeby ją odczepić, jakby posłusznie chciał to uczynić. Cadfael dobrze wiedział, że może nic tam nie będzie można znaleźć, choć nie wątpił, że buteleczka istotnie tam się znajdowała przez całe to popołudnie bolesnej śmierci Bonela. Wystarczyło tylko trochę beczelności i to jedyne kruche świadectwo przeciw Meurigowi mogło pęknąć jak bańka mydlana i zostawić po sobie tylko cień podejrzenia, jak pęknięta bańka mydlana zostawia wilgoć na dłoni. Ale on nie miał tej pewności! Nie miał pewności! Natomiast sprawdzenie sakwy i nie znalezienie niczego nie uniewinniłoby go całkowicie, a sprawdzenie i znalezienie choćby szwu splamionego olejkiem czy nadal przenikliwego zapachu pograżyłoby go zupełnie. Palce, które już, już miały wyciągnąć pierwszy rzemień, nagle zacisnęły się w pięść.

Nie! — powiedział ochryple. — Czemu miałbym się poddać tej niegodnej próbie? To człowiek wysłany przez opactwo, żeby przekreślić raz na zawsze moje roszczenia.

Ależ to całkiem rozsądne żądanie — odparł surowo przewodniczący. — Nie ma mowy o wydaniu cię komukolwiek poza tym sądem. Nie możesz żywić podejrzeń, że możemy coś zyskać, dyskredytując cię. Ława sędziowska żąda, byś podał sakwę skrybie.

Skryba, przywykły do tego, że polecenia sądu wykonywano bez sprzeciwu, podszedł, wyciągając rękę. Meurig nie zamierzał ryzykować. Nagle odwrócił się i skoczył w kierunku otwartych drzwi, roztrącając starców, którzy przybyli, by poprzeć jego sprawę. W jednej

chwili znalazł się na dworze, uciekając jak jeleń w zimowym świetle poranka. W kościele wybuchł wielki tumult, połowa obecnych wybiegła z kościoła, żeby gonić uciekiniera, choć po pierwszym impulsywnym odruchu czynili to bez wielkiego entuzjazmu. Widzieli, jak Meurig przeskoczył kamienny mur cmentarza i pognął w stronę lasu, który porastał wzgórze na tyłach kościoła.

W na poły opuszczonym kościele zapanowało ciężkie milczenie. Czterej starcy patrzyli na siebie bezradnie, nie zamierzając przyłączyć się do pogoni, zaniepokojeni sędziowie cicho rozmawiali. Cadfael stał pochylony, nie mogąc zebrać myśli, całkiem pozbawiony energii, aż wreszcie odetchnął głęboko, podniósł wzrok i zaczął mówić.

Nie było tu spowiedzi winowajcy ani formalnego oskarżenia go, nie została mu też wytoczona sprawa. Ale to wszystko jest dowodem przemawiającym na korzyść chłopca, który siedzi teraz w więzieniu, w Shrewsbury, podejrzany o dokonanie tej zbrodni. Pozwólcie, że powiem to, co mogę i co powinno być powiedziane na korzyść Meuriga: on nie wiedział, że Edwin Gurney został pojmany, jestem tego pewien.

Nie mamy innego wyjścia, musimy go ścigać — powiedział przewodniczący sędzia. — I tak też się stanie. Ale protokół posiedzenia tego sądu musi być z pewnością ze względów grzecznościowych jak najszybciej przesłany szeryfowi w Shrewsbury. Czy to cię zadowoli, bracie?

O to właśnie chciałem prosić. Prześlijcie także, jeśli chcecie, buteleczkę, której prawdziwość potwierdzi nowicjusz imieniem Marek, ponieważ on ją znalazł. Trzeba to wszystko przesłać zastępcy szeryfa, którym jest Hugh Beringar, obecnie sprawujący władzę, i tylko jemu należy wręczyć protokół. Rad byłbym sam to zrobić, lecz jeszcze mam tu coś do załatwienia.

Naszym skrybom zrobienie i poświadczenie niezbędnych kopii zajmie kilka godzin. Ale najpóźniej jutro wieczorem ten protokół będzie doręczony. Myślę, że więzień, o którego się brat martwi, wkrótce nie będzie musiał się już niczego obawiać.

Brat Cadfael podziękował i wyszedł z kościoła. Wioska kipiała podnieceniem; opowieść o porannych wydarzeniach rozniosła się lotem strzały i z pewnością dotarła już poprzez wzgórze do całego okręgu Cynllaith. Ale nawet wieści nie biegly tak szybko jak Meurig, gdyż

przez cały dzień nie natrafiono na żaden jego ślad. Cadfael wyprowadził swego konia z ogrodzonej łąki, wsiadł na niego i odjechał. Przerażliwe zmęczenie, jakie ogarnęło go, kiedy tak nagle skończyła się mobilizacja do najwyższego wysiłku, powoli przeszło w dojmujący smutek, a ten wreszcie przemienił się w spokój. Wracał bardzo wolno, gdyż musiał mieć czas do namysłu, ale przede wszystkim komuś innemu musiał dać czas do jeszcze pilniejszego myślenia. Rzucił tylko krótkie spojrzenie, kiedy przejeżdżał koło domu w Mallilie. Nie tutaj miało nastąpić zakończenie całej sprawy.

Dobrze wiedział, że się jeszcze nie skończyła.

Szybko brat wrócił — powiedział Szymon, układając opał w żelaznym koszu, żeby był gotów na wieczór. — Cokolwiek czyniłeś, wierzę, że Bóg ci sprzyjał.

Sprzyjał mi — odparł Cadfael. — A teraz twoja kolej, bracie, byś odpoczął i resztę pracy zostawił mnie. Zaprowadziłem konia do stajni, oporządziłem go i nakarmiłem, nie spracował się zbyt, gdyż dbałem o niego. Po wieczery zamknę kurnik i zajrzę do krowy i nadół do stodoły, sprowadzę kotne owce, gdyż zdaje mi się, że tej nocy będzie większy mróz. To ciekawe, ale na tych wzgórzach jasno jest o pół godziny dłużej niż w mieście.

Po prostu, bracie, twoje walijskie oczy odzyskują właściwą im bystrość. Rzadko kiedy zdarza się tu, by człowiek nie mógł podróżować bezpiecznie wśród położonych wysoko grzędzawisk, nawet niezbyt dobrze znając te okolice. Tylko w lasach jest naprawdę ciemno. Kiedyś rozmawiałem z pewnym wędrującym z północy rudowłosym bratem, którego języka prawie nie mogłem zrozumieć. Powiedział mi, że w jego odległym kraju były takie noce, że słońce ledwo zaszło z jednej strony, to już wschodziło z drugiej, i cały czas widać było drogę oświetloną nie kończącą się łuną. Ale nie wiem — dodał po chwili namysłu brat Szymon — czy on tego nie wymyślił. Nigdy nie byłem dalej niż w Chester.

Brat Cadfael powstrzymał się od tego, by opowiedzieć o własnych podróżach, które wspominał teraz ze zdumionym zadowoleniem żyjącego bez pośpiechu człowieka. Prawdę mówiąc, swego czasu cieszył się burzami nie mniej, niż teraz cieszył się spokojem, jeśli to był istotnie spokój, ale wszystko ma swój czas.

— Bardzo jestem rad z tego pobytu u was — powiedział, i to

przynajmniej była prawda. — Pachnie tu jak w Gwynedd. A ludzie tutejsi zmusili mnie do mówienia po walijsku, co dobrze mi zrobiło, bo w Shrewsbury rzadko mam do tego okazję.

Brat Barnaba na wieczerzę podał dobry chleb własnego wypieku, jęczmienny krupnik, ser owczy i suszone jabłka. Oddychał teraz całkiem swobodnie i krzątał się po chacie energicznie i bez zmęczenia.

Jestem już gotów do pracy, bracie — powiedział — dzięki twym umiejętnościom. Dziś wieczorem sam sprowadzę kotne owce.

Nie ma mowy — rzekł stanowczo Cadfael. — Ja to uczynię, gdyż cały dzień się nie przemęczałem. Powinieneś cieszyć się, widząc, jak pochłaniamy ten upieczony przez ciebie chleb; jest to umiejętność, której nie posiadam, i jestem wdzięczny Bogu, że inni ludzie potrafią to robić.

Bracia w Rhydycroesau wcześniej jadalі wieczerzę, pracując zazwyczaj od świtu przez cały dzień. Na dworze była delikatna poświata: na wschodzie czysty jasny błękit, na zachodzie zaś blada luna. Cadfael wyszedł i zaczął się wspinać na najbliższe wzniesienie, skąd miał sprowadzić ciężarne owce. Mieli ich niewiele, lecz były w cenie, gdyż często rodziły nawet po dwoje jagniąt, które przy troskliwej pielęgnacji można było wychować. Cadfael idąc pod górę, stwierdził, iż czerpie głęboki spokój i zadowolenie z życia pasterskiego. Zwierzęta, którymi się teraz opiekował, rzadko bywały zabijane, chyba że z powodu choroby, okaleczenia czy starości albo w trudnych okresach, kiedy podczas ciężkiej zimy nie można było wyżywić całego stada. Ich runo i mleko miały większą wartość niż mięso, a ich cenne skóry można było ściągnąć tylko raz. Tak więc wiodły życie na łonie natury, stając się bliskie i ufne. Dawały się dobrze poznać i miały nawet imiona. Pasterze zaś obcowali z istotami łagodnymi, które nikogo nie zabijały, nie kradły, nie trudniły się rozbojem, nie łamały praw, nie skarżyły się na swój los i nie wzniewały rebelii.

Inna sprawa, że nie mógłbym być pasterzem przez dłuższy czas, pomyślał Cadfael, wspinając się na wzgórze długim sprężystym krokiem. Pozbawiony byłbym tych wszystkich rzeczy, nad którymi ubolewam, obserwacji, do czego zdolny jest człowiek, miotający się między złem i dobrem. I natychmiast zaczął rozmyślać o potyczkach, zwycięstwach i ofiarach minionego dnia.

Na grzbiecie wzgórza stanął wpatrzony w nadchodzącą noc,

świadom, że musi być widoczny z dużej odległości. Niebo nad nim było ogromne i bardzo wysokie, ciemnoniebieskie, z lekkim zarysem gwiazd tak nowych i pięknych, że dostrzec je można było tylko kątem oka, a bezpośrednio spojrzenie natychmiast je gasiło. Spojrzał w dół na pastwiska, otoczone murkami, i ciemne skupisko zabudowań i nie był pewien, czy naprawdę widział jakiś ruch przy narożniku stodoły. Przywykłe do pieszczot kotne owce zebrały się wokół niego z własnej woli, gotowe na noc zejść w dolinę, do ciepłej stodoły. Ich zaokrąglone boki i brzuchy kołysały się łagodnie, kiedy zadowolone podchodziły do niego. W słabym oświetleniu lśniły ich zdumiewająco żółte oczy.

Kiedy wreszcie się ruszył i zaczął powoli schodzić zboczem wzgórza, szły za nim posłusznie na swych małych zręcznych kopytkach, trzymając się blisko siebie i od czasu do czasu popychając nawzajem, a łagodny, ciepły, tłusty zapach ich runa tworzył wokół nich płynącą chmurę. Co jakiś czas liczył je i przyzywał jedną czy drugą bardziej opieszalą, zwłaszcza te młode, które po raz pierwszy miały się kocić i były jeszcze niedoświadczone. W końcu udało mu się je sprowadzić.

W tym pustym i cichym zmierzchu Cadfael zauważył nagle, że coś żywego mignęło pomiędzy budynkami w dole. Na szczęście brat Szymon i brat Barnaba posłuchali go i zadowoleni grzali się w ciepłej chacie, pewno drzemiąc przy ogniu.

Poprowadził swoje owce do dużej stodoły, w połowie opróżnionej, żeby wieczorem miały się gdzie schronić aż do czasu, kiedy zaczną się kocić. Szerokie wrota otwierały się do wewnątrz; otworzył je na oścież i wprowadził stado. Czekał tu na nie żłób z paszą i koryto z wodą. Nie potrzebowały światła, żeby znaleźć drogę. W stodole było mroczno, pachniało sianem i suchą koniczyną, i runem owczym. Górskie owce nie mają długiej wijącej się wełny jak te nizinne, lecz porasta je bardzo grube, krótkie runo, które daje prawie tyle samo wełny, co prawda nieco gorszego gatunku. Poza tym rozwijają się dobrze na pastwiskach, których ich rozgrymaszone kuzynki z nizin by nie tknęły. Również sery z ich mleka były bardzo smakowite.

Cadfael zapędził ostatnią, najbardziej krnąbrną owcę do stodoły i wszedł za nią, zanurzając się w mroku, który sprawił, że przez chwilę nic nie widział. Nagle wyczuł za plecami czyjaś obecność i stanął jak wryty. Nie drgnął nawet, kiedy zimne ostrze zostało przyłożone mu do

gardła; już nieraz przykładano mu nóż do gardła i nie był aż takim głupcem, żeby wywołać w napastniku strach lub złośliwość, zwłaszcza kiedy uprzedził, że się zbliża.

Czyjeś ramię otoczyło go z tyłu, przyciskając mu obie ręce do ciała, a on nie zrobił żadnego ruchu, żeby odskoczyć albo się opierać.

I brat myślał, że jak mnie zniszczył — rozległ się zdyszany głos koło jego ucha — to ja wejdę w ciemność bezbronny?

Oczekiwałem cię, Meurig — odparł całkiem spokojnie Cadfael. — Zamknij wrota! Nie obawiaj się, ja się nie ruszę. Tobie i mnie nie potrzeba teraz świadków.

Rozdział 10

— Rzeczywiście — odezwał się nad jego uchem głos niski i groźny — nie potrzeba nam świadków. Tylko do ciebie, mnichu, mam interes, i to krótki.

Jednak niewidzialne ramię zwolniło swój ucisk i po chwili ciężkie wrota zamknęły się z głuchym łoskotem, odcinając widok nieba, na którym z tej ograniczonej ścianami ciemności gwiazdy wyglądały podwójnie duże i jasne.

Cadfael stał bez ruchu i słyszał, jak Meurig, rozłożywszy ramiona, oparł się plecami o zamknięte wrota i głęboko oddychał, rozkoszując się tym szczytowym momentem i ostateczną zemstą. Innego wyjścia nie było i dobrze wiedział, że jego ofiara nie ruszy się nawet o krok.

— Nazwałeś mnie mordercą, czemu więc miałbym się cofnąć teraz przed morderstwem? Zniszczyłeś mnie, zhańbiłeś, stałem się wyrzutkiem dla własnej rodziny, odebrałeś mi prawa wynikające z mego urodzenia, moją ziemię, moje dobre imię, wszystko, co sprawiało, że moje życie miało jakąś wartość, i dlatego w zamian za to ja tobie zabiorę życie. Nie mogę teraz żyć, nie mogę nawet umrzeć, dopóki nie

zadam ci śmierci, bracie Cadfaelu!

Dziwne, jak ten prosty akt nadania ofierze imienia zmienił wszystko, nawet ten związek w ciemności, niby pierwszy błysk światła, a więcej światła mogło tylko sprzyjać zmianie na lepsze.

— Na wrotach, o które się opierasz — powiedział rzeczowo Cadfael — wisi latarnia, a obok znajdziesz woreczek z krzemieniem, stalą i hubką. Przynajmniej będziemy mogli się nawzajem widzieć. Bądź ostrożny. Uważaj na iskry, owce nie zrobiły ci nic złego, a gdybyś zaprószył ogień, przybiegliby tu ludzie. Latarnię postaw na półce.

A ty będziesz się starał ratować swoje stracone już życie... Dobrze wiem o tym!

Nie ruszę ręką ani nogą — powiedział cierpliwie Cadfael. — Jak myślisz, dlaczego postarałem się, żeby cały dzisiejszy obrządek przypadł w udziale mnie? Wiedziałem, że przyjdiesz. Nie mam broni, a nawet gdybym miał, to i tak nie użyłbym jej. Dawno temu skończyłem z nią.

Nastąpiła długa chwila milczenia, a choć dobrze wiedział, że Meurig oczekuje czegoś więcej od niego, nie dodał ani słowa. Potem usłyszał skrzypienie latarni, kiedy niepewne palce natrafiły na nią, chrobot otwieranej rogowej osłonki, macanie dłonią w poszukiwaniu półki i stuk latarni, stawianej, gdy ją wreszcie znalazł. Następnie rozległo się wielokrotne pocieranie o krzesiwo, aż wreszcie pojawił się błysk rozniecanych i szybko gasnących iskier, po chwili brzeg osmolonego materiału zapalił się małym płomykiem, który Meurig zaczął rozdmuchiwać; jego pochylona nad nim twarz wyglądała upiornie, wreszcie knot zajął się długim płomieniem. Przyćmione żółte światło przywołało do życia żłób, koryto na wodę, las cieni w górze, rzucanych przez sieć krokwi, łagodne, obojętne owce oraz Cadfaela i Meuriga bacznie patrzących na siebie.

— Teraz — powiedział Cadfael, wygodnie siadając na brzegu żłobu — możesz przynajmniej wyraźnie zobaczyć to, po co tu przyszedłeś.

Meurig ruszył do niego spokojnym długim krokiem przez pył i plewy klepiska. Twarz jego była szara i napięta, oczy głęboko zapadnięte, płonące gniewem i bólem. Podszedł tak blisko, że dotknęli się kolanami, i wolno przystawił Cadfaelowi nóż do gardła; patrzyli sobie prosto w oczy ponad ośmioma calami stali.

Nie boisz się śmierci? — spytał prawie szeptem Meurig.

Nieraz się o nią ocierałem. Darzymy siebie nawzajem szacunkiem. Przecież nie można jej wiecznie unikać, wszystkich nas czeka. Mnie... ciebie... Gerwazego Bonela już spotkała. Musimy umrzeć, każdy z nas, wcześniej czy później. Ale nie musimy zabijać. My obaj dokonaliśmy wyboru, ty mniej więcej tydzień temu, ja kiedy żyłem, posługując się mieczem. Jestem tu, tak jak sobie tego życzyłeś. A teraz weź sobie ode mnie to, co chcesz.

Nie spuszczał wzroku z oczu Meuriga, ale kątem oka widział, jak mocne palce zaciskają się, jak napinają się mięśnie nad przegubami dłoni. Poza tym żadnego ruchu. Nagle wydawało się, iż ciało Meuriga zbiera się w sobie w rozpaczliwym wysiłku, by zadać cios, lecz na próżno. Szarpnął się w tył i z jego gardła dobył się zwierzęcy stłumiony jęk. Cisnął nóż, który ze świstem, drżący, wbił się w glinianą polepę, uniósł obie ręce i chwycił się za głowę, jak gdyby cała jego siła i wola nie mogły znieść cierpienia, które go wszechwładnie ogarnęło. Potem ugięły się pod nim nogi i skulony padł u stóp Cadfaela, z twarzą ukrytą w ramionach, które oparł o żłób z sianem. Otaczające ich wokół żółte ślepia spokojnie przeżuujących owiec patrzyły z obojętnym zdumieniem.

Rozległ się stłumiony pełen rozpaczy głos Meuriga:

O Boże, gdybym ja tak mógł stanąć wobec własnej śmierci... bo przecież na nią zasługuję, zasługuję, a nie mam odwagi spłacić swego długu! Gdybym był niewinny... gdybym tylko był znów niewinny... — I z wielkim jękiem dodał: — Och, Mallilie...

To bardzo piękne miejsce — rzekł Cadfael cicho. — Ale poza nim istnieje świat.

Nie dla mnie, nie dla mnie... Jestem zgubiony. Pomóż mi! Wydadź mnie... pomóż mi, bym przygotował się na śmierć... — Nagle wstał, spojrzął na Cadfaela, jedną ręką chwytając go za habit. — Bracie, to ty powiedziałeś... że ja z natury nie byłem mordercą...

Czyż nie jestem tego dowodem? Żyję, i to nie strach powstrzymał twoją rękę.

Zwykły przypadek kierował mną, powiedziałeś, i tylko z powodu mego dobrego uczynku... To była litość, powiedziałeś. Wielka litość... Czy naprawdę wierzysz w to, bracie? Czy istnieje litość?

Wierzę w każde słowo, które powiedziałem. I w litość, i w to, że

tak bardzo odszedłeś od swej natury, że sam siebie otrułeś, tak jak otrułeś ojca. Powiedz mi, Meurig, czy w tych ostatnich kilku dniach byłeś w domu dziadka? Czy miałeś od niego jakieś wiadomości?

Nie — odparł bardzo cicho Meurig i zadrżał na myśl o tym wspaniałym starcu, teraz zapewne pogrążonym w rozpacz.

A więc nie wiesz, że Edwin został stąd zabrany przez ludzi szeryfa i jest teraz w więzieniu w Shrewsbury.

Nie, o tym nie wiedział. Spojrzał przerażony, rozumiejąc, co to oznacza, i gwałtownie potrząsnął głową, mówiąc:

Nie, przysięgam, nie przyczyniłem się do tego... Kusilo mnie... Nie mogłem przeciwstawić się temu, by jego obarczyli winą, ale go nie zdradziłem... Wysłałem go tutaj. Postarałbym się, żeby stąd uciekł... Wiem, to nie wystarczyło, to mnie jednak nie obciąża! Bóg mi świadkiem, że bardzo lubiłem tego chłopca.

Wiem o tym — rzekł Cadfael — i wiem także, że to nie ty ich posłałeś, żeby go pojмали. Nikt rozmyślnie nie zdradził Edwina. Mimo to schwytali go. Jutro będzie znów wolny. Pamiętaj, że choć jedna sprawa została załatwiona, a wielu innych załatwić się nie da.

Meurig położył zbielale ściśnięte dłonie na kolanach Cadfaela i podniósł udręczoną twarz, wyraźnie widoczną w łagodnym świetle latarni.

Bracie, swego czasu byłeś sumieniem dla wielu innych ludzi, na miłosierdzie Boże, uczyn to również dla mnie, bo jestem chory, jestem okaleczony, nie jestem sobą. Powiedziałeś... wielka litość! Wyznam ci całe popelnione zło!

Dziecko — powiedział wstrząśnięty Cadfael i położył dłoń na skamieniałych, zimnych jak lód pięściach — ja nie jestem księdzem, nie mogę udzielić ci absencji, nie mogę wyznaczyć pokuty...

Możesz, bracie, możesz! Właśnie ty, który znasz to, co we mnie najgorsze! Wysłuchaj mojej spowiedzi, a będę lepiej przygotowany, i potem wydaj mnie, bym został ukarany, aja nie będę się skarżył...

Mów więc, jeśli to ma ci przynieść ulgę — powiedział z wielką powagą Cadfael i trzymał rękę na dłoniach Meuriga, kiedy płynęła opowieść, wyrzucana w łamiącym się strumieniu słów, niby krew z rany, o tym, jak poszedł do infirmerii bez złych zamiarów, żeby sprawić radość staremu człowiekowi, i całkiem przypadkiem dowiedział się o właściwościach olejku, którego użył do nacierania, i tego, że może być

zastosowany w zupełnie innym celu. Dopiero wtedy zrodził się fatalny zamysł. Ledwie kilka tygodni dzieliło go od utraty na zawsze Mallilie, a oto nadarzył się sposób, żeby temu zapobiec.

I tak powoli rosła we mnie myśl, że to nie będzie trudne do zrobienia... Za drugim razem, kiedy tam poszedłem, wziąłem ze sobą buteleczkę i napełniłem ją. Ale wtedy jeszcze ciągle to był tylko szalony pomysł... Jednak wziąłem ją ze sobą tego ostatniego dnia i powiedziałem sobie, że łatwo będzie dodać jej zawartość do jego pitnego miodu czy wina... Mogłem być nigdy tego nie zrobić, tylko pragnąć, chociaż myśl też jest grzechem. Kiedy jednak wszedłem do tego domu, a oni wszyscy byli w środkowej izbie, usłyszałem, jak Aldith mówi, że przeor przysłał ze swojej kuchni specjalne danie dla mego ojca ze swego stołu, jakiś smakołyk, żeby mu sprawić przyjemność. I to danie stało na ogniu, na ruszcie, żeby nie wystygło, i tkwiła w nim łyżka... Zrobiłem to, zanim pojąłem, co zamierzam uczynić... Potem usłyszałem, jak Aelfric i Aldith odchodzą od stołu i w jednej chwili znalazłem się za progiem, udając, że właśnie otworzyłem drzwi, i wycierałem starannie buty. nim oni weszli do kuchni... Oczywiście pomyśleli, że właśnie przyszedłem. Ileż to razy w następnej godzinie marzyłem o tym, żeby to się nigdy nie stało, Bogu jednemu wiadomo, ale takich rzeczy nie można cofnąć, aja jestem zgubiony... Nic innego mi nie zostało. Kiedy nie ma drogi odwrotu, trzeba iść naprzód.

I tak musiał postąpić, skoro wówczas, tak jak dziś, nie cofnął ręki przed zbrodnią.

— Brnąłem więc dalej. Walczyłem o owoc mego grzechu, o Mallilie, ze wszystkich sił. Nie nienawidziłem mego ojca, lecz naprawdę kochałem tylko Mallilie i było ono moje, moje... Czemuż nie mogłem zdobyć go uczciwie! Istnieje jednak sprawiedliwość, a ja przegrałem i nie skarzę się. A teraz wydaj mnie i pozwól, bym za jego śmierć zapłacił śmiercią moją, tak jak się należy. Pójdę z tobą z własnej woli, jeśli chcesz, bym odzyskał spokój.

Z głośnym westchnieniem położył głowę na mocnej ręce Cadfaela i umilkł. Po długiej chwili Cadfael położył swą drugą rękę na gęstej, ciemnej czuprynie i tak ją trzymał. Księdzem nie był i rozgrzeszenia nie mógł udzielać, a teraz znalazł się w trudnej sytuacji, będąc zarówno sędzią, jak i spowiednikiem. Trucizna jest jednym z najbardziej podłych

sposobów zabijania, dla stali żywił szacunek. A jednak... Czyż Meurig nie był człowiekiem poważnie skrzywdzonym? Z natury był serdeczny, miły, pozbawiony goryczy, to pod wpływem okoliczności zmienił się i raz. jeden jedyny raz postąpił wbrew swej naturze, a co gorsza, w pełni był świadom swej śmiertelnej choroby. Jedna śmierć wystarczyła, jakizż pożytek byłby z drugiej? Bóg zna inne sposoby równoważenia szal.

— Poprosiłeś mnie o wyznaczenie pokuty — odezwał się wreszcie Cadfael. — Czy nadal obstajesz przy tym? I zniesiesz ją, i wytrwasz w niej, niezależnie od tego, jak trudna by była?

Ciężka głowa zadrżała na jego kolanie.

Tak, obstaję przy niej — odparł szeptem Meurig. — I będę za nią wdzięczny.

Nie chcesz łagodnej pokuty?

Chcę takiej, jaka mi się należy. Czyż inaczej mógłbym odzyskać spokój?

Bardzo dobrze, sam się zobowiązałeś, Meurigu. Przyszedłeś tu, żeby mnie pozbawić życia, ale kiedy trzeba było zadać cios, nie mogłeś tego uczynić. Teraz złożyłeś swoje życie w moje ręce, a ja wiem, że nie mogę go wziąć, co więcej, wiem, że postąpiłbym źle, gdybym je wziął. Jakizż pożytek dla świata byłby z twojej krwi? Największym darem są twoje ręce, twoja siła i twoja wola, ta cnota, którą nadal posiadasz. Chcesz w pełni zapłacić? A więc płać! Oto twoja pokuta na całe życie, Meurigu. Zakładam, że czeka cię długie życie. I spłacisz wszystkie swoje długi, mając wzgląd na tych, którzy ten świat zamieszkują wraz z tobą. Waga dobra, które uczynisz, może tysiąckrotnie przeważać ciężar zła, które popełniłeś. Oto pokuta, jaką na ciebie nakładam.

Meurig drgnął i podniósł zdumioną twarz; nie malowała się na niej ani ulga, ani radość, tylko wielkie zaskoczenie.

Naprawdę brat tak uważa? Tak muszę postępować?

Tak musisz postępować. Żyj, dąż do poprawy, mając do czynienia z grzesznikami, pamiętaj o własnej słabości, a przestając z niewinnymi, szanuj ich i służ im własną siłą. Czyn tyle dobra, ile potrafisz, a resztę zostaw Bogu. Czyż święci mogliby zrobić więcej?

Będą na mnie polować — powiedział Meurig, nadal pełen zwątpienia. — Czy brat nie będzie uważał, że zawiodłem go, kiedy mnie złapią i powieszą?

Nie złapią cię. Jutro będziesz daleko stąd. W stajni obok tej stodoły

jest koń, ten, na którym dzisiaj jeździłem. W tych stronach łatwo jest ukraść konia, to stara walijska zabawa, o czym sam dobrze wiem. Ale ten nie będzie ukradziony. Daję ci go i ja za to będę odpowiedzialny. Na grzbiecie konia można zwiedzić cały świat, a prawdziwy pokutnik może przez całe długie życie zmierzać krok za krokiem do łaski. Na twoim miejscu jeszcze przed świtem przedostałbym się przez wzgórza daleko na zachód, a potem skierował na północ do Gwynedd, gdzie nikt cię nie zna. Ale ty przecież lepiej znasz te wzgórza niż ja.

Tak, znam je dobrze — powiedział Meurig i wreszcie z jego twarzy zniknął wyraz rozpaczy, a zagościło na niej dziecięce zdumienie. — I to wszystko? Niczego więcej ode mnie nie żądasz?

Przekonasz się, że to jest wystarczająco trudne — odparł Cadfael. — Ale, owszem, jest jeszcze jedna rzecz. Kiedy znajdziesz się już daleko stąd, wypowiedaj się księdzu, poproś go, żeby spisał twoją spowiedź i posłał ją do szeryfa w Shrewsbury. To, co dzisiaj się wydarzyło w Llansilin, uwolni Edwina, ale nie chciałbym, żeby po twoim odjeździe istniały wobec niego jakieś wątpliwości, czy jakiś cień na nim spoczywał.

Ja też bym nie chciał, żeby tak było — zgodził się Meurig. — I uczynię to.

Ruszaj więc w drogę, masz przed sobą długą pielgrzymkę. I weź ten nóż z powrotem. — Uśmiechnął się. — Potrzebny ci będzie do krojenia chleba i polowania na mięso.

Dziwne to było zakończenie. Meurig wstał jak ktoś we śnie, wyczerpany, a jednocześnie odnowiony, jak gdyby potężny deszcz z niebios zmył z niego i z jego zmysłów cierpienie, ożywił go i uczynił z tonącego człowiekiem całkowicie przemienionym. Cadfael musiał go prowadzić za rękę, po tym jak odwiesili zgaszoną latarnię na miejsce. Na dworze noc była niezmiernie cicha i gwiazdzista, zapowiadał się mróz. W stajni Cadfael sam osiodłał konia.

— Daj mu odpocząć, kiedy ci już nic nie będzie groziło. Nosił mnie dziś, ale to nie była wielka podróż. Dałbym ci muła, bo jest wypoczęty, ale on jest powolny i budziłby zdziwienie, a jeszcze większe dosiadający go Walijsczyk. A teraz wsiadaj i ruszaj! Jedź z Bogiem!

Meurig zadrżał, słysząc te słowa, ale jego blada, skupiona twarz nie zmieniła się. Trzymając już stopę w strzemieniu, powiedział w nagłym

przyplýwie wielkiej pokory:

— Udziel mi swego błogosławieństwa! Gdyż do końca życia zaciągnąłem wobec ciebie wielki, nie do spłacenia dług.

Ruszył w górę zbocza, zręcznie omijając pastwiska, drogami, które znał lepiej niż ten, który kazał mu nimi jechać. Wracał do świata żyjących. Cadfael przez dłuższą chwilę patrzył za nim.

a potem odwrócił się w stronę domu. Idąc, pomyślał: Gdybym cię wypuścił w świat nie zmienionego, groźnego lub gdyby ta oczyszczająca skrucha zniknęła, jak tylko stałbyś się bezpieczny, wtedy ja byłbym obciążony winą. Wiedział jednak, że nie musi specjalnie się obawiać; im bardziej zastanawiał się nad drogą postępowania, jaką obrał, tym spokojniejsza stawała się jego dusza.

Długo brata nie było — powiedział Szymon, witając go radośnie w wieczornym cieple domu. — Już się o brata niepokoiłiśmy.

Skusiło mnie, żeby dłużej posiedzieć wśród owiec i pomedytować trochę — wyjaśnił brat Cadfael. — Działają tak kojąco. A noc jest dziś cudowna.

Rozdział 11

Było to piękne Boże Narodzenie; jego zdaniem, jak nigdy dotąd pełne światła i radości. Po dniach napięcia praca na świeżym powietrzu była błogosławieństwem i nie zamieniłby jej na względny luksus i rutynę opactwa. Wiadomości, jakie dotarły z miasta, nim pierwszy śnieg utrudnił podróżowanie, dopełniły nastroju i były dodatkowym akordem wspólnego, niezbyt udatnego, lecz z serca płynącego, bożonarodzeniowego śpiewania trzech zakonników. Hugh Beringar zawiadamił, że nie tylko otrzymał sprawozdanie z sądu w Llansilin, ale że wyrzucony przez Edwina relikwiarz został odnaleziony na płyciźnie w pobliżu Atcham i rozpoznany mimo uszkodzeń. Chłopiec wrócił do swej zatroskanej matki i domownicy Bonela znów mogli swobodnie oddychać, teraz, gdy winowajca był znany. Pełne skruchy

doniesienie, iż koń należący do owczarni w Rhydycroesau zaginął wskutek godnej nagany nieuwagi brata Cadfaela, który zapomniał porządnie zamknąć stajnię, zostało przyjęte ze zrozumiałym niezadowolaniem kapituły, która orzekła, że po swoim powrocie będzie za to musiał jakoś odpokutować.

Co do zbiegłego Meuriga, obwołanego przez Powysa mordercą, ścigający nigdy więcej go nie zobaczyli, całkiem zgubili jego trop. Nawet relacja z jego dobrowolnej spowiedzi, przysłana przez księdza z pustelni w Penllyn, nie przyczyniła się do odnalezienia tego tropu, gdyż uciekinier był już daleko i nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Również Owain Gwynedd nie życzył sobie ścigania na swoim terytorium przestępców, wobec których nie miał żadnych zarzutów, a którzy w ogóle nie powinni byli wymknąć się z rąk odpowiednich władz.

Doprawdy wszystko ułożyło się bardzo dobrze. Cadfael był całkowicie szczęśliwy wśród owiec, głuchy na sprawy zewnętrznego świata. Żałował tylko, że pierwszy głęboki śnieg uniemożliwił mu odwiedziny Ifora ap Morgana, któremu winien był pociechę, choćby nawet mogła się wydać bardzo krucha.

Rankiem, w dniu Bożego Narodzenia, na świat przyszło troje jagniąt, w tym para bliźnięt. Wszystkie, wraz z matkami, przenieśli do domu i bardzo o nie dbali, swego czasu bowiem te niewinne stworzenia dzieliły swój los z Dzieciątkiem Jezus. Brat Barnaba, całkiem już zdrow, pielęgnował maleństwa swymi wielkimi dłońmi i nieraz trzymał je na potężnych kolanach tak dumny, jakby to on przyczynił się do ich narodzin. Święta minęły im w radości i weselu. Pacjent Cadfaela był już wtedy najbardziej energicznym człowiekiem w zasięgu dwudziestu mil i tu, w Rhydycroesau, nikt już nie potrzebował lekarza.

Kiedy w trzy dni po świętach Cadfael wsiadł na swego muła i ruszył na południe do Shrewsbury, śnieg stopniał z powodu chwilowej odwilży.

Podróż trwała długo, ponieważ nie obrał najkrótszej drogi do Oswestry, ale drogę okrężną, żeby złożyć spóźnioną wizytę Iforowi ap Morganowi i dopiero potem pojechać skrótem na wschód od Croesau

Bach, i dotrzeć do głównej drogi znajdującej się dobrze na południe od miasta. Co powiedział Iforowi i co mu Ifor odpowiedział, żaden z nich nikomu nie wyznał. Jedno jest pewne: kiedy Cadfael znów wsiadł na muła, był w znacznie lepszym humorze, niż kiedy wyruszał z owczarni; również Ifor był podniesiony na duchu, kiedy żegnał swego gościa.

Z powodu tego nadłożenia drogi już się zmierzchało, kiedy muł Cadfaela wszedł do Shrewsbury przez Walijski Most i potem kroczył stromymi uliczkami, znów tętniącymi życiem po świętach. Nie miał teraz czasu, żeby skręcić od rzeki Wyle i radośnie zostać wprowadzonym do domu przez bystrą drobną Alys i cieszyć się weselem rodziny Bellecote, z tym musiał zaczekać do innej okazji. Bez wątpienia Edwy, dawno temu zwolniony z domowego aresztu, wraz z nieodłącznym wujkiem zajęty był pracą, zabawą lub płataniem figlów. Przyszłość Mallilie nadal była w zawieszeniu; należało żywić nadzieję, że prawnicy, nim wreszcie zostanie ustalone, kto jest właścicielem, nie zedrą z osób zainteresowanych ostatniej skóry.

I oto za zakrętem ujrzał przed sobą łuk rzeki, a gasnące światło przez chwilę zajaśniało, kiedy przejeżdżał przez obie bramy zwodzonego mostu. To tutaj widziano, jak dotknięty do żywego Edwin, podczas swej ucieczki wyrzucił nie wręczony ojczymowi dar. I tutaj za mostem miał przed sobą płaską drogę, a po prawej stronie dom, w którym Richildis zapewne nadal mieszka, i staw przy młynie, srebrzystą plamę w półświatle, następnie mur opactwa, zachodni fronton i parafialne drzwi wiodące do wielkiego, mającego przed nim kościoła, a po przeciwnej stronie strażnicę.

Skręcił i ku jego zdumieniu powitało go wielkie zamieszanie i hałas. Przed strażnicą stał wypucowany, błyszczący i ważny, jakby oczekiwał wizytacji biskupa, brat furtian, a rozległy dziedziniec pełen był zakonników i braci świeckich. Biegali oni z niezwykłym zaaferowaniem albo zebrani w podnieconych grupkach rozmawiali głośno, spoglądając przy tym niecierpliwie na każdego, kto pojawił się w bramie. Przybycie Cadfaela spowodowało także zamieszanie, ucichło ono jednak natychmiast, kiedy został rozpoznany. Nawet uczniowie szkoły klasztornej byli na dziedzińcu, szepcząc i świergocąc jak stado wróbli pod ścianą strażnicy, a podróżni zebrali się w drzwiach głównej sali. Brat Hieronim stał na podwyższeniu ułatwiającym wsiadanie na konia przed wejściem do wielkiej sali, pochłonięty wydawaniem roz-

kazów na lewo i prawo i obserwowaniem tego, co się działo w bramie. Podczas nieobecności Cadfaela najwyraźniej stał się jeszcze ważniejszy, jeszcze bardziej nadęty niż przedtem.

Cadfael zsiadł z muła żeby samemu odprowadzić go do stajni, nie wiedział jednak, czy muły nadal trzymane są w stodole na końskim targu; nagle z podnieconego tłumu wyłonił się brat Marek, witając go z wylewną radością:

Och, bracie, cóż za radość zobaczyć cię! Nie masz pojęcia, co się tu będzie dziać! A ja już się bałem, że nie zobaczysz tego, przecież byłeś tak bardzo zajęty. Słyszeliśmy o tej rozprawie sądowej w Llansilin... Och, witaj nareszcie w domu!

To przyjęcie nie jest chyba zgotowane na moją cześć?

Moje jest — odparł natychmiast brat Marek. — Ale brat jeszcze o niczym nie słyszał... Czekamy na opata Heriberta. Jeden z woźniców był niedawno w św. Idzim i widział ich, zatrzymali się tam, żeby odwiedzić szpital. Przyjechał, żeby nas zawiadomić. Brat Hieronim czeka: gdy tylko przybędą do bramy, pobiegnie uprzedzić przeora Roberta. Będą tu lada chwila.

I nic dotąd nie wiadomo? Czy ojciec Heribert nadal będzie opatem? — spytał zaniepokojony Cadfael.

Nic nie wiemy. Ale wszyscy się boją... Brat Petrus mruczy różne okropieństwa nad swoimi garnkami i przysięga, że opuści zakon. A Hieronim jest nie do zniesienia!

Odwrócił się, żeby spojrzeć z niechęcią, o ile jego łagodna twarz była zdolna do wyrażenia tego uczucia, na incubusa, o którym mówił, i zobaczył, że brat Hieronim zniknął ze swego punktu obserwacyjnego i pędzi na złamanie karku do mieszkania opata.

— Och, muszą się zbliżyć! Patrz, bracie, przeor!

Robert wypłynął z zagarniętej przez siebie siedziby, nieskazitelnie odziany, majestatycznie wysoki, widoczny ponad głowami wszystkich zebranych. Na jego twarzy malował się wyraz skupionej pozaziemskiej dobroci i pobożności, by powitać swego starego zwierzchnika z pełnym hipokryzji szacunkiem i przejąc jego urząd z pełną hipokryzji pokorą, a wszystko to zamierzał uczynić z wielką godnością i w wielkim stylu.

A oto w bramie ukazał się mały, okrągły, łagodny starzec o niepozornym wyglądzie, który trząsł się jak worek zboża na swoim białym mule, zabłocony i udreńczony podróżą. Na pierwszy rzut oka z

wyrazu jego twarzy i postawy można było wy wnioskować, że zrezygnował, mimo to jednak wyglądał na zadowolonego, jak ktoś, kto właśnie zrzucił z siebie wielki ciężar i wyprostował się, by odetchnąć pełną piersią. Pokorny z natury Heribert był nie do złamania. Jego własny skryba i stajenni, pełni szacunku, towarzyszyli mu kilka jardów z tyłu, ale tuż obok niego jechał wysoki, szczupły, krzepki benedyktyn o wyrazistych rysach twarzy i przenikliwych niebieskich oczach; dotrzymywał Heriberto-wi kroku z atencją i spoglądał na niego, zdaniem Cadfaela, z ukrytą serdecznością. Zapewne przybędzie opactwu nowy brat. Przeor Robert płynął wśród potracających się i rozszepstanych braci, jak piękny żaglowiec wśród naporu bezładnych fal, i wyciągnął obie ręce do Heriberta, gdy tylko zsiadł on z muła.

— Ojczy, witam jak najserdeczniej w domu! Wszyscy radujemy się z twego powrotu do nas, ufam, jako zwierzchnika, błogosławionego i potwierdzonego na urządzie, naszego opata jak przedtem.

Trzeba przyznać, pomyślał Cadfael krytycznie, że nieczęsto kłamał tak bezczelnie jak teraz, lecz z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że kłamie. Ale prawdę mówiąc, co miał powiedzieć on lub ktokolwiek inny w tej sytuacji, tak bardzo pragnący tego awansu? Trudno jest wygarnąć wprost człowiekowi, że się czekało na jego odejście, co zresztą powinien był zrobić dawno temu.

Ja również, Robercie, cieszę się, że znów jestem z wami — odparł Heribert, promieniejąc radością. — Muszę jednak poinformować wszystkich, że nie jestem już waszym opatem, lecz tylko bratem. Zapadła najlepsza decyzja, że ktoś inny powinien mnie zastąpić, i chyłę czoło przed tą decyzją. Przybyłem do domu, by służyć lojalnie jako prosty, podległy tobie brat.

Och, nie! — szepnął Marek zdumiony. — Cadfaelu, spójrz, on się zrobił jeszcze wyższy!

Istotnie, zdawało się, że srebrzysta głowa Roberta nagle znalazła się wyżej, jakby zdobyła ją mitra. Lecz nagle pojawił się ktoś równie wysoki jak Robert; nieznany brat zsiadł powoli z konia, prawie nie zauważony, i stanął obok Heriberta. Krag gęstych, ciemnych, prostych włosów wokół jego tonsury ledwie znaczyła

siwizna, zapewne miał tyle lat co Robert, a jego szczupła twarz była równie inteligentna, choć może nie tak piękna.

— Oto przedstawiam wam wszystkim — powiedział prawie z

czułością Heribert — ojca Radulfusa, wyznaczonego przez radę legata, żeby od dzisiejszego dnia rządził naszym opactwem. Przyjmijcie naszego nowego opata i złożcie mu swe uszanowanie tak jak ja, brat Heribert, należący do tego domu, już uczynilem.

Rozległ się szmer, a potem spokojna fala wielkiego poruszenia i radości przebiegła przez tłum zebrany na podwórzcu. Brat Marek ścisnął ramię Cadfaela i schylił głowę, żeby ukryć wyraz wielkiego zadowolenia. Brat Hieronim najwyraźniej oklapnął jak przekłuty pęcherz, a jego twarz pomarszczyła się i przybrała ziemistą barwę. Gdzieś w tyle rozległo się jakby pianie zwycięskiego w walce koguta, ale natychmiast zostało uciszone, i nikt nie wiedział, gdzie dokładnie się zrodziło. Być może sprawcą był brat Petrus, szykujący się, by wrócić do swej kuchni i przygotować wszystkie garnki i patelnie do wiernej służby nowo przybyłemu, który utarł nosa przeorowi Robertowi w szczytowym momencie jego pychy.

Co do samego przeora nie przejawiał takiego załamania jak jego skryba, nawet nie pobladł. Na temat jego reakcji zdania były później podzielone. Brat Denis, szpitalnik, twierdził, że Robert zachwiał się tak mocno do tyłu, że omal nie upadł na plecy. Furtian przysięgał, że zamrugnął bardzo gwałtownie, a potem przez kilka minut patrzył szklanym wzrokiem przed siebie. Nowicjusze, porównując potem swoje spostrzeżenia, zgodzili się, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, to nastąpiłaby nagła śmierć, przy czym ofiarą padłby nie nowy opat, lecz stary, który tak sprytnie ukazał swoją przyszłą podległość Robertowi, że ten uwierzył, iż będzie opatem, po to, by w następnej chwili rozwiąć całkowicie tę nadzieję. Brat Marek bardzo uczciwie stwierdził, że tylko przez chwilę Robert skamieniał, a jego uczucia zdradził gwałtowny ruch jabłka Adama, kiedy przelykał żółć. Z pewnością był zmuszony do heroicznego wysiłku, żeby się opanować, gdyż Heribert ciągnął dalej łągodnie:

A tobie, ojcze opacie, przedstawiam brata Roberta Penanta, który wzorowo wspomagał mnie jako przeor, i jestem pewien, że z tym samym bezinteresownym oddaniem będzie służył i tobie.

To było wspaniałe — powiedział brat Marek w chacie Cadfaela po

tym, jak z pewną obawą zdał mu relację ze swoich poczynań podczas jego nieobecności, i otrzymał pochwałę. — Ale teraz czuję wstyd! To grzech, że czyjś upadek sprawił mi taką przyjemność!

Och, daj spokój — odparł Cadfael z roztargnieniem, zajęty rozpakowywaniem swojej sakwy i ustawianiem na właściwe miejsca słoików i butelek, które przywiózł z powrotem. — Nie sięgaj tak szybko po swoją aureolę. Masz mnóstwo czasu, żeby się z czegoś cieszyć, nawet czasem trochę złośliwie, nim wreszcie będziesz mógł zostać świętym. To było wspaniałe! I prawie wszyscy zebrani na dziedzińcu cieszyli się z tego. Nie bądźmy hipokrytami.

Brat Marek dał spokój swoim skrupułom i uśmiechnął się.

Mimo to, kiedy ojciec Heribert powitał go bez żadnej złośliwości i z taką serdecznością...

Brat Heribert! Zastanów się chwilę. Ciągłe jesteś wzruszająco naiwny. Czyż dobór tych wszystkich celnych słów był przypadkowy? „Jako prosty brat podległy tobie...” Mógł przecież powiedzieć: „wśród was”, gdyż przed chwilą mówił do nas. I „z tym samym bezinteresownym oddaniem”, dobre sobie! Tak, z tym samym! Sądząc z wyglądu nowego opata, Robert długo będzie czekał, nim nastąpi kolejny wakans na tym stanowisku.

Brat Marek siedzący na ławie pod ścianą i wymachujący nogami spojrział zdumiony.

Brat chce powiedzieć, że on to wszystko powiedział celowo?

Mógł przecież wysłać jednego ze stajennych dzień naprzód, gdyby chciał go ostrzec. Mógł co najmniej wysłać kogoś ze św. Idziego, żeby łagodnie przekazać tę wiadomość. I to prywatnie! Długo cierpiał w ukryciu, ale dziś się trochę zemścił. — Wzruszyło go zdumienie brata Marka. — Czemu jesteś taki wstrząśnięty? Nigdy nie zostaniesz świętym, jeśli nie będziesz pamiętać o tym, że masz w sobie odrobinę diabła. I pomyśl o tym, ile dobra sprawił on duszy przeora Roberta!

Okazując próżność ambicji? — zaryzykował Marek.

Ucząc go, żeby nigdy przedwcześnie nie był zbyt pewien siebie. A teraz idź do ciepłej izby na rozgrzewkę i zbierz dla mnie jak najwięcej plotek, a ja wkrótce tam przyjdę, jak tylko porozmawiam z Beringarem.

Wszystko się skończyło pomyślnie, tak jak można było sobie życzyć — powiedział Beringar, siedząc wygodnie przy płonącym żelaznym koszu z kubkiem grzanego wina w ręku, które Cadfael przyniósł ze swoich zapasów. — Wszystko zostało udokumentowane i zakończone, a koszt mógł być znacznie wyższy. Tak przy okazji, ta twoja Richildis to bardzo piękna kobieta i z przyjemnością przekazałem jej syna. Jestem pewien, że zaraz tu będzie, jak tylko usłyszysz, że wróciłaś, ponieważ wpadnę do jej domu, kiedy będę wracać do miasta.

Padło kilka bezpośrednich pytań i wymijających odpowiedzi. Ich rozmowy były często tak zagmatwane, jak ich stosunki proste i bezpośrednie, lecz mimo to zawsze doskonale się rozumieli.

Słyszałem, że zginął ci koń, kiedy byłeś w tej owczarni blisko granicy — powiedział Beringar.

Mea culpa! — przyznał skruszony Cadfael. — Nie zamknąłem stajni.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy z rozprawy sądowej w Llansilin uciekł pewien młody człowiek.

Chyba mnie o to nie obwiniasz. To ja im go wskazałem, a oni nie potrafili go zatrzymać.

Sądzę, że będziesz musiał zapłacić za konia w taki czy inny sposób.

Z pewnością sprawa ta będzie jutro omawiana na kapitule.

Ale to nieważne — powiedział Cadfael spokojnie — dopóki nie zażądają ode mnie zapłaty za człowieka.

Ta sprawa może być poruszona na innej kapitule. I to ważniejszej. — Ale szczupła ciemna twarz Beringara po drugiej stronie płonącego piecyka była uśmiechnięta. — Mam dla ciebie w zanadru wiadomość, Cadfaelu, mój przyjacielu. Co kilka dni docierają do mnie jakies niezwykle nowiny z Walii! Nie dalej niż wczoraj miałem wiadomość z Chester, że pewien podróżujący konno człowiek, który nie podał swego nazwiska, przybył do jednego z folwarków klasztoru w Beddgelert i zostawił tam swego konia, prosząc braci, żeby go zatrzymali w stajni, dopóki nie będzie go można zwrócić benedyktynom z owczarni w Rhydycroesau, skąd został pożyczony. Bracia w Rhydycroesau jeszcze o tym nie wiedzą, ponieważ wysoko, w pobliżu Arfon, spadł już pierwszy duży śnieg, który nas jeszcze ominął, i nie było możliwości wysłania posłańca przez góry. W każdym razie koń tam jest. Kimkolwiek był ten nieznamy — ciągnął niewinnie Beringar — musiał

zostawić konia nie więcej niż dwa dni po tym, jak twój winowajca wypowiedział się w Penllyn. Wiadomość ta dotarła przez Bangor, gdzie można było przejechać, a stamtąd została przekazana morzem do Chester przez jedną z przybrzeżnych łodzi. Tak więc wygląda na to, że otrzymasz mniejszą karę, niż zasłużyłeś.

Beddgelert, hm — powiedział zamyślony Cadfael. — I został tam widocznie bez konia. Dokąd twoim zdaniem, Hugh, mógł się udać? Do Clynnog albo Caergybi i potem morzem do Irlandii?

Czemu nie miałby zostać w celi klasztoru w Beddgelert? — podsunął Hugh, uśmiechając się nad kubkiem wina. — Ostatecznie ty po swoich licznych przygodach w świecie trafiłeś do podobnego portu.

Cadfael w zamyśleniu pogłaskał się po policzku.

— Nie, nie to, jeszcze nie. On nie uważa, że już zapłacił za wszystko tyle, ile trzeba.

Hugh roześmiał się głośno, odstawił kubek i wstał, klepiąc serdecznie Cadfaela po ramieniu.

Muszę już wracać. Ilekroć jestem z tobą, mam wrażenie, że popełniam przestępstwo.

Pewnego dnia może się to tak skończyć — rzekł Cadfael.

Przestępstwem? — Hugh spojrzał na niego od drzwi.

Powołaniem, niejeden człowiek przebył taką drogę, Hugh, i między jednym a drugim był pożyteczny dla świata.

Następnego dnia po południu Edwy i Edwin pojawili się przed drzwiami chaty Cadfaela w swoich najlepszych ubraniach, uczesani i wypucowani, przejęci do tego stopnia, że zrezygnowali nawet ze swoich zwykłych psot, przynajmniej z początku. Wskutek tego niezwyklego zachowania byli do siebie tak podobni, że Cadfael musiał uważnie się przyglądać, który ma orzechowe oczy, a który piwne, żeby ich rozróżnić. Podziękowali mu serdecznie za wszystko, co dla nich zrobił.

Ten wasz uroczysty wygląd nie jest chyba wyłącznie dla mnie przeznaczony — powiedział Cadfael, patrząc na obydwu z ostrożną życzliwością.

Ojciec opat posłał po mnie — wyjaśnił Edwin, a oczy mu się

zrobiły okrągłe ze strachu, kiedy sobie o tym przypomniał. — Matka kazała mi ubrać się odświętnie. On poszedł ze mną tylko z ciekawości, jego nie zaproszono.

A on się przewrócił na progu — odparował natychmiast Edwy — i czerwony był jak kapelusz kardynalski.

Nieprawda, wcale tak nie było!

A właśnie że było! Teraz też się zaczerwieniłeś.

Miał rację, już wspomnienie tego upadku wywołało szkarłatny rumieniec na twarzy Edwina.

— A więc opat Radulfus posłał po ciebie — rzekł Cadfael. Trzeba wyjaśnić nie zakończoną sprawę, pomyślał, i należy zrobić to szybko.

— A co myślicie o nowym opacie?

Żaden z nich nie wyraził zachwytu. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i wreszcie pierwszy odezwał się Edwy:

Jest bardzo uprzejmy. Ale nie wiem, czy chciałbym tu być nowicjuszem.

On powiedział — odezwał się Edwin — że sprawę Mallilie będą musieli omówić z moją matką prawnicy, jednak nie może ono stać się własnością opactwa. Porozumienie jest nieważne i jeśli ostatnia wola mego ojczyma zostanie uznana za wiarygodną, earl Chester zaś jako suzeren wyrazi swoją zgodę, Mallilie stanie się moje, ale dopóki nie będę pełnoletni, opactwo będzie tam mieć zarządcę, a opat będzie moim opiekunem.

A coś ty na to powiedział?

Podziękowałem mu i powiedziałem, że się zgadzam z wielką radością. Co innego miałem mówić? Oni najlepiej wiedzą, jak się gospodaruje takim majątkiem. A ja będę uczyć się tego od nich. I możemy tam wrócić, moja matka i ja, kiedy tylko zechcemy, a będzie to wkrótce, jeśli nie spadnie duży śnieg. — Edwin zamilkł i posmutniał, a potem spytał bardzo poważnie: — Bracie Cadfaelu, to straszne, co robił Meurig. Trudne do pojęcia...

Tak, dla kogoś młodego bardzo trudne i prawie niemożliwe do wybaczenia. Ale przecież nie tak dawno Edwin czuł do Meuriga sympatię i zaufanie i pamięć o tym została, wbrew odrazie i przerażeniu, jakie żywił wobec Meuriga- truciela.

— Nie zostawiłbym mu Mallilie bez walki — powiedział Edwin, pragnąc być całkowicie szczery. — Ale jeśli by wygrał,

nie sędzę, żebym miał do niego o to żal. A gdybym ja wygrał... sam nie wiem! On nigdy by nie podzielił majątku, prawda? Cieszę się, że uciekł! Może to grzech, że tak myślę, ale tak jest.

Jeśli to był grzech, to miał kompana w tym grzechu, ale Cadfael o tym nie wspomniał.

— Bracie Cadfaelu... Jak tylko znów będziemy w Mallilie, chciałbym pojechać i odwiedzić Ifora ap Morgana. Przecież pocałował mnie, kiedy go o to prosiłem. Mógłbym zastąpić mu wnuka.

Chwała Bogu, że nie popełniłem tego błędu, żeby mu to podsunać, pomyślał z zadowoleniem Cadfael. Młodzi najbardziej nienawidzą namawiania ich do dobrych uczynków, kiedy sami z własnej woli postanowili szlachetnie postąpić.

— To bardzo dobry pomysł — powiedział głośno. — Ifor się ucieszy, widząc cię. Jeśli zabierzesz ze sobą Edwy'ego, to naucz go, jak was obu rozpoznawać; jego oczy nie są tak bystre jak twoje.

Słyszając to, obaj się uśmiechnęli. Pierwszy odezwał się Edwy:

On ciągle ma dług wobec mnie za to bicie, które dostałem za niego, i noc, którą spędziłem tu, w więzieniu. Myślę, że dlatego mogę bywać w Mallilie, ilekroć zechcę.

A ja spędziłem dwie noce — zaprotestował Edwin gwałtownie. — I to w znacznie gorszym miejscu.

Ty? Nawet skaleczenia nie miałeś i byłeś jak pączek w maśle pod opieką Beringara!

Słyszając to, Edwin dźgnął Edwy'ego palcem wskazującym w środek klatki piersiowej, na co Edwy podciął mu nogi i przewrócił na podłogę, przy czym obaj się zaśmiewali. Cadfael przez chwilę przypatrywał się temu z wyrozumiałością, ale potem chwycił każdego za gęstą ciemną czuprynę i rozdzielił ich. Potoczyli się po ziemi i wstali, szeroko się uśmiechając, i już nie wyglądali tak nieskazitelnie jak przedtem.

— Straszne z was zabijaki, a ja chciałbym, żeby Ifor ap Morgan miał z was trochę radości — powiedział spokojnie. — Ty, Edwinie, jesteś teraz panem majątku, a w każdym razie będziesz nim, jak staniesz się pełnoletni. Lepiej więc, żebyś zaczął uczyć się swoich obowiązków. A ty jako wuj, czy takim

zachowaniem dajesz dobry przykład swemu siostrzeńcowi?

Edwin przestał się otrzepywać, wyprostowany nagle spoważniał, patrząc na Cadfaela szeroko otwartymi oczami.

— Już myślałem o moich obowiązkach, słowo daję. Wielu jeszcze nie znam i muszę się ich nauczyć, powiedziałem ojcu opatowi... że nie podobało mi się, nigdy mi się nie podobało, że mój ojczym wniósł sprawę przeciwko Aelfricowi i zrobił z niego poddanego, kiedy on był przekonany, że urodził się wolny, tak jak wolni byli jego przodkowie. Spytałem go, czy mogę uwolnić człowieka, czy też muszę czekać aż do pełnoletności, kiedy obejmę majątek. Odparł, że z pewnością będę mógł to zrobić, kiedy zechcę, a on mnie w tym poprze. Chciałbym, żeby Aelfric stał się wolnym człowiekiem. I tak sobie myślę, że... on i Aldith

- Powiedziałem mu - odezwał się Edwy, otrząsnąwszy się jak pies i siadłszy z powrotem na ławie — że Aldith lubi Aelfrica i jeśli stanie się wolny, z pewnością się pobiorą. Aelfric jest piśmienny i dobrze zna Mallilie, będzie z niego bardzo dobry zarządca, kiedy opactwo przekaże majątek Edwinowi.

Ty mi powiedziałeś? Od dawna wiem, że ona go lubi tylko Aelfric nie odważył się jeszcze powiedzieć, co do niej czuje! A co ty możesz wiedzieć o zarządcach majątku, ty terminatorze u stolarza?

Więcej niż ty kiedykolwiek dowiesz się o drzewie i snycerstwie, i rzemiośle, ty baronie na niby!

Znów dopadli do siebie i zwarli się w niedźwiedzim uścisku oparci o jeden koniec ławy. Edwy chwycił Edwina za czuprynę Edwin tak go laskotał pod pachami, że tamten konwulsyjnie się zaśmiewał. Cadfael rozdzielił ich, chwytając każdego za kark, i odciągnął w stronę drzwi.

- Zmykajcie stąd! Dostyc tej bijatyki, to nie miejsce na to. Znajdźcie sobie lepiej niedźwiedzią jamę! - Ledwie to powie dział, pomyślał, że brzmi to nazbyt poważnie.

W drzwiach, już rozdzieleni i spokojni, odwrócili się do niego promiennie uśmiechnięci. Nagle Edwin przypomniał sobie coś i pełen skruchy szybko zaczął mówić:

- Bracie Cadfaelu, czy będziesz tak dobry i odwiedzisz moją matkę, nim stąd wyjedziemy? Ona bardzo cię o to prosi.

— Odwiedzę, na pewno ją odwiedzę!

Patrzył za nimi, jak odchodzą, kierując się w stronę wielkiego dziedzińca. strażnicy przy bramie, znów klóćąc się przyjacielsko trzymając się w pół i walcząc. Byli w dziwnym wieku, zdolni do heroicznej lojalności i współczucia, gdy tego wymagała konieczność,

poważnie traktując trudne zadania, lecz natychmiast potem gdy wszystko znów wróciło w ich świecie do normy, zaczęli walczyć jak szczeniaki z jednego miotu.

Cadfael zaryglował drzwi chaty, żeby odciąć się od reszty świata, nawet od brata Marka. Bardzo tu było spokojnie, ciemnawo wśród ścian z bali i z powodu niebieskawego dymu z piecyka. To był dla niego dom w domu, najlepsze schronienie, wszystko, czego pragnął. Jak powiedział Hugh Beringar, cała sprawa zakończyła się z takimi stratami, jakie właściwie były nieuniknione. Edwin obejmie wkrótce swój majątek, Aelfric stanie się wolnym człowiekiem, czeka go jasna przyszłość, co mu rozwiąże język i oświadczy się Aldith; a jeśli nawet by się z tym ościągwał, to bez wątpienia Aldith znajdzie sposoby, żeby go do tego skłonić. Brat Rhys będzie mógł długo rozmawiać o swoim królu i dostanie małą flaszeczkę odpowiedniej mikstury na swoje dolegliwości, a słabnąca pamięć zapełni lukę po zniknięciu ciotecznego wnuka. Ifor ap Morgan będzie cierpiał w milczeniu, ale będzie też mieć nadzieję i następnego wnuka w niezbyt dużej odległości. A Meu-riga, gdzieś w szerokim świecie, czeka długa pokuta do odbycia i dlatego będzie mu potrzebna modlitwa wielu ludzi. Cadfaelowej też mu nie zabraknie.

Usiadł wygodnie na ławie, na której walczyli i śmiali się chłopcy, i wyciągnął nogi przed siebie. Zastanawiał się, czy nadal, aż do odjazdu Richildis do Mallilie, musi przebywać wyłącznie w murach opactwa, i doszedł do wniosku, że byłoby tchórzostwem, gdyby tak robił.

Ostatecznie była bardzo pociągającą kobietą, nawet teraz, a jej wdzięczność sprawiłaby mu wielką przyjemność; poza tym kusila go z pewnością rozmowa, jaka musiałaby zacząć się od słów: „Czy pamiętasz?...”, powtarzanych jak refren. Tak, pójdzie do niej. Nieczęsto mógł się cieszyć wspólnymi z kimś wspomnieniami.

Ostatecznie za tydzień lub dwa Richildis wraz ze swymi domownikami wróci do Mallilie i rozdzieli ich wiele mil. Po jej wyjeździe rzadko będzie ją widywać. Brat Cadfael westchnął głętko, zapewne z żalem, ale może też i z ulgą.

Tak czy owak, wszystko ułożyło się całkiem dobrze!

